

Joanna Oparek

Mężczyzna
z kodem
kreskowym

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
Wrocław 2004

Produkt epoki albo nomen omen

W życiu każdego faceta przychodzi taki dzień, kiedy czyta stare gazety. Rok wte czy wewte, jaka to różnica? Dla kogoś, kto oderwany jest od rzeczywistości. Dezaktualizacja - to moja historia.

PAP 5 lipca 2002.

Reżyser teatralny Paul Kelleher, który w środę odbił sztabą głowę posagowi byłej premier Margaret Thatcher, zeznał przed sędzią śledczym, że jego czyn był protestem przeciw globalnemu kapitalizmowi. Thatcher jest jego współtwórczynią. Moją akcją chciałem zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo na świecie i niebezpieczeństwo dla mojego dwuletniego syna - powiedział sprawca.

W życiu nie słyszałem o żadnym Kelleherze, nie zaryzykowałbym stwierdzenia, że interesuję się teatrem, ale odbita głowa Thatcher nie może mi wyjść z głowy. Czuję autentyczną zawiść w stosunku do autora tego spektakularnego czynu - jasne, że globalny kapitalizm gównem go obchodzi. Myślę zaciekawiony i niewspółczujący - jaka to też presja rozkłada się na nim lwioobojętnym cielskiem. Czy jego spektakle zrobiły imponującą klapę, czy przeciwnie - nie zrobiwszy żadnych spektakli, pozostaje jedynie sobą, zżeranym zazdrością wobec cudzego królowania, i śni o paparazzich, którzy mogliby zrujnować jego prywatne życie, czyniąc je nieskończenie publicznym? Czy kamienna Margaret poległa w imię przyszłych zleceń? Kelleher, kimkolwiek zresztą jest... Teraz nawet ja znam

jego nazwisko. Czy byłbym gotów chwycić za sztabę, żeby ktoś poznał moje? Jak zresztą miałyby wtedy brzmieć papowska notka? Co powiecie na:

Pracownik lokalnej agencji reklamowej, który odbił sztabą głowę posagowi Margaret Thatcher, zeznał przed sędzią śledczym, że jego czyn był protestem przeciw globalnemu kapitalizmowi. Moją akcją chciałem zwrócić uwagę, że dostają mi się z niego tylko ochłapy. Widzę w tym niebezpieczeństwo dla mojego dwuletniego syna - powiedział sprawca - istnieje możliwość, że nigdy nie będę go miał!

Globalny kapitalizm jest mi winien kilka wyjaśnień. Dlaczego po tylu latach chodzenia do pracy w garniturze moja szafa w niczym nie przypomina garderoby bohatera *American Psycho*? Dlaczego nie mam szans utrzymywać się z tego, co mógłbym robić, gdybym nie chodził do pracy (oczywiście mam tu na myśli sztukę, literaturę, bliżej niesprecyzowane działania interdyscyplinarne)? Dlaczego moi znajomi, którzy w odpowiednim momencie zawarli umowy spółek lub umowy o pracę z odpowiednimi spółkami, teraz zażywają antydepresyjne prochy i nie mogą nawet porządnie się upić?

Dlaczego w fast foodach nie wolno palić, skoro sprzedają tam rakotwórcze frytki? Problem polega na tym, że aby pogadać na ten temat z Margaret Thatcher, musiałbym przelecieć się do Londynu (czekamy na tanie połączenia), a goście, z którymi można by porozmawiać na rodzimym gruncie, niekoniecznie doczekają się pomników. Kiedy przecieram oczy, widzę to tak: recesja nastąpiła, zanim zdobyliśmy fortuny, które można by stracić. To niesprawiedliwe - przegrywasz, zanim wypełniłeś kupon. I co teraz? Będziemy skakać z okien cudzych wieżowców?

Nie zdążyłem naprawdę skorzystać na dziejowej przemianie i już jestem jej ofiarą. Jestem jej produktem i jak każdy produkt w dobie recesji sprzedaję się źle. Dlatego nie mam pozycji, nazwiska ani pięknej kobiety. Bo jest recesja. Bo bankructwo grozi nawet komornikom, a ZUS nie płaci zusu za własnych pracowników. Nazywam się Marek Słaby. Mam trzy-

dzieści trzy lata (jak Adrian Mole, jak Chrystus). Mieszkam w Polsce.

Słabe lokalne marki są obecnie bez szans.

CECHY PRODUKTU:

WZROST: 180 CM (W TOWARZYSTWIE DZIEWCZYNY NA OBCASACH - AUTOMATYCZNIE: 182)

WŁOSY: NIC SZCZEGÓLNEGO

OCZY: NIEBIESKOZIELONE

Według egzegezy mojej babki, oczy niebieskie wróżą życie królewskie, a oczy zielone - życie szalone. Prosta ta rymowanka wyznaczyła zasięg moich aspiracji już u progu życia, zanim mogłem przejść ów próg, nie potykając się. Kiedy dorosłem, przestałem pisać rymowane wiersze, czytać ambitne książki (bez początku, końca, w ogóle bez fabuły), i załapałem się do pracy w agencji reklamowej - wydawało się, że szalone królewskie życie nareszcie rozpoczęło się na dobre. Miałem zarabiać ogromne pieniądze (forsę, kasę, sałatę, flotę, szmal), bawiąc się przy tym wyśmienicie, żonglować słowami, wprawiając w osłupienie istotny statystycznie tłum. Miałem przebywać w doborowym towarzystwie podobnych mi copywriterów i designerów o wystylizowanych włosach i opalonych ciałach, nonszalancko pokrytych oryginalnymi tatuażami. Miałem obcować z prawdziwymi kapitalistami, w prawdziwie kapitalistycznym kraju, spędzać wakacje na Kanarach, a w weekendy upalać się legalnie w najpodlejszych (trendowych) lokalach Amsterdamu. No i? Pomyłka! Najpierw przez kilka lat zapieprzaliśmy jak wyścigowe konie, żeby zdążyć przed absurdalnym terminem wyznaczonym przez postkomunistycznego dyrektora służby marketingu. Copywriterzy wyrwali sobie namiętane kłaki, wymyślając na akord genialne hasła, a blade designerki w nawale pracy notorycznie zapominały odebrać dzieci z przedszkola i kiedy zapadał zmrok, zrywały się znad komputerów przerażone. I tylko jeden gość, mediaplaner, miał tatuaż, ale stary i wytarty. A potem, kiedy firmy naszych strategicznych klientów zaczęły ścinać swoje budżety reklamowe do

zera, przysyłać uprzejme zawiadomienia, że nie mogą nam zapłacić, jako że znalazły się właśnie w stanie upadłości, kiedy pracy zdecydowanie mieliśmy już mniej (za to mieliśmy kredyty i polisy, wszystkie te rzeczy, które trudno jest spłacić, gdy twoja pensja zmniejsza się o połowę, na co zgadzasz się, żeby nie wylecieć z pracy), wizja Kanarów zaczęła powoli odpływać. Do tej pory nie zdarzył mi się również ten weekend, w Amsterdamie. Od kilku tygodni siedzę w biurze, wymyślając hasło reklamowe dla sardynek w oleju produkowanych nie wiadomo czemu przez nikomu nieznaną firmę ze Śląska i myślę, że zanim zobaczę Amsterdam, Dzielnicę Czerwonych Latarni, zdążą już przemianować na Park Przyjaźni Tajsko-Holenderskiej. Z moimi niebieskozielonymi oczami wyglądam teraz jak ostatni wnuk!

Jestem Polakiem, więc narzekam.

Przy odrobinie dobrej woli można by uznać, że fizycznie trochę przypominam Hugh Granta, zanim stał się znany - z tych czasów, kiedy pisał skecze dla Smith & Jones i teksty reklam radiowych. Tylko pomyślcie - on też je pisał! Nie został Hugh Grantem tak od razu. Musiał wejść na wzgórze, by potem zejść z góry i trochę improwizować po drodze.

A więc Hugh Grant! Z właściwą zapożyczonym dozą niepewności i odrobiną nonszalancji (nie najlepsze ubrania w nie najlepszym stanie), z miną i tak za dobrą do tej roli. Gram na zwłokę i czekam na szansę. Wybielająca pasta. Żebym mógł odpowiedzieć tym samym, gdy los się do mnie uśmiechnie. W stanie erekcji - na wszelki wypadek (czyli że wniosłe plany).

Pocieszam się, że przynajmniej wykonuję uczciwą pracę. Tak przecież zwykło się mówić o zajęciu, które nie przynosi kasy. Z tego punktu widzenia moja praca jest wręcz szlachetna. Jestem niczym żołnierz, który sunie do przodu z zamkniętymi oczami, nie zważając, że wszystko wokół się rozpieprza, że obcierają go buty, sunie do przodu - w imię wolnego rynku. Sajgon - tak się kiedyś mówiło. Mam straszny sajgon! A chciałem tylko się rozerwać. Aktualnie nawet nie sunę, tylko siedzę, z twarzą umazaną błotem i maskującym krzakiem na głowie.

Bo sardynki mogą zaatakować na nowo w każdej chwili! Czy aż do śmierci będę przeżywać tę przygodę? Stosując bardziej współczesną poetykę - jestem zawsze gotowy i naładowany, jak przysłowiowy automat z coca-colą, co daje z siebie wszystko za marne złotówki.

Komentując przebieg swej kariery (pułapka seriali, telewizyjne dramaty kostiumowe) Hugh Grant powiedział: „Kiedy zapredasz się diabłu, musisz potem płacić!”. Nieodkrywcze, ale widać, że facet zna życie. Musisz płacić, jak chcesz zarobić!

Z braku sukcesu finansowego zawsze wynika uczucie duchowej pustki! Umiałem sobie z tym radzić. Zawsze przecież mogłem wykończyć butelkę albo coś głębszego poczytać. Na własną pustkę duchową nieźle robi cudza nieśmiertelność, dlatego w takich chwilach wygrzebywałem martwych poetów. Miałem wrażenie, że się rozumiemy. Po dwóch setkach dochodziłem do wniosku, że wbrew temu, co sądzą krytycy, oni wszyscy pisali o kasie.

*O, dalekie wierzchołki
w kolorach malw i fioletoch!
W mrocznym powietrzu
tylko rzeka dźwięczy.*

To Antonio Machado, którego dzieciństwem było patio w Sewilli, a historią parę spraw, których nie chciał wspominać. Kastylia, potem Francja, Oscara Wilde'a poznał osobiście, a jednak... O, dalekie wierzchołki... Bo chyba kiedy tylko rzeka dźwięczy, to nie ma wątpliwości, że kieszenie są puste, i moim zdaniem właśnie dlatego:

*Cytrynowiec marniejący zwiesza
bladą gałąź zapyloną*

A nad czym zwiesza?

*nad przejrzystym czarem źródła,
gdzie śnią w głębi złote owoce...*

Wszędzie kruszce - natrętna symbolika. A kolejny przykład
- Rimbaud:

*Wozy ze srebra i miedzi -
Dzjoby ze stali i srebra -
Młóć pianę,*

Czyli znowu o flocie! Albo Apollinaire, między wierszami:

*Tak słodko tańczyć kiedy dla ciebie się mieni
Miraż gdzie wszystko śpiewa...*

Apollinaire był najlepszy! Nikt w historii literatury nie wyraził lepiej cierpienia copywritera. Mogłem powtarzać z pamięci:

*Jak mi te nagie dokuczyły ściany
Błada ich farba wytarta
Mucha przebiega chyżymi nóżkami
Przez krzywe litery na kartkach*

I te godziny... które płyną tak wolno, jakby się kondukt przybliżał...

Normalnie, jak to artysta - pragnąłem sławy i pieniędzy. Chciałem być gardłem Paryża i wypić cały wszechświat. Mogłem również być gardłem Londynu, mniejsza już o to gdzie, byle była ta sława, no i te pieniądze - wraz nimi miały przyjść także kobiety na wysokich obcasach, w sukienkach od Kishimoto albo Shelley Fox, wciągniętych na nowiutkie ciała, przy których mój załazek Hugh Granta mógłby się rozwinąć. Takie zwykłe, ludzkie marzenia. (Czytałem gdzieś o Shelley Fox, że prezentuje conceptualne podejście do mody i inspirowała ją alfabet Morse'a. Inspirowała ją też geometria, ale to nieważne, natomiast koncept z alfabetem... o tak, przemawia do mężczyzny. Zamykam oczy i słyszę cichutkie, szeleszczące SOS, specjalnie dla mnie. Ty ty ty tu tu tu... rozepnij mnie - błaga różowa sukienka).

Muszę przy okazji nadmienić, że obecność u mego boku jakiegokolwiek kobiety niepomiarowo uradowałaby moją matkę. Co do pochodzenia produktu - jestem synem nauczycielki i inżyniera. Podobno ojciec Huhg Granta był sprzedawcą dywanów. Wyobraziłem go sobie, jak mówi: Synu! Masz tylko dwie możliwości - latasz albo leżysz! Moi rodzice nie dawali mi tak wyraźnych wskazówek. W czasach, w których przyszło im żyć, miarą sukcesu był samochód marki Polonez i trzypokojowe mieszkanie spółdzielcze. Jakoś sobie radzili - miałem więc własny pokój, kolekcję puszek po piwie, składny rower i regularnie wyjeżdżałem na dotowane przez państwo wczasy zakładowe do Jaszowca lub Korbielowa. Raz wyjechaliśmy nawet nad Balaton, zwany węgierskim morzem - do dziś wspominam z nostalgią pieczętę ciepłego mułu i betonowe plaże. Przebywaliśmy w luksusowym kurorcie, co można było poznać po tym, że przebywali tam również Niemcy. Niemiecki język przy sąsiednim stoliku był dla mojej matki znakiem, że jako przedstawicielka polskiej inteligencji dotarła na sam szczyt. Zachęcona własnym powodzeniem, wróżyła moje przyszłe sukcesy w roli lekarza albo adwokata, bo było wiadome, że są to zawody, w których niezależnie od tego, jakie są czasy - wychodzi się na swoje (wystarczy jedynie nie stronić zbyt od tego, co cudze). Trzydzieści lat po dziejowej przemianie, obserwując nędzny stan, w jakim się znalazłem, matka nie mogła przeboleć, że jednak nie poszedłem na medycynę. Wtedy przynajmniej mógłbym uczciwie brać łąpówki, przepisywać relanium, odwiedzać w szpitalu dalekiego wujka bez obuwia ochronnego, no i dawno miałbym już żonę. Bo jeśli w moim życiu nie było żadnej kobiety, to dlatego, że wszystkie zdążyły już wyjść za mąż - za lekarzy i adwokatów. I rodziły im dzieci w czasie, gdy ja pracowałem nad tekstem o wkładkach higienicznych, tak cienkich, jakby co? Oczywiście! Jakby nie było ich wcale!

Podczas niedzielnych obiadów, gdy matka, nie ustając w narzekaniach, gestem pełnym współczucia nakładała mi na talerz tłuczone ziemniaki - ojciec brał moją stronę. W końcu przecież wyszedłem na ludzi, nie zostałem złodziejem ani narkomanem, ba, zdobyłem nawet ogromną ilość nikomu nieprzydatnej wie-

dzy i w chwilach absolutnej niedzielnej rozpacz, podczas świąt lub imienin mogłem bawić nią towarzystwo.

- Więc jak to było, Marczyku - z całą serdecznością kompromitował mnie mój własny tata - jak to było z tymi szczurami... w supermarkecie?

- Szczury...eee - wkładałem wówczas głowę w sałatkę jarzynową, zapewne gubiąc tam włosy - więc szczury, to znaczy ludzie... ludzie w supermarkecie poruszają się wyuczoną drogą... jak szczury... w laboratorium, na przykład gdy...

- Coś okropnego - przerywała niezawodnie ciotka - przecież powinni je wytruć. A mówi się, że Niemcy są tacy czysti!

Ciotka była przekonana, że wszystkie, bez wyjątku, obecne w Polsce sieci handlowe należą do Niemców.

W przekonaniu ojca, mój zasób wiedzy dotyczącej reklamy i marketingu sprowadzał się do znajomości następujących prawd:

1. Ludzie w supermarkecie poruszają się wyuczoną drogą, jak szczury w laboratorium.

2. Napis „Promocja”, umieszczony na opakowaniu, sprawia, że zawyżona cena wydaje się niższa.

3. Produkt umieszczony na wysokości oczu najbardziej rzuca się w oczy (!)

4. Luksusowe samochody najlepiej sprzedają kobiety z fajną maską i wysokim zawieszeniem.

5. Muzyka klasyczna sprawia, że ludzie kupują więcej wina.

Raz usłyszawszy ode mnie te rewelacje (a musiałem wygłosić je w przypiływie ABSOLUTNEJ rozpacz niedzielnej), mój ojciec nieustannie domagał się bisów. Pozostawał natomiast zupełnie głuchy na każdą inną wiedzę, którą, przybity owym deja vu, próbowałem mu sprzedać. Sądzę, że pragnął wierzyć, że oto udało mu się wychować syna, który swą pozycję zawodową buduje na kilku zaledwie anegdotach. Byłem w jego inżynierskich oczach prawdziwym spryciarzem. Byłem dowcipem technokraty. I koniem trojańskim kapitalizmu.

Tylko czekajcie, aż to wszystko dupnie!

Widząc, co uczynił z ujawnionych mu elementów mojej pracy zawodowej, dziękowałem Bogu, że nie zdecydowałem się nigdy zwierzyć ojcu z mych pasji. Gdybym w bezmyślnej, rozgorączkowanej młodości odczytał mu na przykład mój inspirowany dokonaniem Wojaczka wiersz...? Czy wypominałby mi do końca życia, że: *Jestem parówką, jestem parówką...*?

- I jak to było dalej, Mareczku, że co? Życie? Skryte w jelicie? Mareczku?

A gdybym parę lat później pokazał mu wynik moich eksperymentów z czarno-białą fotografią? Czy pytałby mnie z żelazną regularnością o tę dziewczynę, co to miała taki wydatny kontrast?

Chryste! Jeżeli kiedykolwiek zdarzyłoby mi się pogadać z ojcem o dziewczynach, skończyłbym jak ten koleś z zespołu Wilki, który siedem razy dziennie darł się na całą Polskę, że Baśka miała fajny biust, a Ewelina była zimna i piękna jak okręt.

Pistolety przy mojej skroni, czyli konkurencyjne produkty obecne na rynku

W przeciwieństwie do tego, co sądziła matka, kłopoty z kobietami zajmowały najniższą pozycję w rankingu moich zmartwień. Dużo bardziej martwili mnie faceci. Masa doskonale wykształconych, rosnących facetów po solarium, którzy nie stracili jeszcze entuzjazmu i szykowali się do wkroczenia na rynek pracy. Ich brak doświadczenia nie był wcale pocieszający wobec moich fatalnych doświadczeń. Bo to, czego się nie ma, łatwo można nadrobić, a to, co już jest, trudno zlikwidować. Oni wchodzili na rynek z uśmiechem na twarzy i rękami w kieszeniach, ja co prawda byłem już na tym rynku, ale kręciłem się w kółko, wlokąc bagaż frustracji i upokorzenia. Moje najlepsze pomysły dawno wrzuciłem już do kosza. Przekonałem się, że zwycięża nie to, co nowe i błyskotliwe, ale to, co znajome i odtwórcze - nic nie bawi nas tak jak stare dowcipy. (Nikt nie zaspokoi nas tak, jak stare kobiety - parafrazował mój ojciec po kilku kieliszkach).

Kiedy trafiałem na wyrafinowanego klienta, takiego, który chwytą w lot, który słucha cię naprawdę i kiedy proponujesz mu zdjęcia z udziałem charakterystycznej ciemnowłosej modelki wybranej w efekcie profesjonalnie zorganizowanego castingu - nie pyta, czy mogłaby to być jego ufarbowana na blond córka, nawet gdy zdarzało mi się trafić na takiego klienta, po udanej prezentacji podchodził do mnie, mówiąc:

- Świetnie, świetnie, panie Marku, mnie to przekonuje, tylko widzi pan... nasze społeczeństwo, generalnie... no bo w końcu ile osób ma w tym kraju wyższe wykształcenie... marne siedem procent? A my, widzi pan, chcielibyśmy generalnie... zwiększyć zasięg i... mówiąc między nami... nie miałbym nic przeciwko temu, żeby naszą kawę pili nawet kompletni idioci, a także, niech się pan nie gniewa... analfabeci, co oczywiście nie zmienia faktu, że jest to produkt luksusowy, jednak... gdyby był pan uprzejmy, na jutro, nieco przeformułować... całość!

Spędziłem wiele nocy, przeformułując moje genialne hasła na komunikaty dla analfabetów i uczestniczyłem w niejednej sesji zdjęciowej z wykorzystaniem córek oraz otyłych psów, podrzucanych nam mimochodem, jak kukułcze jajo, przez żonę prezesa.

Można mieć najaktualniejsze badania rynku, bezbłędną strategię, fantastyczną grafikę i powalający przekaz, ale wierzcie mi, każdy przetarg wygra agencja, która zdecyduje się zatrudnić psa.

Kiedy siedziałem tak, pochylony nad wspomnianą reklamą sardynek, czując na plecach oddech rzeszy młodych adeptów tej sztuki, szykujących się na moje miejsce; kiedy siedziałem tak, myśląc mniej o sardynkach, a więcej o tych facetach, których czoła wciąż były gładkie, a uśmiechy rozpoznawalnie autentyczne; kiedy siedziałem nad sardynkami, martwy i unurzany jak one, a lider grupy Myslovitz (tak, zaczęli już śpiewać po angielsku) namawiał mnie przez radio, żebym się nie poddawał i brał życie jakim jest, bo - niepodważalny argument - innego już nie będę mieć; gdy tak siedziałem, zapominając co chcę powiedzieć - analfabetom o śląskich sardynkach, a za oknem na megaplakacie nieosiągalna piękność prezentowała stringi nowej

generacji - uświadomiłem sobie to, co moja matka wiedziała od dawna, że krótko mówiąc, dałem życiu dupy.

Najlepsze lata spędziłem, promując najróżniejszego autora-mentu produkty i ani przez moment nie zastanowiłem się, jak wypromować siebie! Pisałem sonety o lekach, ody do tapczanów, limeryki o kosmetykach... Wkładałem słowa pełne żaru w usta pysznych kobiet... Atakowałem z telewizji, z radia i z billboardów... Byłem w gazetach i byłem na przystankach - kiepsko wynagradzany i zawsze anonimowy!

Wiem, że los poetów także bywa trudny. Wiem, że autorskie publikacje bywają (o ile uda się jakiegoś wydawcę namówić na tę pewną stratę) rozczulająco niskonakładowe. Oni jednak mogą przynajmniej z godnością wziąć pod pachę te swoje tomiki, by na najbliższej imprezie rozdać je znajomym. Ja mógłbym najwyżej rozdać im ulotki.

Impreza (wizja)

Ja:

Hej, popełniłem nowy tekścik o panelach podłogowych.

Ktoś:

Chyba pisali o tym w „Rzeczpospolitej”?

Ktoś inny:

Czytałem. Jestem naprawdę pod wrażeniem.

Wszyscy:

Gratulacje, kolego!

Ja:

Może wpadniecie... W przyszłym tygodniu mam wieczór autorski w Zgniłych Pomarańczach. To taki świeży klub...

Oni:

Jasne, jasne!

Ktoś (kobieta):

Wiesz, to niesamowite! Udało ci się wyrazić moje myśli...

Wszyscy:

Tak, to naprawdę zajebiste.

Ktoś:

A nawet głębokie!

Ja (żartobliwie):

No... tekścik o panelach nie musi przecież być płaski...

Kilka uwag o seksie

Wiadomo, że wokół poetów zawsze jest mnóstwo kobiet. Język rosyjski ma nawet na to specjalne określenie: okołoliteraturna żenszcina, tak jakoś. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak brzmiałoby określenie kobiety orbitującej wokół copywritera, nawet w języku niemieckim. Szczególnie boli mnie fakt, że do poetów ciągną nie tylko po prostu kobiety, napalone licealistki, studentki kulturoznawstwa, czy początkujące modelki, ale kobiety dojrzałe, ciekawe różne kobiety. I zdarza się, że wlokąc co przystojniejszych poetów, pijanych, do swojego łóżka, równocześnie wprowadzają ich do historii. Taka Isadora Duncan chociażby - czy uwiodłaby Jesienina pracującego w agencji? Uwielbiam Isadorę, a zwłaszcza sposób, w jaki zginęła. Bugatti. Prędkość. Wiatr we włosach. I jedwabny szalik wkręcony w szprychy koła - jedno decydujące szarpnięcie. Zabiła ją próżność - to szpanerska śmierć.

Nie chce mi się rozważać, jakie ekscesy mogą być udziałem słynnych reżyserów i fotografików. Sodoma i kamera po prostu idą w parze. Bynajmniej jednak nie sprowadzam wszystkiego do seksu. Ze wstydem muszę przyznać, że ostatnio, no... mogę się bez niego obyć. To nic strasznego, naprawdę. Jak wynika z raportu o seksualności Polaków, w ciągu ostatnich dziesięciu lat znacząco spadła liczba tych szczęśliwców, którzy w ogóle uprawiają seks. Mamy inne rzeczy na głowie. Wszyscy bierzemy udział w morderczym wyścigu, a trudno jest pieprzyć się, biegnąc. Żyjemy więc w celibacie, za to rzeczywistość jest całkiem popieprzona. A poza tym, czy nie reedukowano społeczeństwa, mówiąc mu, że powinno brać sprawy we własne ręce?

Samodzielne rozwiązywanie problemów jest zresztą trendem ogólnoswiatowym. Choć media rozpowszechniają pogląd, że seks leży na ulicy, rzeczywistość jest inna. Seks niesie ryzy-

ko i żąda pieniędzy. Z rozrzewnieniem myślę o starych, dobrych czasach, gdy aby bzyknąć jakąś pannę wystarczyło zapytać ją, jakie lubi książki, poznać jej rodziców i kupić pierścienek. Jeżeli była mężatką - wystarczyło zapytać o książki. Dzisiaj te rzeczy strasznie się skomplikowały, strasznie się skomplikowały!

Ujmę to w punktach, wzorem wysokonakładowej anglosaskiej literatury.

Musisz:

1. Poznać jej przeszłość.
2. Poznać przeszłość jej znajomych z przeszłości.
3. Ocenić stopień ryzyka.
4. Przedyskutować szczegółowo system zabezpieczeń.
5. Sprostować jej mylne wyobrażenia co do możliwości kontynuacji związku lub rozstać się z własnymi oczekiwaniami w tej kwestii.

6. Upewnić się, czy nie jest walczącą feministką, która pragnie jedynie wyrazić poprzez seks dominację, a za próbę zajęcia najwygodniejszej ze znanych pozycji może cię wyśmiać i zdruzgotać twoje ego.

Gdy jest mężatką, musisz:

1. Dowiedzieć się, jak rozumie ideę małżeńskiej wierności.
2. Upewnić się, jakie zdanie w tej sprawie ma jej mąż.
3. Delikatnie wy badać, czy posiada pewność, że jej mąż nie jest czasem homoseksualistą, który ukrywa się w społecznie akceptowanym związku.
4. Ocenić stopień ryzyka.
5. Przedyskutować system zabezpieczeń.
6. Zapytać, jakie lubi książki.

A teraz pomyśl, za ile drinków musisz zapłacić, zanim uzyskasz wyczerpującą odpowiedź na ~~wszystkie~~ te pytania.

Seks sławnych ludzi jest dużo łatwiejszy. Nie muszą zadawać pytań ani płacić za drinki. Spotykają się na sponsorowanych bankietach i stukają elitarnie we własnym gronie. Przeszłość potencjalnych kochanek lub kochanków jest nagłośniona medialnie, powszechnie znane są ich poglądy w każdej sprawie i preferencje, również w odniesieniu do książek. Oszczędza to mnóstwo czasu, który sławni i bogaci przeznaczają na to, aby takimi pozostać.

To pocieszające - oni także czują na plecach oddech konkurencji. W obliczu atakującej rynek młodości - wszyscy jesteśmy zagrożeni. Jedni tracą pracę, a inni - tracą na popularności. Dlatego gabinety chirurgii plastycznej prosperują pomimo recesji, dlatego widzicie na ulicach tylu gości przed pięćdziesiątką w ciuchach pożyczonych od synów. To nie jest żaden tam styl, subkultura czy moda - tylko, normalnie, strach. Mam znajome koło czterdziestki, zgrabne, eleganckie i wykształcone, na poważnych stanowiskach. Wiecie, co cieszy je najbardziej? Barman! Barman, który zwróci się do nich per ty! Właśnie z tego powodu do reklamy kremów przeciwzmarszczkowych zatrudnia się dwudziestolatki. Komunikat jest oczywisty: Używaj naszego kremu, żeby wyglądać jak dwa razy młodsza panienska, z którą właśnie odszedł twój mąż. Jest również oferta dla luksusowych kobiet, które z rozpadem związku dawno się już pogodziły. Na przykład Prodigy, Heleny Rubinstein. Wyobraźcie sobie taką scenę w łazience:

Ona (w eleganckiej bieliźnie, nosząca się z godnością oraz z myślą o liftingu)

On (dwa razy młodszy, o szczerym uśmiechu i wypielegnowanych dłoniach przedstawiciela handlowego)

Ona:

Kochanie, czy mógłbyś podać mi szczotkę? (w domyśle: do włosów)

On (podchodzi do marmurowej toaletki, żeby wziąć szczotkę i zauważyć krem):

Wow! Twój krem nazywa się Prodigy. Słucham ich muzyki. Są niesamowicie energetyczni.

Ona (pręży się, porozumiewawczo wciągając brzuch):
Teraz ja będę twoją muzyką...
A potem przechodzą do sypialni i zażywają ekstazy.

Haczyk na rybkę

Swoją drogą, dlaczego by nie postawić na młodość w reklamie sardynek? Albo na seks? Zapragnąłem natychmiast podzielić z kimś mój entuzjazm! Ale z kim? Gdy po kilku godzinach siedzenia w tym strumieniu, ba, kanale myśli, wstałem w końcu od biurka i, zeszywniały, powlokłem się do kuchni, która była bijącym sercem naszej agencji - okazało się, że serce jest puste. Aga, którą mogło ucieszyć hasło: „Sardynki. Gdyby Twoja żona była tak zakonserwowana!” - wyjechała na spotkanie z klientem. Jednym z tych, którzy pozostali. Nie było też Gośki (zwanej Prosiaczką, bez powodu) - zamierzałem rozbawić ją hasłem: „Do buzi! Moja tłusta rybko!”. Wojtek i Kiciu pojechali zrobić jakieś próbne zdjęcia, więc zostałem na lodzie z propozycją adresowaną specjalnie do nich: „Zamiast tłustej fladry - sardynki w oliwie!”. Nie było jeszcze paru osób, które pracowały tu do niedawna, a szef siedział sam za zamkniętymi drzwiami, prowadząc rozmowy, naprzemiennie, z dłużnikami i wierzycielami, i nie sądziłem, żeby cokolwiek mogło rozbawić go w tej sytuacji. Przypominając sobie o stanie finansowym firmy i całego kraju, błyskawicznie zmieniłem założenia strategiczne i powróciwszy do pokoju, wstukałem do komputera:

Grube ryby utoną pierwsze Sardynki SCHLAM

Ponieważ sardynki nazywały się tak, jak się nazywały! Postanowiłem poniechać próby ogrania tego w reklamie (np. „Sardynki SCHLAM, a jednak w całości!”). Nie byłem przecież jakimś jajczarem, tylko odpowiedzialnym kreatywnym, który zo-

stawia żarty dla siebie i, ewentualnie, kolegów. Początkowo sądziliśmy zresztą, że nazwa w jakiś sposób odzwierciedla śląskie pochodzenie produktu. SCHLAM okazał się jednak prastarą (dziesięć lat tradycji), czysto polską firmą, na którą złożyli się Schorowany (Józef) i Lament (Zbigniew). Być może trochę tu sobie żartuję, ale wiercie mi, rzeczywistość bywa czasami jeszcze bardziej kuriozalna. Ciągając to dalej - obaj panowie, w jasnych garniturach, z trwale życzliwymi uśmiechami, poinformowali nas w czasie spotkania, że nie, nigdy nie rozważali możliwości zmiany nazwy firmy, jak widać słusznie, gdyż pomimo zawirowań i sztormów (zresztą bez specjalnej reklamy) sardynki SCHLAM utrzymują się na powierzchni.

- Smakują wyśmienie. I mają wartości odżywcze. Nasze społeczeństwo jest chore, a sardynki są zdrowe - powiedział Schorowany.

- I niedrogie! A wszyscy narzekają na brak pieniędzy - dodał Lament.

Godząc się z tokiem takiego rozumowania, ograniczyliśmy się jedynie do wyperswadowania im kampanii opartej na reklamie radiowej i wcisnęliśmy trochę billboardów. Utwierdziliśmy ich także w przekonaniu, że oto nadchodzi złoty wiek dla sardynek, bo skoro jest recesja, mało kogo stać na łososia. Moje akcje skoczyły, gdy zaproponowałem, aby w przekazie odwołać się do narastającej w konsumentach tęsknoty za Polską Ludową, kiedy to sardynki w puszcze były jedyną rybą w ogóle spożywaną na rynku. Idea została klepnięta i teraz pozostawało już tylko tanio ją zwizualizować i ubrać w słowa. Jeżeli zamiast zrobić to błyskiem, siedziałem i siedziałem, w pozie recydywisty, wymyślając rozpaczliwie zabawne hasła, to nie dlatego, że nie byłem profesjonalistą, tylko dlatego, że byłem nim za długo.

Kariera copywritera rozwija się w trzech fazach: wierzysz w to, co mówisz; wierzysz, że inni w to uwierzą; nie możesz uwierzyć, że kiedykolwiek w to wierzyłeś (Śmieszły cię te skecze, Hugh?). Niestety, połowa naszego obecnego działu kreatywnego (czyli ja) wkroczyła w fazę czwartą: wiesz, że nawet jeśli uwierzą, to i tak nie zapłacą. Z tego powodu nasze-

mu zespołowi ostatnio jakby trochę brakuje motywacji. Stan ten koresponduje zresztą z moim osobistym poczuciem niespełnienia, które z kolei koresponduje z poczuciem mojego partnera (w zespole) Mikołaja - że warto to wszystko olać! Po raz pierwszy Mikołaj określił naszą robotę jako wartą olania, gdy krajowy producent oranżady o smaku dojrzewających w spalinach mandarynek odrzucił jego trzydziestą piątą propozycję tytułu płyty, jaka miała być dołączana do czteropaków z ową oranżadą. Pech chciał, że trzydziesta piąta propozycja została odrzucona w dzień jego trzydziestych siódmych urodzin. Mikołaj ze swoim stażem pracy był chodzącą historią reklamy polskiej i, zanim ubodło go tak totalne niezrozumienie, już sam charakter tego zlecenia był dlań uwłaczający. Jeszcze w zeszłym roku nawet nie spojrzelibyśmy w stronę oranżady. Kreacja czego? Okładka płyty? Hasełko na co? Na naszych pomysłach opierały się wielkie kampanie. Przerabialiśmy budżety, no, przynajmniej średniej wielkości. Tworzyliśmy scenariusze filmowe (choć nie wszystkie ostatecznie zrealizowano) i projekty reklamy zewnętrznej na nośniki wszelkiego rodzaju, nie wspominając o kolorowej prasie. W naszym portfolio znajdują się marki znane każdemu, kto potrafi udźwignąć foliową torbę z nadrukiem. Pomyślcie, jak czułyby się strzelec wyborowy gdyby dać mu do ręki procę?! Chwilowo jednak nic innego nie mieliśmy do roboty.

Oranżada nazywała się Mandarynka i już to było sygnałem, że wszystkie kreatywne rozwiązania możemy wsadzić sobie w tyłek. Jednak Mikołaj, jako profesjonalista, zafiksował się i nie popuszczał. Kiedy klient odmownie ocenił pierwsze dziesięć tytułów, za które gwiazdy rodzimego popu całowałyby Mikołaja po rękach, kierownik sprzedaży podał nam jako marginalną wiadomość, że nastąpiła zmiana decyzji i płyta nie będzie popowa.

- No... panie Mikołaju - powiedział do Mikołaja - chodzi o to, że chcemy trochę zmienić... no... grupę docelową, i no... dotrzeć do polskich rodzin, to znaczy do młodzieży oczywiście też... ale w ramach, rozumie Pan, rodzin... i dlatego postanowiliśmy do naszych czteropaków dołączyć płytę z piosenką religijną, ze względu na... no... wartości rodzinne, więc...

Mikołaj wyniośle przemilczał, że nie ma takiego sposobu, aby za pomocą płyty przyklepionej do czteropaków zmienić grupę docelową czegokolwiek. Uprzejmie nie wypunktował także kierownikowi sprzedaży (który najwyraźniej przejął także obowiązki kierownika do spraw marketingu, zwolnionego dwa tygodnie wcześniej z powodu restrukturyzacji), że na etykiecie Mandarynki widnieje zdjęcie rozwiniętej ponad wiek nastolatki w mandarynkowym staniku od bikini, która miała wyrażać witalność oraz, że jest nagazowana (zwolniony kierownik nie był pewien, czy woda, czy nastolatka). Nie zadał również beczelnego w tym stanie gospodarki pytania, czy firma planuje wydrukować nowe etykiety. Bo Mikołaj, poza tym, że był profesjonalistą, miał w sobie ogromne pokłady miłości do człowieka. I został z tą miłością, mandarynkowym stanikiem i piosenką religijną - po godzinach. Ostatnia z propozycji tytułu, przedstawionych klientowi brzmiała: „Z Mandarynką do raju!”. Tytuł ten bezdyskusyjnie spełniał wszystkie założenia briefu i uwzględniał preferencje klienta co do prostoty. Pasował do płyty i do etykiety - oswojone piosenką religijną, naturalne ludzkie skłonności miały prowadzić do odpowiedzialnego (przy oranzadzie, więc bez alkoholu) poczęcia wartości rodzinnych i tym samym nowych konsumentów. Oto wracamy z mandarynką tam, skąd wykopano nas z powodu jabłka. Kompletnie zdruzgotany stanem swojego intelektu Mikołaj podkreślił znaczenie tej interpretacji wobec faktu, że główny konkurent zleciodawcy postawił na napoje jabłkowe.

Niecierpliwie czekaliśmy na odpowiedź, ponieważ wiązała się z nią drobna kwota, która jednakże mogła przesądzić, czy wypłacą nam pensje. I odpowiedź nadeszła:

Przeanalizowaliśmy kolejne propozycje, jednak nie uzyskały one akceptacji Zarządu, w związku z tym, prosimy na okładce płyty umieścić tytuł: Piosenka religijna (małą czcionką) Gratis (dużą czcionką). Ostateczne projekty proszę przesłać do akceptacji w dniu jutrzejszym.

Odetchnąłem z ulgą, ponieważ znaczyło to, że druk zostaje w agencji, a Mikołaj wygłosił wtedy po raz pierwszy swoje kul-

towe: warto to olać. Kiedy się już przełamał, zaczął trąbić na okragło - Sardynki? Warto to olać! Zrobił się facet nie do zniesienia. Przewidywalny jak paczka fajek, po prostu wypalony. Gdyby powiedział chociaż: Sardynki? Olej ten olej! Uważałbym, że jest nadzieja. Ale Mikołaj zgasł. A we mnie wciąż tliła się pieprzona iskierka. Prawdopodobnie była to zawiść. W Warszawie istniały przecież megaagencje, bezkompleksowo międzynarodowe, sieciowe agencje, gdzie ludzie zarabiali tyle, że stać ich było na taksówki, żeby jeździć z klubu do klubu w czasie weekendu, który obchodzili co tydzień. No bo w Warszawie trzeba się najeździć. Nie to, co u nas. Wiedziałem oczywiście, że ich też dotknęły redukcje, przynajmniej połowę z nich, ale przecież połowa pozostała. Moja kumpelka Iwona należała do tych, którzy wrócili. Do domu. Do Krakowa. Spadające gwiazdy są tu mile widziane.

Hasło reklamowe miasta brzmi: „Kraków - mamy czas”. To święta prawda. Bo praca jest w Warszawie. My, z Krakowa, jeździmy tam ekspresem.

My, z Krakowa, w Warszawie wysiadamy!

Tylko dla kokainistów

- Fajki mi szkodzą - zwierzyłem się Iwonie dwa tygodnie później, gdy spotkaliśmy się w Zgniłych Pomarańczach, żeby jakoś zacząć rozmowę.

- Mówię ci - powiedziała mi zaraz, jak tylko tam weszliśmy - to jest gejowski klub. Oni mają najszybszą informację na świecie. Otwiera się coś i już po tygodniu przychodzą Angole i Japończycy. Przyjeżdżają cło nowego miasta i od razu wiedzą, gdzie iść.

Iwona bacznie śledziła kulturę gejowską. Fascynowały ją teorie Richarda Floridy dotyczące rozwoju klasy kreatywnej. Byliśmy kreatywni i zależało nam na klasie, a Richard Florida otwierał nowe perspektywy naszemu stęchłemu miastu. „Na-

sze Miasto". Tak nazywają się urzędowo dotowane gazetki, których nikt nie chce czytać. Zarabiający prawdziwe pieniądze ludzie przyjeżdżają tu tylko, żeby się zabawić. Odwiedzają nasze knajpy i wciągają w nozdrza zapach naszego spleenu. Biznes wpada tu w wolnej chwili, żeby przelecieć bohemę i zostawić jej wizytówkę. W naszym mieście knajpy przylegają jedna do drugiej i możesz zaliczyć je wszystkie, nie wydając nic na taksówki, a to duży plus (dla wszystkich, co są na minusie). Knajpy! Dopóki nie skończy ci się kasa, możesz chodzić od jednej do drugiej, zanim nie spotkasz kogoś, kto postawi ci w trzeciej i odkryje (gdzieś koło piątej rano), że nie masz zamiaru zrewanżować mu się w czwartej. Bo jesteś, jak wszyscy tutaj, zapowiadającym się artystą (jak rzekł Pan Maleńczuk - wystarczy kopnąć w śmietnik). Poetą, który chwilowo udaje copywritera. Malarzem, który zarabia jako grafik. Jesteś muzykiem, który marnuje się jako dźwiękowiec. Pracujesz w sklepie wędkarskim, naciągasz żyłki, zakładasz haczyki, stawiając sobie egzystencjalne pytania, a gdzieś w Tate Modern czekają na próżno na twoją instalację, genialną - w zamyśle.

Co do prawdziwych artystów - dawno już stąd wyjechali. Reżyserzy i aktorzy, nawet pisarze. Teraz opowiadają o naszym magicznym mieście na łamach realnych, warszawskich gazet. Bogaty program kulturalny (bo to jedynie mamy tu bogate) jest dobry na emeryturę. Jest świetny, wręcz leczniczy - tutaj czas po prostu się zatrzymał. Od trzech lat trwa, przykładowo, festiwal Kraków 2000. Czy Warszawa mogłaby sobie na to pozwolić?

Iwona powiedziała, że Richard Florida powiedział, że miasta takie jak to potrzebują gejów, żeby się rozwijać. Sami artyści oznaczają degrengoladę - artyści plus geje oznaczają rozwój. Nasze zabytkowe miasto dzięki gejom odmłodnieje, stanie się tolerancyjne, otwarte na nowe idee i wtedy jeszcze zobaczycie - wielki biznes, po prostu, sam się będzie pchał. Do Zgniłych Pomarańczy wszedł roślak, nienaturalny blondyn w rzymskiej szacie, z naszymi na torsie i zobaczyłem uśmiech, który ożywił znużoną twarz miasta i triumfalny błysk, w oczach Iwony. Wytknąłem jej, że myśli stereotypowo i sądzi ludzi po pozostawieniu

rach. Heteroseksualni także bywają zdrowo pogięci i miewają ochotę na orgię.

Zamówiliśmy jeszcze po jednym, i po krótkiej rozmowie o tym, co zamierza teraz robić (nie miała żadnego gotowego scenariusza, niegotowego zresztą także), zapytałam ją o narkotyki.

- Niczego nie brałam - odpowiedziała ze smutkiem. - Jakoś tak... nie było okazji...

- W Warszawie? - naprawdę mnie załamala.

- Wiesz... było strasznie dużo roboty i jakoś tak...

- Słodki Jezu - jęknąłem i grupa siedząca przy stoliku obok spojrzała na nas podejrzliwie. Przekazałem im znak pokoju, żeby się odpieprzyli.

- Naprawdę mi głupio - wyznała, nerwowo gasząc papierosa - ale nie!

Mam autentyczny kompleks w sprawie narkotyków. Z tajemnych powodów świat amfetaminy i kokainy, która miała być przecież organicznie związana z moim zawodem - ten świat nigdy nie stanął przede mną otworem. Heroiny od dziecka bałem się jak ognia. Choć są dowody, że aby wyzwolić się z nałogu, wystarczy napisać książkę. Ale ja jestem Słaby, mnie mogłoby się nie udać. Co innego kokaina. Cały cywilizowany świat ciągnie przecież na kokainie. Tylko nie ja. Nie moi znajomi. Nikt w naszej agencji, choć przeszło przez nią wiele osób, atrakcyjnych i dobrze ubranych. Chociaż bywam na imprezach i w klubach - tych trzech, gdzie wypada, i dziesiątkach innych. Znam tytuł muzyków. I dziennikarzy... Nikt nigdy. Nigdzie. Niczego. Tylko czasami trawka, ale co to jest trawka? A i trawkę rzadko. Czy jestem naznaczony? Czy noszę koszulkę z napisem Dobry chłopiec? A Iwona? W agencji sieciowej? Nic? Tylko trochę schudła i chyba przyciemniła włosy. I w tych brązach... było jej bardzo ładnie, ładniej niż kiedykolwiek...

- No i przywożłam sobie z tej Warszawy takiego jednego... pewnego...

- To gratuluję - otrząsnąłem się błyskawicznie. - A czy on... zażywa narkotyki?

Jak tak dalej będzie, to pójde w końcu po tę kokainę do lekarza.

Wizyta

Ja:

Eee, panie doktorze mam tu taki rulonik... Chodzi o to, że mam taki imperatyw... żeby chociaż tak sobie raz... wciągnąć... przez rulonik, tego... Czy by pan mógł... łaskawie...?

Lekarz:

Paaanie! Sam o tym marzę. Ale nie ma skąd wziąć. Może gdyby mieć dzieci? Byłoby łatwiej. One znają odpowiednich ludzi. W szkołach to na pewno są narkotyki!

Ja:

To może chociaż coś innego, wie pan, jakąś receptę na coś innego, o podobnym działaniu?

Lekarz:

Receptę?! Zwariował pan, czy co? Z recept to ja się rozliczam. Przed firmami farmaceutycznymi. Leki na receptę to ja mam na rok z góry ustalone. Chociaż gdyby pan życzył sobie na przykład czegoś na depresję, to z radością. Nie ma problemu.

Ja:

Eee, to może kiedyś, tego... przy okazji...

Lekarz:

Niech pan zapyta, bo ja wiem... w jakiejś agencji reklamowej?!

Byłem pewien, że wchodzący tłumnie na rynek opaleni i pozytywnie nastawieni do świata młodzieńcy nie mają najmniejszych trudności ze zdobyciem kokainy. Zalewała mnie gorycz. Wyobrażałem sobie białe ścieżki, które zaprowadzą mnie do przeszklonych gabinetów i stylowych galerii. Widziałem nocne lokale z kartami wstępu TYLKO DLA KOKAINISTÓW. I długonogie dziewczyny, w ekstazy tańcu, mówiące językami. Były to mrzonki i tęsknoty starca siedzącego na zielonej ławce, zapatrzonego w mijające go pary albo całe grupy szczęśliwych ludzi, zmierzających w pośpiechu gdzieś ku innym ludziom, ku innym miejscom, gdzie on sam już nigdy nie dotrze. Właściwie nie miało znaczenia, za czym dokładnie tęsknię. Mogła to być równie dobrze Warszawa, Londyn, Nowy

Jork albo kobieta, której jeszcze nie znałem. Może po prostu jakaś inna praca, inna ulica albo nowa twarz. Bo zapadałem się w życiu jak w starym materacu i gdy dzień się zaczynał - nie chciało mi się wstać.

JAKO PRODUKT - myślałem - jestem zupełnie do niczego. I lubi mnie zaledwie kilka osób. Nie jestem wart, żeby właściciel sklepu jechał po mnie do hurtowni. Nie ma na mnie masowego popytu. Można mnie znaleźć tylko w małych sklepach, koło czekoladek sprzedawanych na wagę. Nie dla mnie rozległe powierzchnie supermarketów, nikomu nie polecają mnie uroczyste hostessy. Nie stoi za mną reklama telewizyjna, nie udzielam wywiadów prasie, ani radiu. W sławie i bogactwie nie mam istotnego udziału. Całe moje istnienie mieści się w granicach błędu.

Dziura czy brama - próba autoanalizy

W marketingu stosuje się coś takiego jak analiza SWOT. To skrót z angielskiego i powiem o tym w skrócie: Strengths, Weaknesses, Opportunities, Threats - mocne strony produktu, wszystkie jego pięty oraz to, co może mu się przydarzyć w najlepszym i w najgorszym razie. Bez SWOT-a nie da się opracować żadnej porządnej strategii, a bez porządnej strategii nie zawalczysz o swoje. Nasz szef, który był upierdliwy, ponieważ był szefem, powtarzał często, że najfajniej jest wtedy, kiedy uda ci się wmówić ludziom, że dziura w płocie to jest brama i zachęcał nas do tworzenia takich strategii. Klientów to nasze podejście cieszyło, gdyż słabe strony produktu (które czyniliśmy atutami) były rzeczywiste, a jego mocne strony - mocno naciągane. Paradoksalnie więc, mówiąc, że słabe jest mocne, a mocne jest słabe - mówiliśmy prawdę w reklamie! Nasz szef był wizjonerem. Właściwie nadal nim jest, tylko jego wizje zmieniły charakter - stały się katastroficzne. Siedzi w tym swoim gabinecie

i usiłuje wyliczyć w Excelu, kiedy wybuchnie wulkan. Nawet nie pyta, co myślę o sardynkach TAAAKARYBA, czy jeszcze się angażuję, czy już to wszystko szlam! Obchodzi go tylko wulkan. Nawet ja wiem, że nie uratują nas rybki. Jestem tu niepotrzebny i warto to olać!

Aktualnie moja praca nie przysparza agencji nawet tych pieniędzy, jakie mogłaby oszczędzić, gdyby mnie nie było. Powiniennem odejść - wykażę wówczas, że rozumiem sytuację firmy.

Operatywka (wizja)

Szef:

Słuchajcie, musimy pogadać o podziale pracy na dzisiaj...

Pierwsza sprawa, Małgosiu, dotyczy twojej działki... tak więc na dzisiaj masz... nic! Aga i Kiciu, jako że pracujecie w zespole, tak więc na najbliższe dni mam dla was duże... nic. Wojtek... a właśnie! Chciałeś mieć, zdaje się, jakiś dzień... żeby wyczyścić dyski!

Marek i Mikołaj... taaa... dalej ciągniecie sardynki!

Mikołaj:

Warto to olać!

Ja:

Nie wiem, czy to dobry moment, ale chciałbym powiedzieć, że... odchodzę.

Szef:

Aha? Aha, aha, aha! W takim razie... Mikołaj przejmuję sardynki! Cały zespół - nie przeszkadzać Markowi! Ma poważny projekt i musi się skoncentrować. Marku - trzymamy za ciebie kciuki! I pamiętaj, że dziura to brama!

Dobra, wróćmy do SWOT-a. Będzie nam potrzebna czysta kartka papieru. Nie, nie do pisania - kartka ma jedynie symbolizować niewiadomą. Popatrzcie. To moja przyszłość... Przecinające się proste lęku i pragnienia wyznaczają na niej punkt.

Do mocnych stron zaliczyłbym wspomniane podobieństwo do Hugh Granta. Jest to jednakże podobieństwo znikome, co

każe uznać tę cechę za słabość. Dalej wcale nie będzie lepiej - mocna strona: jestem copywriterem; słaba strona: jestem copywriterem. Nie obejdzie się bez tabeli.

STRENGTHS

- podobieństwo do Hugh Granta
- grono wiernych przyjaciół
- związana z wykonywanym zawodem swoboda w posługiwaniu się językiem
- znajomość dorobku twórczego kilku poetów oraz świadomość istnienia całej masy innych
- podobnie z prozaikami
- świadomość istnienia teatru, malarstwa oraz innych sztuk
- niewielka kolekcja płyt w związku z doskonałą znajomością cen
- własne dokonania artystyczne (biało-czarna fotografia i wiersze wieńczące okres dojrzewania)
- nowe dzinsy *Diesla*
- cztery rewelacyjne podkoszulki *No Name*, w dobrym stanie
- mieszkanie (przytulne, prawie w centrum Krakowa)
- nowy samochód
- pominawszy wódkę i papierosy - bez nałogów
- stan wolny
- 33 lata
- nieukierunkowana pasja tworzenia

WEAKNESSES

- pasja tworzenia - nieukierunkowana
- 33 lata
- samotny
- bez nałogów zasługujących na opisanie
- nowy samochód (kredyt!)
- małe mieszkanie (całkiem spory czynsz)
- niedobry garnitur
- spodnie od garnituru wypchane na kolanach
- zerowe dokonania artystyczne
- uboga kolekcja płyt

- trudność połączenia tytułów z nazwiskami w dziedzinie teatru, malarstwa oraz innych sztuk
- wyrywkowa znajomość kanonu lektur
- nieznajomość dorobku całej masy poetów
- problemy z interpunkcją (w tym średnikofobia)
- wąskie grono przyjaciół
- znikome podobieństwo do Hugh Granta

OPPORTUNITIES

Listując cechy produktu, byłem nawet zadowolony. Pomijając wiek, byłem właściwie zdolny do wszystkiego. Wcale nie gorszy niż inne produkty, zaznaczające swą obecność w telewizji. Nie całkiem głupi i nie za mądry - mówiłem prostym językiem, żeby zwiększyć zasięg. Byłem wyćwiczony w dorabianiu teorii do rzeczy bez znaczenia - mogłem nawet poprowadzić talk show albo inny program, kto wie, może napisać książkę. Mogłem sklecić coś z czegoś i zrobić wystawę, nagrać płytę (na której nie śpiewałbym, tylko mówił), do czegoś kandydować albo zrobić performance. Co ciekawe, o ile moje mocne strony zdawały się zaledwie umożliwiać jakąkolwiek karierę - moje słabości miały tyle siły, by wręcz ją gwarantować. Lekki stosunek do tematu, dezynwoltura połączona z ignorancją - jako prezenter telewizyjny, w dobrym opakowaniu, byłbym po prostu fantastyczny.

Program kulturalny adresowany do młodego odbiorcy

(wizja)

Ja:

Heloooo! Witamy w programie kulturalnym *Zamknij za sobą drzwi*. Jeśli wszedłeś, to usiądź. Mamy tylko chwilę, żeby powiedzieć, że znowu jacyś kolesie napisali jakieś książki. Dostaniecie je, jeśli zadzwonicie i odpowiecie na pytanie: Jakie to książki? Tytuły zaraz pojawią się na ekranie. Nazwisk i tak nie zapamiętacie. Jeśli ktoś zapamięta autora, dostanie od nas DVD! A teraz przywitajmy naszego rozmówcę, młodego poetę,

który z Doliny Kościeliskiej wspiął się na wyżyny Nagrody Kościeliskich!

Rozmówca:

Dzień dobry, ale ja...

Ja:

Tak, to dobry dzień dla kultury. Podobno o przyznaniu Nagrody Kościeliskich dowiedział się pan przed chwilą?

Rozmówca:

Tak, chociaż...

Ja:

A kto ją dostał?

Rozmówca:

Yyyy?

Ja:

Tylko żartowałem.

Tak. Moje braki były warte nawet więcej. Ta autentyczność - gwarantowana brakiem manier! I szczerłość - według Timothy'ego Bewesa - zastępująca dziś z powodzeniem rozum i subtelność. Wiarygodna etykieta rynkowa.

Demonstracyjnie olewczą postawą w stosunku do kanonu i autorytetów mogła być, owszem, pomocna dla prezentera, ale mogła też okazać się integralną częścią mojego wizerunku jako artysty. Brak dokonań w tym względzie stwarzał szansę na nowatorstwo, treściową niskokaloryczność i miętową świeżość. Byłem predestynowany, by dać ludziom łatwą do przełknięcia sztukę, po której będą czuli się lekko i rześko, jakby najedli się powietrza. Nie wiedziałem jeszcze, co miałyby stanowić przedmiot owej sztuki, ale współczesna krytyka podpowiadała skwapliwe, że nie ma przeciwwskazań, by przedmiotem był podmiot, więc jak rozumiem - ja! W każdym razie cała ta analiza prowadziła do zaskakującego wniosku, że są przede mną możliwości.

THREATS

Sorry, ale tu się załamam. Sorry było do moich kibiców, zastygłych na trybunach wyobraźni. Bo zagrożenie istniało. Było żywe. Co komu po wielkich planach, gdy zastopuje je lęk?

A moją psychikę złamano już w dzieciństwie. Pamiętam zaledwie jedną z baśni czytanych mi przez mamę. Christian, cholerny, Andersen, (jak powiedziałyby autor amerykański) ze swoim nagim cesarzem. Zostałem ukształtowany - indukowano mi lęk. Nie przed ciemnością, skokiem z wysokości, czy szeroką wodą... Wyzwania? Ok. Niebezpieczeństwo? Spoko. Śmierć? Frajerom. Bałem się tylko kompromitacji! Oczywiście zazdrościłem sprytu krawcom, ale utozsamiałem się z gołym królem. Miałem normalnie gęsią skórkę. Zdumiewa mnie odwaga, z jaką tyłu ludzi szyje nieistniejące szaty dla samych siebie. Ja sam jestem przecież krawcem. Co dzień pytam klientów, czy widzą, jak połyskuje w słońcu cieniutka, złota nić. Zachęcam, żeby wzięli ją do ręki, opisują barwy i faktury. Ale sobie? Zrobić to sobie? Autoreklama nigdy nie wchodziła w grę. Owszem - byłem, jaki byłem. Tyle, że w domu, a nie w telewizji.

Realizowałem w życiu scenariusz napisany jakby na zamówienie mamy i taty: matura, studia, i tak dalej - bez ekscesów, wojaży i wolt. Nie próbowałem nigdy przejść na piechotę Indii ani przepłynąć na tratwie oceanu. Trzymałem się z daleka od subkultur, komun i sekt. Jako owoc żywota byłem zdrowy i nie padłem specjalnie daleko od jabłoni. Brakowało jedynie happy endu z wymianą obrączek i tak dalej. Istniała jednak szansa, że jest to kwestią czasu, pomimo że nie zostałem lekarzem ani adwokatem. Moi rodzice nadal nie bardzo wiedzieli, kim ja właściwie zostałem. Studiowałem psychologię w czasach, gdy nikt nie wierzył, że Polacy będą tak bogaci, żeby płacić komuś za wysłuchiwanie ich zmar-twień. Zresztą mieli to za darmo. Publiczne narzekanie było naszym narodowym daniem dnia. Serwowano je w każdym domu, na ulicy, w zakładzie pracy. Polska gościnność polegała na stawianiu wódki na stole i wzajemnym częstowaniu się problemami. Najwyżej rozwinięta forma psychoterapii grupowej, aż stawało w gardle. Wydawało się, że psycholog może umrzeć z głodu! Ja sam i moi koledzy traktowaliśmy tę dziedzinę jak pewnego rodzaju kierunek humanistyczny z niepotrzebną domieszką neuroanatomii. Poszedłbym na polonistykę, ale wolałem już neuroanatomię od gramatyki historycznej. Nikt nie przewidywał, że gabinety psychologiczne rozmnożą się szybciej niż restauracje McDonalda i na-

stąpi ta eksplozja... klinicznego dola wśród kredytobiorców i nerwicy u ich niezaspokojonych żon. Przykładałbym się bardziej, mając przed sobą perspektywę kasowania stowy za godzinę.

Liznąłem jedynie nieco psychologii społecznej, zaliczyłem na chybcika fakultet z... no powiedzmy, reklamy - na uczelni nie było specjalistów tej działości, bo ci, którzy mieli okazję ją zgłębić, odeszli i pozakładali własne agencje, a stara kadra o reklamie wiedziała tyle, ile było widać w telewizji. Zajęcia nazywały się ogólnie - *Techniki komunikacji społecznej* i prowadził je facet od psychologii transportu. Szczególnie interesowały go techniczne aspekty reklamy na tramwajach. Mimo wszystko skończyłem jednak jakieś studia i dostałem pracę. Brałem jakąś tam forszę, czułem się z tym jako tako. Pozornie było w porządku, toczyło się, zlatywało. Miałem do śmierci pisać fraszki o sardynkach, bo przekroczyłem trzydziestkę i nie pokazałem nic światu. Umiałem jedynie uczciwie przyznać, że nie widzę w samym sobie nic nadzwyczajnego i nie wyskakiwałem przed orkiestrę, żeby nie najeść się wstydu. Mój król był ubrany - pieprzony, zachowawczy królik!

Potencjalni nabywcy i casus Tola

Postanowiłem zrobić sobie listę potencjalnych nabywców. Zacząłem z grubej rury:

**ŚWIAT! (OKABLOWANY, OTWARTY NA KOMUNIKATY
WYSYŁANE W ETHER)**

Po namyśle zdecydowałem się ograniczyć do Europy. Najpierw jednak musiałem zaistnieć na rynku krajowym. Ponieważ jako, było nie było, człowiek, jestem produktem złożonym - pragnąłem zaistnieć w niejednej roli.

Myśląc o moich ewentualnych nabywcach, zastanawiałem się równocześnie, jak sformułować ofertę. Układałem sobie w głowie komunikat, który trafi im do serca i wpłynie na decy-

zję zakupu. Zakupu MNIE, oczywiście. Usiłowałem dociec, czego moi nabywcy potrzebują i czego (jeszcze o tym nie wiedząc) pragną. Nie mając w ręku badań rynku, musiałem ograniczyć się do wertowania popularnej prasy i do mojej męskiej intuicji. Liczyłem także, że przypomni mi się coś ze studiów - jakaś wiedza spoczywała przecież w głębiach mej pamięci, bezużyteczna niczym wrak Titanica.

PROFIL PSYCHOLOGICZNY POTENCJALNEJ NARZECZONEJ

Jest to kobieta o rozbudowanym instynkcie opiekuńczym, która wierzy w cuda i gotowa będzie wspierać leżącego.

Dbająca o swą urodę, jednak bez przesady (tzn. niekoniecznie wydaje majątek na kosmetyki, za to nieustannie przegląda się w oczach mężczyzny, któremu ślubowała wierność i cierpliwość macierzyńską).

Oczytana (głównie w odniesieniu do moich potencjalnych dzieł i publikacji).

Nie znosi lekarzy i adwokatów.

Charakteryzuje się doskonałym poczuciem humoru (kiedy powiesz, że wylali cię z pracy, urwałeś maskę od samochodu i zgubiłeś klucze - będzie myślała, że żartujesz).

Powinna jeszcze wyglądać jak Liz Hurley i lubić oralny seks.

PROFIL PSYCHOLOGICZNY POTENCJALNEGO PRODUCENTA ALBO WYDAWCY

W przeciwieństwie do tego, co sądzi się w branży, nie wierzy w siłę młodości.

Nie zachłystuje się dokonaniem szczyli.

Nie ma podejrzliwego stosunku do twórców, którzy nie zaistnieli przed czterdziestką.

Wybiera talent podparty życiowym doświadczeniem, ale zbyt duże doświadczenie uważa za balast.

Czeka cierpliwie na efekty i nie traci nadziei.

Zaprzyjaźnia się z ludźmi.

Nie rozlicza przyjaciół z efektów.

Daje drugą szansę po raz trzeci.

PROFIL PSYCHOLOGICZNY POTENCJALNYCH CZYTELNIKÓW, WIDZÓW, SŁUCHACZY

(Nie miałem jeszcze jasności, z czym do kogo chcę trafić, wprowadziłem więc rozróżnienie na odbiorcę masowego i wyrafinowanego - to drugie na wypadek, gdybym nie potrafił stworzyć niczego, co może się ludziom podobać).

ODBIORCA MASOWY

Woli tancerkę na rurze od rury z tancerką w środku.

Uważa, że balet powinien polegać na tańczeniu, a nie na czołganiu się po scenie (chyba że na golasa).

Chętniej czyta zdania zawierające orzeczenie niż zdania bez orzeczenia.

Opuszcza długie opisy, bo przecież każdy wie, jak co wygląda.

Uważa, że obraz ma być namalowany, a nie na przykład zymiotowany przez artystę na płótno, co dla awangardy jest uświęconą tradycją.

Widząc na wystawie kanapę zrobioną z mięsa, pyta, co to za mięso.

Jest przekonany, że powinno być coś widać na zdjęciu.

Nudzi się na filmach o robieniu filmów i na takich, w których nikt w ogóle nic nie robi.

Może się zdarzyć, że kupi *Chirurgiczną precyzję* Barańczaka - chirurgowi.

Lubi teatr w telewizji.

WYRAFINOWANY ODBIORCA

Akceptuje gołe, o ile jest brzydkie.

Podoba mu się brzydkie, zwłaszcza gdy jest gołe.

Gdy skończy się płyta, to słucha jeszcze chwilę, zakładając, że może to być kolejny utwór.

Mówi w towarzystwie, że interesuje go np. poezja węgierska ubiegłego stulecia, mimo że nie jest Węgrem.

Broni tezy, że preparowanie zwłok także jest sztuką.
Nie dziwi się, kiedy ktoś obiera ziemniaki w galerii i nie próbuje pozbiierać obierek.

Nadaje znaczące imiona domowym zwierzętom.

Osobiście ceni dawno docenionych.

Uznaje za kultowe rzeczy, które zostały za takie uznane.

Dobrze znosi kino irańskie.

Twierdzi, że Woody Allen strasznie się skomercjalizował.

PROFIL PSYCHOLOGICZNY PRZYJACIÓŁ (LUB CHOCIAŻ ZNAJOMYCH)

Ludzie sukcesu, czyli tacy, których wpuszcza się do warszawskich klubów (najlepiej będzie zasięgnąć opinii u jakiejś selekcyjnerki). Ogólnie rzecz biorąc - burżuazyjna bohema, która wszędzie potrafi znaleźć się na czas.

Nie wytrzymałem i powiedziałem Mikołajowi, że zamierzam odmienić swoje życie.

- Może byś mi pomógł oszacować popyt - zaproponowałem jego plecom, ponieważ trwał w pozie katatonika - w przypadku masowego i wyrafinowanego odbiorcy?

- FMCG - odpowiedział. - Musiałbyś zostać czymś w rodzaju Fast Moving Consumer Goods, żeby na okrągło cię kupowali.

- Mikołaj, ja wiem, co to jest FMCG.

- Wiesz - burknął. - Teraz wszyscy wiedzą, ale były czasy - rozżalił się - kiedy wiedziałem tylko ja.

- Dobra, już dobra.

- A co do wyrafinowanego odbiorcy to...

- Warto to olać?

- Warto to olać!

- Ale, że niby jak? Jak bardzo fast, myślisz?

- Bo ja wiem - odkręcił się od biurka i obrócił w moją stronę - może cykliczny program w telewizji, może... - ujrzałem, jak na powrót ogarnia go wewnętrzny płomień - może jak Adam Słodowy!

- Kto?!

- Adam Słodowy - potwierdził całkiem serio.

Mikołaj był parę lat starszy ode mnie i pamiętał programy Adama Słodowego - papieża majsterkowiczów. Całe dzieciństwo gapił się z otwartą gębą, jak Adam Słodowy robi z tektury pod ręczny reaktor atomowy. Według Mikołaja Adam Słodowy umiał zrobić wszystko, na każdą okazję - gdyby zechciał, zrobiłby nawet matkę na Dzień Matki, w trzy minuty przed dobranocką.

- Ale co? - nie wiedziałem, jak mógłbym odnieść to do siebie.

- Kreatywnie, zachowaj się! I postaw na głowie, jak cię uczono.

- Słodowego?

- Ideę, kretynie! On robił z niczego coś, tak?

- T a k .

- Ale to było w socjalizmie, tak?

- T a k .

- A teraz jest kapitalizm...

- T a k .

- Teraz jest kapitalizm, więc...?

- Więc... - rozumiałem, że mam dokończyć - więc... wszystko jest w sklepach?

- Widzisz! I teraz... odwracasz ideę Słodowego i robisz z czegoś nic! Proste?!

Mikołaj po raz pierwszy od wielu dni był z siebie zadowolony. Nie chciałem psuć mu przyjemności.

- Okay - kiwnąłem głową. - I prowadzę ten program nago.

- No, jak tam sobie chcesz. Nago to nago, najważniejsze, że program!

- Mikołaj, czy nie sądzisz, że są lepsi niż ja kandydaci, żeby robić to nic? Znani politycy albo mało znane aktorki?

- Szczerze mówiąc, sądzę! - powiedział Mikołaj, co trochę mnie zabolalo. - Może warto to olać? - zaproponował dla odmiany.

No tak - żeby tak robić nic, rzeczywiście trzeba być kimś. Pomysł poszedł się pieprzyć, a my zapaliliśmy na znak żałoby i szurając nogami, poszliśmy zaparzyć kawę.

- T a k , stary - mruknął Mikołaj - mleko się skończyło, a z nas, kurna, zostało już niewiele. I podejrzewam, że żona zdradza mnie z inną dziewczyną.

- E, taka zdrada!
- Pokłóciliśmy się - ręka, w której trzymał kubek, zdrzała.
- Powiedziała, że nasz seks trwa krócej, niż się goli nogi.
- O, to rzeczywiście... raczej krótko.
- Czy ja wiem? Ona okropnie długo siedzi w rej łazience.
- Palimy jeszcze po jednym? - zachęciłem go. - Może czerwonego? Lighty nie są dobre na ciężkie rozmowy.
- Nee, bo mi płuca pękają. Przedwczoraj została u niej na noc i potem wyglądała fatalnie.
- Niedobrze stary. Jak wyglądała fatalnie, to niedobrze. Wszystko przez to twoje olewanie. Musisz z tym skończyć. Jak Magda tak cię słucha dzień w dzień...
- Może zapytać ją wprost, co? Ty byś spytał?
- Spytałbym - przytaknąłem - ale nie mam kogo.
- Ty takie pokolenie jesteś - machnął ręką i obsypał się popiołem - egoistycznych tych, no, związkofobów! Wiesz co? Ja ci czasem zazdroszczę!
- Bzdura - wkurzyłem się. - Nie mogę być związkofobem, bo nie pojawiło się żadne zagrożenie. To ja ci zazdroszczę. Mogłeś pójść na *Shreka* z synem, a ja musiałem sam. A teraz pójde sam na *Stuarta Malutkiego* 3.
- Taak - Mikołaj zadumał się. - Jak chcesz, to możesz zabrać mojego syna.
- Dzięki - powiedziałem. - To rzeczywiście wszystko załatwia. Sam sobie zabierz syna. Pójde na *Stuarta Malutkiego* z *Tolem*.
- Tym od jeleni?

Tolo był moim kumplem jeszcze z podstawówki. Był nadpobudliwy i poszedł do liceum plastycznego. Tam napalił się trawy i cała nadpobudliwość mu przeszła. Zarabiał na urządzaniu wystaw i razem z innymi absolwentami liceum plastycznego wieszał swoje obrazy pod Bramą Floriańską. Mały kłopot - Tolo nie umiał malować. Turyści patrzyli z odrazą na jego jelenie. Podczas gdy jelenie kolegów Tola wyglądały jak żywe - jelenie Tola mogłyby jedynie wystąpić w reklamówce MTV. Wszyscy robili sobie z niego jaja, dopóki pod Bramą nie stanął jak wryty

pewien Anglik. Tylko spojrzął i powiedział do Tola po angielsku: Son, come with me! I Tolo z nim poszedł. A jego koledzy krzyknęli po łacinie: Tolo, Tolo! Quo qrwa vadis?

Aktualnie ma już drugą wystawę na West Endzie i okulary z napisem Gucci. Niestety, nic więcej, ale i tak podziwiam go jak diabli. Tolo wstrzelił się w gusta odbiorcy wyrafinowanego. Wierzę, że jeszcze kiedyś jakoś sobie ten sukces odbije. Na razie wszystko, co zarobi, zżerają bilety lotnicze. Musi strasznie często jeździć do tego Londynu, a w samolocie napieprza go ucho.

- Trzymają dla mnie miejsce - powiedział radośnie, kiedy zadzwoniłem. - Pod Bramą! Trzymają dla mnie miejsce!

Osobiście będę stawiał na masy. Pooglądam, TVSperm chociażby, i coś się przecież wymyśli. Intymny jakiś reality show, powiedzmy... masturbacja bez użycia rąk - wytrysk osobowości.

Wyobrażałem sobie siebie w telewizji. Jedna kropelka potu i wytarte czoło. Bo kto się ma sprzedawać, jak nie ci z reklamy. Czy zaschłoby mi w gardle od plucia na odległość? Wyobrażałem sobie dalekie wierzchołki na wyciągnięcie ręki. Hektary sałaty! Wyobrażałem sobie ociekającą mlekiem i miodem wioskę. Milczący aplauz krów, roje pszczoł uwijających się nad kwieciami intelektu, tłuste odwłoki wypasionych zer. Kiedyś dążenie do sukcesu było pięciem się w górę, zdobywaniem szczytów - fałszywa pieśń i nieadekwatna symbolika! Jaki szczyt? Jaka wspinaczka? Dzisiaj to są sielskie i płaskie pejzaże. Sukces jest wtedy, gdy masz odwagę wleźć na cudze pole i położyć się na nim z rękami pod głową.

Tak. Mikołaj miał rację. Adam Słodowy, do góry nogami. A że są lepsi? To ich problem. Zastanawiałem się tylko, czy moje nazwisko nie jest przeszkodą, i co by było, gdyby na przykład Tołstoj nazywał się Krótki? Pomyślałem, że Słaby musi pokazać coś naprawdę mocnego, coś... granicznego. Tak, żeby masowy odbiorca myślał, że jest już wyrafinowany!

A przy okazji: wiecie, czym różnił się luksus za komuny od luksusu teraz?

Symbolem luksusu za komuny była pomarańcza i dzieliło się ją na cząstki. Teraz jest to melon. Melona trzeba skroić lub rąbnąć w całości.

Strategia, czyli jak się wcisnąć

CEL: WPROWADZIĆ MARKA SŁABEGO NA RYNEK POP-KULTURY.

Aby osiągnąć cel, najpierw trzeba było wymyślić produkt do końca. Potem należało sformułować unikatową obietnicę sprzedażową i spozycjonować produkt w stosunku do innych, z tej samej półki. Musiałem stworzyć silny wizerunek marki, czyli Marka, i ugruntować go w świadomości odbiorcy. To była już pestka. Gorzej, że cały czas nie wiedziałem, gdzie jest, kurcze, owoc? Wymyślanie działań, którymi dałoby się zaskoczyć świat, jest nieco nużące. Wypiłem trzy piwa i miałem trzy wizje.

Wizja numer 1

Chrzanię rynek krajowy. Od razu... powiedzmy... Nowy Jork. W moich najlepszych spodniach zjawiam się w pubie bez szyldu, do którego trafiają jedynie wtajemniczeni.

Zamawiam rosyjską wódkę. Piję i milczę. Nawiązuję kontakt wzrokowy z towarzystwem, które patrzy na mnie z szacunkiem. Szacunek rośnie z każdą kolejną setką, jaką wypijam bez mrugnięcia okiem. Po chwili oni, w języku angielskim, zapraszają mnie do stolika. Dochodzę do stolika, nie wywracając się o krzesło. Mówię normalnie, po co tu przyjechałem. Oni znają taki klub, gdzie mogę pokazać swoją sztukę. Nikt mnie nie pyta o białe niedźwiedzie ani czy jest u nas coca-cola. Idziemy do tego klubu. Zionę na ochronę. Zionę na szefa. Mówi, żebym wpadł jutro wieczorem (koło trzeciej). Fuck! Gdzie ja będę spał? Dziewczyna z towarzystwa jest tak nadragowana, że proponuje mi swoje mieszkanie. Idę. Zawodzę seksualnie, ale ona i tak zasypia na podłodze. Kładę się wygodnie w jej łóżku. Rano podnoszę ją z podłogi i mówię, że było mi cudownie. Nie kłamię. Pijemy lurowatą kawę. Ona okazuje się zamekkanizowaną Chorwatką. To fajnie. Wymyślamy razem moja

sztukę. Ona napisze mi na plecach definicję kosmosu po chorwacku, a ja we właściwej chwili zdejmę koszulkę i rozwalę sobie na kolanie pustą flaszkę. Idziemy opowiedzieć to szefowi klubu. Zgadza się, byle bym zapłacił za flaszkę i w ogóle posprzątał po performance. O trzeciej w klubie nie ma już nikogo. Nawet tamtego towarzystwa. Tylko szef, ochroniarz (śpi), ja i amerykańska Chorwatka. Rozwalam flaszkę. Nikt nie zauważył, że zapomniałem zdjąć koszulkę. Pocę się przy sprzątanii i definicja kosmosu paprze mi całą koszulkę na niebiesko. Przychodzi młodszy brat ochroniarza i filmuje to na wideo. Szef mówi, że jakbym chciał, to mogę u niego sprzątać. Na czarno. Ale do czysta. Sprzątam. Sypiam z Chorwatką. Szlifuję posadzkę. Szlifuję angielski. Pomagam przejść Piątą Aleję wytatuowanej staruszce z aparatem korekcyjnym na zębach. Staruszka proponuje, że zapisze mi swój majątek. Film wideo nagrany przez młodszego brata ochroniarza zwycięża na jakimś europejskim festiwalu. Jedziemy razem odebrać nagrodę. Porzucam Chorwatkę i żenię się z Larą Croft.

Kłopot: nie mam na bilet do Nowego Jorku.

Wizja numer 2

Zostaję w kraju. Jadę pociągiem do Łodzi. Idę do klubu Łódź Kaliska. Spotykam weterana grupy artystycznej Łódź Kaliska. Pijemy. Wysłuchuję historii grupy, od początku. Oglądam mnóstwo fotografii obwisłych biustów. Spostrzegam dziewczynę. Normalnie - nie mogę. Idę do kibla. Orientuję się, że zamiast ściany jest szyba i wszyscy widzą, jak sikam. Sikam mimo wszystko. Orientuję się, że to lustro weneckie. Dzięki Bogu. Przy umywalce spotykam gościa z kolczykiem w nosie i proponuję mu swoją sztukę. Siadamy - trzeba to przegadać. Proszę barmana o serwetkę. Nie ma. Proszę barmankę. Ma chusteczkę higieniczną. Kreślę na chusteczce projekt instalacji. Buty w klatce! Bo jestem uwięziony w rzeczywistości. Czy ja-koś tak. Koleś z kolczykiem wylewa piwo na chusteczkę. Nie szkodzi. Tak się składa, że jest stolarzem. To fajnie. Leci po

klatkę. Nie wraca. Idę go poszukać i gubię buty. Chodzę boso po Piotrkowskiej. Przewracam się o weterana grupy Łódź Kaliska. Idziemy do jego dziewczyny. Jest w wieku mojej mamy i piecze ciasto. Wpadam w ciasto. Nieślubny syn weterana filmuje to na wideo, ale nazajutrz kradną mu kamerę.

Wizja numer 3

Zostaję w Krakowie. Idę do Klubu Kulturalnego. Opowiadam, jak było w Łodzi. Gubię buty. Spadam z krzesła. Rozbijam flaszkę. Krzyczę, że sardynki w oleju są metaforą społeczeństwa. Rano czytam o tym w gazecie:

Poeta, prozaik, artysta fotografik i performer Marek Słaby w czasie swojego wieczoru autorskiego skrytykował system przyznawania nagrody literackiej Nike. Literatura - twierdzi Słaby - pełna jest zdechłych ryb. Słóczenie zdechłych ryb na skromnej powierzchni naszego kraju powoduje, że oliwa nie może wypłynąć na wierzch. Dlatego nie możemy się doczekać polskiej powieści współczesnej. Kręgosłup moralny środowiska literackiego jest po prostu miękki.

Obudziłem się z głową w torebce po chipsach. Telefon prawdopodobnie dzwonił już od pewnego czasu. Na podłodze walały się puszki i pęknięta flaszka. Jak w młodej polskiej prozie - pety, nuda i brud.

- Mikołaj?
- A kto?
- Czemu do kurwiew nędzy budzisz mnie w sobotę?
- Mam dzieci - warknął. - Nie obchodzę soboty. Od szóstej rano mieszam w garnku breję.
- J e z u ! A twoja żona?
- Jeszcze nie wróciła od... koleżanki.
- J e z u !
- Może byś wpadł?
- Akurat! Wystarczy, że ty wpadłeś.
- T o wpadaj!

Wziąłem prysznic i alka seltzer. Po drodze kupiłem Red Bulla i czekoladę dla dzieci Mikołaja. Zastukałem w mahoniowe drzwi. Otworzył mi Rafałek.

- M a m uczulenie - powiedział na widok czekolady. - Ja mam uczulenia, a gówniarz nie ma zębów.

Dałem czekoladę Mikołajowi i poszliśmy obejrzeć gówniarza. Miał złociste włoski i różowe śpiochy z króliczkiem. Był dziewczynką.

- J a k on się nazywa - szeptem zapytałem Mikołaja - bo sobie kurde, sorry, zapomniałem?

- J u l i a R o b e r t s - odpowiedział szeptem. - Julka! Najadł się brei i zasnął.

Kazaliśmy Rafałkowi oglądać Eurosport i poszliśmy do kuchni.

- D u ż o myślałem - powiedział Mikołaj - o tym sukcesie i w ogóle. Chyba wiem już, o co chodzi.

- ? - spojrzałem pytająco.

- Kwestionariusz - odrzekł Mikołaj z powagą i rzucił na stół sobotni dodatek do „Gazety” - „Wysokie Obcasy”.

Chwilę wertował i zatrzymał się na stronie, gdzie jakiś muzyk udzielał niestandardowych odpowiedzi na standardowe dziennikarskie pytania.

- N i e m o ż e s z r o z p o c z a ć k a r i e r y - sapnął - bo nie jesteś przygotowany do odpowiedzi na te wszystkie pytania. Kwestionariusz jest podstawą kształtowania wizerunku. Przypuśćmy, że coś tam zrobisz, tak?

- T a k ?

- C o ś t a m z r o b i s z - ciągnął - i dzwonią do ciebie z tych wszystkich gazet. Ten tutaj - zamachał mi przed twarzą „Wysokimi Obcasami” - to jeszcze łatwe: pierwsza randka, pierwszy dzień w szkole, pierwsza łąza... Spoko. Ale pomyśl dalej. Pytają cię na przykład o ulubionego reżysera... I co mówisz? Nic nie mówisz! Zapominasz wszystkich nazwisk i wymieniasz Spielberga. A potem pytają cię, na czym byłeś ostatnio w teatrze, a potem, uważaj, o pisarza, który miał na ciebie wpływ! Rozumiesz?

- J e d n e g o p i s a r z a ? - przeraziłem się.

- Teraz rozumiesz?

Chwilę milczeliśmy. Kontemplowałem niebieską kratkę na ceracie. Bez dwóch zdań - Mikołaj miał rację. Nie byłem przygotowany na pytania z jakiegokolwiek kwestionariusza. Mikołaj poszedł zajrzeć do gówniarza i wrócił z ryzą papieru.

- Jedziemy - powiedział i usiadł.

No i pojechaliśmy:

- Ulubiony reżyser?

- Jeden?

- Reżyser, powiedziałem, czyli jeden.

- Może... Woody Allen?

- No nie wiem... - zamyślił się Mikołaj. Ja mam trzydzieści siedem lat, to dla mnie wszystko dobrze, ale ty jesteś dopiero po trzydziestce... Nie podobały ci się czasem *Upadłe Anioły*? Albo chociaż *Idioci*?

- Woody Allen - postanowiłem być autentyczny.

- No dobra. A teraz: pierwsza poważna książka!

- *Mdłości* - rzuciłem pierwsze, co mi przyszło do głowy.

- Poważniejsze niż *Przypadki Marka Piegusa*.

- *Mdłości* - zapisał Mikołaj i odchylił się od stołu udając, że wymiotuje.

- Albo... *Gra w klasy*?

- Już lepiej *Gra* - mruknął i przekreślił *Mdłości*. - Reżyser teatralny?

- Polski czy zagraniczny?

- Ja wiem...? Rosyjski może?

- To polski, co? Ten... Jarzyna... i jeszcze... Warlikowski?

- W porządku. Teraz dla odmiany architekt!

- Który wywarł wpływ? - upewniłem się.

- Wpływ! - zażądał Mikołaj stanowczo.

- Marian! - odpowiedziałem równie stanowczo.

- Jak to Marian?

- Marian. Zaprojektował mi kuchnię w kiblu. Wynajmowałem parę lat temu taką kawalerkę... Tapczan mi się nie mieścił, a Marian zaprojektował mi kuchnię w kiblu!

- Pierwsza dziewczyna - westchnął Mikołaj, jakby zrezygnowany.

- Dziewczyna widmo. Podrywałem panienki na nieszczęście.
- Jakie nieszczęście?
- No normalne, mówiłem panience, że nie mogę od niej oczu oderwać, bo jest podobna do mojej zmarłej dziewczyny. Działa niezawodnie. Potem ona mnie pytała, jak umarła?
- Kto?
- Dziewczyna widmo. Moja pierwsza. I odpowiadałem, że z przedawkowania.
- Narkotyków?
- N i e . . . środków antykoncepcyjnych.
- Zaraz - zaniepokoił się Mikołaj. To je można przedawkować?
- Pojęcia nie mam. Po prostu próbowałem tą drogą zahaczyć o seks.
- Najważniejszy poeta i kompozytor! - rzucił i pognał do gówniarza, który właśnie się obudził i zdaje się, nawet gorzej.
- Czekając, aż wróci, gapiłem się w okno i myślałem o postępującej infantylizacji kultury wysokiej.
- Pampersy! - wrzasnął.
- Moje pampersy?
- Podaj mi z łazienki! Idioto sukcesu!

Kto kończy za wcześnie, za późno zaczyna

Usłyszeliśmy zgrzyt zamka i była to Magda wracająca na łono.

- Moja przyszła mama! - wrzasnął Rafałek i rzucił się, żeby ją przywitać.

- Widzisz - powiedziałem, pomijając tradycyjne powitanie - stawia na ciebie.

- Cześć chłopaki - odpowiedziała. - Jestem całkiem wykończona.

Podeszła do Mikołaja, przytuliła się i zasnęła mu na ramieniu.

- Pracujemy właśnie - uznałem, że wypada jakoś uzasadnić swoją obecność - nad moim wizerunkiem. Mikołaj pomaga mi...

- Wy też? - rozbudziła się momentalnie. - My z Dorotą już trzecią noc piszemy list motywacyjny. Wymyśliłam jej takie CV, że każdy pracodawca będzie marzył, żeby ją poznać. Bo widzicie, Dorotka planuje za jednym zamachem znaleźć pracę i męża.

- Julka śpi - wymamrotał Mikołaj rozanielony. - Rafałek był grzeczny, a ja zaraz zrobię ci kawki.

- Zostaniesz Marek na obiedzie? - zapytali równocześnie.

Zostałem na obiedzie. Gówniarz się darł, mięso przypalało, Rafałek nieporuszony oglądał *Spidermana*, chociaż rosół, w którym posadził burego misia, rozlewał się po całym stole, a Mikołaj z Magdą poruszali się w tym wszystkim sprawnie, niczym dwuosobowa brygada antyterrorystyczna. Mój Boże! Wyposażona kuchnia, Spiderman i misiek lądujący w zupie - te rzeczy mogą całkiem rozkrochmalić samotnego faceta. Kiedy wróciłem do swojego mieszkania, gdzie jedynym dźwiękiem, jaki mógł mnie zaskoczyć, był chrzęst puszek, przydepniętej nierozmyślnie mą obutą nogą (byłem wolny, więc nie nosiłem kapci) - włączyłem komputer i napisałem:

Samotni ludzie mają przed sobą światło. Idą długim tunelem i, owszem, ta droga może i bywa męcząca, ale mają przed sobą światło. W sezonie wiosenno-letnim widzą wystrzyżony trawnik z parą inteligentnie gaworzących dzieciaków; złociste piwo, które nalewa im do odpowiedniej szklanki wyrozumiała kobieta o przyzwalającym uśmiechu i zawsze sterczących sutkach. Na końcu tunelu stoi grill i rumienią się zgrabne kiełbaski, jakby powodzenie, którym się cieszą, nieco je zawstydzało. Potem mija kolejne pół roku. Trawnik staje się miękkim dywanem, a dzieci, które pewnie nauczyły się już mówić, siedzą pod choinką, umorusane czekoladą, niecierpliwie rozpakowując kudłatego psa. Nikt nie przejmuje się perspektywą kłaków na dywanie. Nikt nie zabrania dzieciom opychać się czekoladkami. Wizje szczęśliwej przyszłości nie uwzględniają kwestii odkurzania ani tego, że od nadmiaru słodyczy można się porzygać. Dlatego wybrałem wizje. Wybrałem światło widoczne z daleka.

Brzmiało nie najgorzej jak na początek - gdyby nie zwracać uwagi na fałszywy ton. No i jak łatwo zauważyć - wizja jest moim ulubionym słowem.

Co właściwie robiłem? A tak, oczywiście - zamierzałem napisać powieść. Dla odmiany. Czy nie jest to najlepsza rzecz, jaka możesz robić w sobotnie popołudnie, gdy nie masz żony i nikt do ciebie nie dzwoni. W ten sposób zaczynałem pisać już parę razy (Hugh Grant podobno też próbował). Zdarzało się, że kontynuowałem, nie odrywając się od krzesła, zanim nie rozjaśnił mi we łbie poniedziałkowy ranek. Potem, na czas pracownego tygodnia, zapominałem o problemach mojego bohatera. Kiedy nadchodził kolejny weekend - nie chciało mi się już do nich wracać. Gdyby istniał taki gatunek literacki jak początek powieści, byłbym literatem od dawna. Z tego co wiem, raczej nie istnieje i dlatego jako literat początkujący - jestem nieuznany. Tylu ludzi płaci za całe książki, a czyta tylko kawałek. Wydawcy są po prostu zbyt przywiązani do tradycji - początki powieści, w cenie kilku złotych, byłyby przecież literaturą na każdą kieszeń. Wyobraziłem sobie półkę w księgarni: Marek Słaby. Thriller sportowy - *Wszatni* (15 stron); Marek Słaby. Kryminał gospodarczy - *Dziesięciu małych biznesmenów* (19 stron); Marek Słaby. Romans farmaceutyczny - *Przeminęło z viagrą* (24 strony). Jezu, wiem, że to nie górna półka! Powiedziałem księgarnia? Miałem na myśli kiosk. A zresztą... może to tylko europejskie kompleksy? W Ameryce, jako twórca literatury instant, mógłbym od dawna cieszyć się uznaniem i nurzać w mamonie. Wśród pasażerów metra miałbym fanów tysiące - czytany od stacji do stacji, niewymagający. Bo tam u nich nikt już nie ma złudzeń, że literatura jest ekskluzywna i pisać może każdy, nawet copywriter. A książki wysokiego lotu nawet w samolotach przestały mieć zastosowanie, odkąd wystarczy zapiąć pasy, żeby całe życie stanęło ci przed oczami.

Au - Tor! Au - Tor! Ale niestety, nic z tego - żyłem w konserwatywnej Europie i, jak na jej wymagania, byłem w moich ambicjach (za niskich) niestały. Brakowało mi w życiu kobiet, które mógłbym porzucić, za to bohaterów literackich zmieniałem jak rękawiczki. Prowadziłem ich po meandrach wyobraźni, począt-

kowo - mogłoby się wydawać - do celu, żeby wkrótce wraz nimi zacząć kręcić się w kółko, i w końcu pozostawić samym sobie, w ciemnym, opustoszałym zaułku. Tak się działo za każdym razem - postacie lądowały przy kontuarze jakiegoś obskurnego baru i rozmywały się w litrach piwa, które wlewał w siebie ich zagubiony twórca.

Tym razem będzie inaczej - pomyślałem. I było. Nie dotarłem nawet do drugiego akapitu. No trudno. Widocznie to nie dla mnie - takie dziedziny odroczonej satysfakcji. Potrzebowałem efektu natychmiastowego, to zresztą jedna z przyjemniejszych rzeczy w reklamie. Dzisiaj wymyślasz hasło i (jeśli dobrze pójdzie) jutro jest wydrukowane. Dobra, przesadzam, kiedyś tak bywało! Odroczonej satysfakcja nie bolała mnie zresztą tak bardzo w odniesieniu do publikacji czy przełożenia na gratyfikację finansową. To oczywiście było celem ostatecznym, jednak gdy kwitłem i opadałem z sił nad klawiaturą - męczyło mnie wyobrażenie długotrwałego procesu. Usiłowałem skończyć moje dzieło, zanim je zacząłem. Nie pozwalałem sobie na oddalające mnie od pointy boczne wątki, czy, broń Boże, dygresje. Postaci tyle, żeby zmieściły się w brodziku i żadnej wzmianki o tym, jak wygląda brodzik. Motywacje też raczej płytkie. Nick Hornby kąpie się z Pielewinem, a potem przychodzi Sue Townsend i zmywa im głowę. I frotowym ręcznikiem wycieramy całą literaturę, aż zostaje skecz. Sucho, krótko, z rumieńcem zażenowania. Wygibasy! Najchętniej zamknąłbym całą tę książkę w jednym zdaniu. Była to skaza, był to wykaz skaz i wiedziałem, że mogę zapomnieć o karierze prozaika. Zresztą i tak znam za mało słów. A na dodatek lubię, jak wszystko jest po kolei, co ostatecznie mnie kompromituje. Ot, konformizm taki, intelektualny.

Bardzo przepraszam wszystkich wymienionych z nazwiska, rzetelnych pisarzy.

W poniedziałek, po pracy, wyciągnąłem Mikołaja do miasta i oświadczyłem mu, że postanawiam od tej chwili na poważnie zająć się pisaniem poezji. Bo coś robić muszę. Po poezja - wyjechałem mu z Haroldem Bloomem (chyba) - pozwala nam zrobić

właściwy użytek z naszej samotności. To mogę spróbować. Bo samotności mam dość. Bo samotności mam dosyć. Od razu zapytałem, czy w związku z tym nie pożyczycyłyby mi paru stów?

- Co ty wiesz o pisaniu wierszy?! - odezwał się Mikołaj, jak intelektualista. Parę stów to nie taki znowu problem - zażartował - ale poetą, kolego, tutaj jestem ja!

- Powaga?

- Powaga. Nawet, kurna, tragizm! - zaciągnął się, odchylił na krześle i jeszcze przymknął oczy.

Jak mogłem nie dostrzec? Pracujemy ze sobą tyle czasu... Więc i on także, on? Chodząca historia reklamy?

- Słuchaj Mikołaj - wyciągnąłem ramiona, usiłując objąć całą perspektywę - czy ty nie uważasz, że my jesteśmy ofiarami dziejowej przemiany?

- O nie! - błyskawicznie porzucił artystowską pozę. - Ofiarą dziejowej przemiany to jestem ja! Ja! Ty jesteś po prostu ofiarą. Należysz do bezideowego pokolenia lat siedemdziesiątych.

- Chwila! Po pierwsze, straszny z ciebie dzisiaj egocentryk, a po drugie, jesteś tylko o parę lat ode mnie starszy.

- Ale o jakie parę lat?! O kluczowe parę lat! Mój pierwszy wiersz wydrukowano na powielaczu. Razem z Bartkiem stworzyliśmy tę firmę. Kraj, rozumiesz, budowaliśmy od nowa! Ty, koleś, przyszedłeś na gotowe. Kiedy zaczynaliśmy, nikt tutaj nie wiedział, jak się pisze billboard. Miałem swojego człowieka w agencji sieciowej, który kserował nocą mediaplany, żebyśmy mogli zobaczyć, jak to gówno wygląda. Harowaliśmy do świtu! Teraz mam z tego tyle, że Cool Kids of Death mierzą we mnie butelkami z benzyną! - nawiązał do przeboju niekomercyjnej grupy, która od pewnego czasu świetnie się sprzedawała.

- Nie w ciebie. Mierzą w decydentów z agencji reklamowych, nie prostych copywriterów jak my. Zresztą mierzą też w dziennikarzy... i prezynterów...

Chłopaki mierzyły równo i wszyscy byli tym zachwyceni, nie biorąc niczego do siebie. Ale Mikołaj wziął!

- Butelki z benzyną i kamienie - powtórzył żałośnie - wymierzone we mnie. A ja skurczysynów do przedszkola odprowadzałem. Snurowadła pomagałem wiązać smarkom!

- Oni, Mikołaj, uważają, że goście w twoim wieku blokują im miejsca.

- A goście w moim wieku uważają, że oni chcą nas wykopać. Popatrz stary, ta reklama to jest gorsza niż balet. Jak skończysz trzydzieści lat, na wizytówce dopisują ci: senior. Co ja mam niby zrobić? Powinienem być zostać strażakiem. Oni mają wcześniejszą emeryturę.

- Bo wiesz, Mikołaj... oni uważają, że tacy jak ty zdążyli się już strasznie obłowić...

- To co?! - krzyknął - Miałem Bartka zostawić? Do Warszawy jechać? Do obcego kapitału zakładowego dokładać się? Co?! Jestem lojalnym... lokalnym... żonę mam! Z etatem na uniwersytecie!

- Wiesz co, Mikołaj - powiedziałem z przekonaniem - oni na sto procent nie mierzą w ciebie. Ani, niestety, we mnie! Oni nawet nas bronią - nas hołdujących najniższym instynktom klienta... najniższym instynktom najgorszego klienta zresztą. Gdyby wiedzieli, że jesteś poetą...

- Gdyby ktokolwiek o tym wiedział! Ale dla mnie jest już za późno. Byłem ostatnio na jednym poetyckim pikniku i powiem ci, stary, miałem ochotę powrywać łebkom pety z nastoletnich ust. W moim, kurna, wieku albo musisz być guru takiego towarzystwa, albo cię tam nie ma. Ty też jak na poetę jesteś strasznie stary.

Powlekliśmy się do kolejnego baru. Była to za krótka droga jak na to, żebym mógł coś przemyśleć, zresztą poczułem się jak ten statek - pijany, co to go nie napisałem w wieku lat szesnastu. A i dziewiętnastu też nie. No Rimbaudem to ja już zostać nie mogłem. I Mikołaja coś słabo wyobrażałem sobie jako wujka Verlaine'a. W połowie ulicy Józefa pojawiło mi się takie pytanie:

- Mikołaj, to jak myśmy zmarnowali taki szmat czasu?

- Ku chwale ojczyzny. Kapitalistycznej naszej - zaszurał butami - marnowaliśmy czas nasz i talenty nasze. Na spoty, trzydziestosekundowe, trawiliśmy lata. Zresztą Rafałek... teraz jeszcze główniarz... Wiersze mogłem sobie schować, spalić, rozumiesz, w domowym ognisku. Kiedyś zresztą... jeszcze ci nie

opowiadałem... albo... szkoda gadać! Ja to przynajmniej mam dzieci. Wychowywałem, finansowałem... Ale co w tym czasie robił Mareczek? Oto jest pytanie!

- Ja? Ja miałem przed sobą perspektywy i... no... rozglądałem się. Chciałem się zorientować, co robią inni...

- No - westchnął - to chyba już się zorientowałeś, nie? I tak dobrze, żeśmy młodo nie umarli.

Tak. Już się zorientowałem. Produkt Marek Słaby przeleżał się w magazynie! Tymczasem termin ważności dobiegał już końca. Inne produkty zajmowały miejsca na półkach. Najlepsze miejsca - te na linii oczu. Tłum konsumentów pożerał je wzrokiem i w ogóle spijał - słowa, dajmy na to, z ich ust. Próbował i smakował. Polecał znajomym. Widziałeś film tego a tego? Słyszałeś najnowszą płytę? Czytałeś książkę? Sam, spędzając jałowe godziny w pubach, uczestniczyłem w tej promocji. Czerpałem satysfakcję z faktu, że wiem, co dzieje się w kulturze. Byłem niemal dumny, że czytam gazety. Uważałem się za erudyte, kiedy kupiłem jakiś kwartalnik literacki, za konesera, gdy raz na pół roku poszedłem na wystawę. Ekscytując się i krytykując publicznie dokonania innych - uczestniczyłem w promocji. Nie, nie przedstawiałem sobą żadnej kultury - zjadałem tylko ser z patyka - może trochę więcej niż inni, może... różne gantunki sera... Jadłem z patyka i gapiłem się na hostessy.

Lady wyciąga rękę

- Słuchaj - Mikołaj przerwał mój rachunek sumienia - gady tu o pierdołach, a jutro mamy jechać do Czekoladowej Lady.

Czekoladowa Lady nie była niestety seksowną Mulatką, przyjmującą sfrustrowanych kreatywnych w różowym buduarze. Przyjmowała nas w hali ze stali, którą powszechnie nazywa się salą konferencyjną. I, tak między nami, była prawdziwą suką. Rasy całkiem białej. Było widać, jak krew w niej płynie

i uderza do mózgu. Wypiliśmy z Mikołajem po setce jeszcze raz i poszliśmy na piechotę przez zbrukane nocą ulice Kazimierza.

- Złapię cię za włosy i rzucę na blat - zaintonował i ciągnęliśmy na dwa głosy:

- Głupia suko z działu marketingu.
- Trzymasz kasę dla innego, a ja...
- Ja mam kredyyyyyyt...
- Ja mam auto w leasingu.
- Oooooo...
- Głupia sukooooo...
- Z działuuuuuuuuuu...
- Marketinguuuuuuuuuu...

Czekoladowa Suka, za dnia zwana Lady, w podstępny sposób okradała nasze szare komórki z co barwniejszych pomysłów i nic nie mogliśmy jej zrobić. Co rusz zapraszała agencję do jakiegoś przetargu dotyczącego brandu, który firma miała dopiero wprowadzić, przeznaczając na to efemeryczny budżet, który miała dopiero ustalić. Przynosiliśmy jej strategię i stopy sugerujących finalny efekt makiet, po czym brand wraz z budżetem rozpływały się jak czekolada w ciepłe jej przepaszającego uśmiechu. Nieco zmienione, nasze projekty i celne sformułowania odnajdywaliśmy po pewnym czasie zaprzęgnięte do pracy na rzecz innych brandów, na plakatach lub w reklamach prasowych, które Czekoladowa Lady sprokurowała sobie sama, z wykorzystaniem jednego tylko grafika. Bolejąc nad budżetem, jaki za każdym razem mieliśmy nadzieję przepuścić przez media, bolejąc nad owym utraconym budżetem, cieszyliśmy się jednakże, że nasze pomysły w postaci, w jakiej przyszło nam je ujrzeć - nie są już naszymi. Czekoladowa Suka sama musiała się za nie wstydzić.

- Po jaką cholere my z nią jeszcze gadamy? - zapytałem Mikołaja, żeby przerwać ciszę.

- Z kimś trzeba gadać. Podobno tym razem to już pewne. Prezes się wkurzył, że jego czekoladki wyglądają na zdjęciu jak slimaki!

- Bo wyglądają. Dobrze, że nie pokazują rogów.

Rezygnując z agencji, Lady Suka rezygnowała bowiem z wielu rzeczy: po pierwsze, z nas, po drugie, z zawodowego fotografa od żarcia, rezygnowała ze stylisty, który ułożyłby ślimaki tak, żeby nie rozlały się na zdjęciu, profesjonalnej grafiki (co obejmuje również detale - na przykład czytelność logo). Jasne, że jako Suka Wytrawna oszczędzała przy tym trochę firmowych pieniędzy. Szliśmy tam po to, żeby jej wyjaśnić, że dużo, dużo większe pieniądze to te, których jej firma - z powodu ślimaczącej się reklamy - nie zarobi!

- Całe szczęście - powiedział Mikołaj, że zawała też z tym logo... Przynajmniej ludzie nie będą wiedzieli, kto to paskudztwo produkuje.

W łóżku myślałem o niej nadal i nie mogłem zasnąć. Apollinaire - on jeden rozumie copywritera. Trafiłem na kawałek za tytułowany *Odpowiedź Kozaków zaporoskich sułtanowi w Konstantynopolu* i od razu wiedziałem, że ja i Mikołaj jesteśmy Kozakami, a Czekoladowa - sułtanką. I pomyślałem, że kiedyś przyjdzie taki dzień, że wyrecytuję jej bez zająknięcia, w suczą twarz:

*Pomiole nędzny Barabasha
Z rogam na łbie jak szatany
Nie zjesz nas w belzebubskiej kaszy
Baryło spita pomyjami
Próżno na sabat nas zapraszasz*

[...]

*Kacie Podola Gachu zgniły
Zgorzeli strupów i owrzodzeń
Łbie świński zadku od kobyły
Dla siebie schowaj swe pieniądze
Żeby na ręk ci wystarczyły*

Bo nikt tak jak Apollinaire nie rozumie copywritera nietrzeźwego... *Rybo gnijąca spod Salonik... Próżno na sabat nas zapraszasz* - mamrotałem, tracąc przytomność.

Obudziłem się w środku nocy zlany potem. Śniło mi się coś koszmarnego. Siedziałem w hali ze stali, przy okrągłym stole.

Siedziałem pod ścianą, z widokiem na drzwi - czyli tak jak trzeba, kiedy masz nadzieję kontrolować sytuację. Siedziałem po lewej stronie Czekoladowej Lady - nie naprzeciwko, żeby nie antagonizować i nie wyglądać na żałosnego petenta. Zajmując taką pozycję podczas negocjacji, udawaliśmy przed klientami ich partnerów w biznesie. Zaraz za Czekoladową Lady siedział w brązowym garniturze Czekoladowy Prezes. Był to ten przerażający moment spotkania, kiedy wyłożyłem już swoje racje i zapadła przedłużająca się cisza. I wtedy ona wyciągnęła rękę, chudą, żylastą rękę z zakrzywionymi szponami... i włożyła mi ją w spodnie!

Z samego rana zamknąłem się z Mikołajem w kuchni, żeby wszystko mu opowiedzieć.

- Taaa - zastanowił się - ten sen nie niesie w sobie raczej żadnej nowej informacji. Bo, że ona urywa jaja naszej wyobraźni, to wiemy już od dawna, chyba że...

- Że co?

- Jesteś absolutnie pewien, że sięgnęła ci... no wiesz? A nie na przykład do kieszeni?!

- Chryste! Mogło tak być!

- O, niedobrze...

- Teraz jestem nawet pewien, że tak było!

- Trzeba z tym do szefa - zawyrokował, złapał mnie za fraki i zaciągnął do gabinetu Bartka.

Wtargnęliśmy do środka i nasz szef spojrział na nas z mieszaniną radości i zdumienia, że ciągle tu pracujemy.

- Cześć chłopaki!

- Marek miał sen! - Mikołaj od razu przeszedł do rzeczy.

- Czekoladowa za pomocą żylastej ręki zażądała od niego łapówki!

- Myyyślisz? - Bartek najwyraźniej nie miał wątpliwości co do proroczego aspektu marzeń sennych.

- Myślę! - odpowiedział Mikołaj ogólnikowo.

- A słuchaj no, Marek, przyśniło ci się może... jak wysokiej łapówki zażądała?

- Nie - odburknąłem - zresztą to zależy od budżetu, nie? Jakiś pewnie procent...

- No tak, tak... - zachmurzył się Bartek. - Budżet musimy znać. Nie możemy przecież odwirować jej z wydatków na reklamę więcej, niż ona na nią wyda.

- Na pewno procent od budżetu - wtrącił Mikołaj - a nie od naszej prowizji. Za procent od naszego wynagrodzenia to jej by się nawet nie chciało wyciągać tej ręki!

- Taaaaaa - powiedział Bartek. - Może lepiej odwołać to dzisiejsze spotkanie? Dalibyśmy jej czas na ustalenie budżetu... i przemyślałbym sobie wszystko? Może Markowi coś się jeszcze przyśni...?

Zadzwoiła komórka i Bartek, wymownym gestem, wyprosił nas z gabinetu.

- Wiedziałem! - powiedział Mikołaj - Z nim zawsze tak. Normalnie awersję ma - do korupcji. On nas w końcu całkiem zrukuje - usiadł i schował twarz w dłoniach. Jak nie zaczniemy, kurna, chodzić z kopertą, to wkrótce pójdziemy z torbami! Ja już nie mam siły z tym walczyć.

- Eeee - poklepałem go po zgarbionych plecach. - Spoko, trzeba nad szefem popracować... razem jakoś go przekonamy! Zresztą to byłaby tylko korupcja na średnim szczeblu, nie taka... korupcja prawdziwa. Gdyby to prezes zażądał łapówki... no, wtedy byłby zgryz.

- Głupku! - Mikołaj wysmarkał się w serwetkę i odzyskał emocjonalną równowagę. - To najczęściej jest prezes. Polskie firmy nie robią kampanii reklamowych po to, żeby więcej sprzedawać. Nie jest to w każdym razie cel pierwszorzędny. W polskich firmach prezesi wydają firmowe pieniądze na reklamę, żeby urwać kawałek dla siebie. Wydatki na media są ustalone proporcjonalnie w stosunku do tego kawałka. Jest parę innych metod ustalania budżetu reklamowego, ale krajowe przedsiębiorstwa przywiązane są do tradycji.

- Ale, Mikołaj - zacząłem - to chyba nie jest całkiem tak. W końcu teraz w tych firmach nie pracują już postkomunistyczne buraki... Mocne propozycje i... dobre projekty... często... mimo wszystko...

- A czy ja powiedziałem, że jakość pracy się nie liczy? Jasne, że się liczy. Przecież po to urządzają te wszystkie przetargi.

Wybierają trzy najlepsze agencje i dopiero spośród nich wyłaniają tę, która będzie miała zaszczyt dać im łapówkę. Inaczej byliby nieuczciwi wobec własnej firmy. Przecież jak taki prezes urwie już swój kawałek, to co mu szkodzi, gdyby przy okazji sprzedaż miała jednak wzrosnąć. Jakość propozycji kreatywnych jest więc kluczowa - pozwala włożyć nogę między drzwi i jeszcze wyjść z nich z honorem. Nas, twórców reklamy - dodał z dumą - żadne układy nie zwalniają od myślenia.

- Ale Mikołaj, gdyby tak to było, to nasza agencja, z tą Bartka do korupcji awersją, dawno poszłaby do piachu!

- Sam nie wiem - wzruszył ramionami - jakim cudem to się jeszcze kręci. Bartek jako szef ma defekt, to prawda, ale ludzie go lubią! Czasem rzeczywiście wygrywamy... taki przetarg bez niczego.

- No widzisz - ulżyło mi natychmiast. - Czasem wygrywamy!

- Ale wiesz - Mikołaj miał w zanadrzu jeszcze jedną prawdę - to jest tak... kiedy nasze projekty strasznie się komuś podobają.

- N o ?

- Powiedzmy, że jakiemuś tam dyrektorowi nasze projekty strasznie się podobają... ale... zagłada w oczy Bartka i co widzi?

- Co widzi?

- No co widzi?

- C o ?

- Bezbrzeżną uczciwość widzi! I wtedy...

- Wtopiliśmy!

- Niekoniecznie... Wcale niekoniecznie! Bo wtedy ten dyrektor, rozumiesz, angażuje dwie agencje równocześnie! My odwalamy całą robotę, a tamci dają łapówkę!

- Wiesz co, Mikołaj... - poczułem się znużony. - Ja już chyba wolę tę Bartka awersję, od twojej paranoi.

- Jesteś - Mikołaj zamknął oczy i uniósł ramiona - miotany wichrem i wichurą cię unosi. Ale pojęcia nie masz, skąd ten wichur wieje... W filmie jakimś - dodał spiesznie - słyszałem to.

Ostatecznie Czekoladowa Lady sama zadzwoniła i odwołała spotkanie.

- Przepraszam, ale zarząd - szepnęła kokieteryjnie - panie Marku, ma w tej chwili inne rzeczy na głowie. Póki co, pracujcie sobie panowie dalej. Odezwę się, jak tylko będę miała wolną rękę.

- *Pomioście nędzny Barabasz...* - zacząłem mimo woli.

- Proszę?

- Za co też pani nas przeprasza - powtórzyłem głośniej.
- Wdzięczny jestem za informację i pozostaję z nadzieją... - odłożyłem słuchawkę i dokończyłem - *Kacie Podola! Gachu zgniły!*

Banita, Cezar i duża blondyna

Czy mogłem dłużej to znosić? Lizać mamonie wypielegnowane stopy? Czekać w magazynie żywota, aż moje czoło - Zacznie toczyć pleśń? Udawać zakurzoną lampę, wiedząc, że w jej wnętrzu kurczy się prawdziwy demiurg? Postanowiłem zapytać o to szefa.

- Bartek - zagaiłem. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, że bym zwolnił się... tak... na okres próbny? Chodzi o to, że postanowiłem całkowicie poświęcić się kulturze.

- A konkretnie?

- Konkretnie to jeszcze nie wiem... Poetą - wystękałem - mógłbym może zostać.

- Poetą?! - krzyknął Bartek. - Poetą chcesz zostać?! Czekać w magazynie żywota, aż twoje czoło zacznie toczyć pleśń? Udawać zakurzoną lampę, wiedząc, że w jej wnętrzu kryje się demiurg? Czy ty wiesz, co znaczy być poetą? Jak byłem ostatnio w księgarni, tomiki poetyckie leżały pod stołem, w pudełku po butach!

- N o , ale ja bym... takim poetą komercyjnym bardziej zostałem... Taki spróbowałbym może napisać... poetycki... bestseller... prozą. I w telewizji... miałem plan wystąpić?

- Lizać mamonie wypielegnowane stopy! - pokiwał głową z rezygnacją. - Oj, Marek, Marek... ja też to przechodziłem... ja

cię rozumiem. Tylko widzisz... kto raz do rzeki wlaź, po prostu, z prądem płynąć będzie... Dla takich jak ty nie ma miejsca w kulturze. Na koszulce twojej szkarłatna litera A, jak Advertising. Ty pośród biznesmenów jesteś artysta, lecz wśród artystów - biznesmen. I choć poeta wśród copywriterów, to dla poetów na zawsze copywriter. Ty jesteś jak Żyd Wieczny Tułacz, pomiędzy światami idei i materii. Do żadnego z nich nie należysz w całości i żaden cię nie przyjmie. Docenią twoją mądrość błazna i w nagrodę jako błazna zatrudnią cię zechcą. Tyś jest jak duch nieszczęsny, z resztką ciała. Ciebie Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych obarcza winą za kultury kryzys, więc jakże możesz mniemać, że ci pozwolę kulturę tę wraz z nimi z upadku podnosić. Już ty takiego humanizmu po humanistach nie oczekuj!

A potem Bartek umilkł. Jego twarz zastygła w bolesnym spojrzeniu, które wydawało się przenikać na wskroś moje copywriterskie ciało i wychodzić poza nie. Stałem chwilę, póki się nie zorientowałem, że Bartek patrzył tak w przyszłość swojej firmy i mój ewentualny rozwój duchowy nie mógł tu w niczym pomóc ani niczemu zaszkodzić.

Do późna spacerowałem po plantach, rozmyślając, jak to kultura za sprawą takich jak ja pistoletów postawiona została pod murem. Służyłem w jednej armii z twórcami *Big Brothera* i tabloidów. Razem z nimi, my, reklamiarze, siedzieliśmy w okopach komercji, uzbrojeni po zęby w pociski niskiego lotu. Choć byłem jedynie szeregowym, to przecież strzelałem celnie moimi pustymi nabojami. Nie jestem złym człowiekiem, panie sędzio (pani sędzio, wysoki sędzie). Wykonywałem tylko rozkazy, ja tylko... realizowałem założenia briefu. Za to nie skazują na śmierć, wystarczy, że nie pozwolą mi zaistnieć... Za to nie idzie się do piekła, tylko siedzi, w pieprzonym Piekiełku w hotelu Forum, przeznaczonym do wyburzenia, w objęciach importowanych dziwek, na obitej czerwienią kanapie.

Panie, wybacz mi - padłem spektakularnie na kolana, koło Collegium Novum, pod pomnikiem Kopernika (choć może i trochę sobie żartuję, to przecież wolno mi upadek przeżywać

od czasu do czasu). Panie, wybacz mi, sprzedajnemu - wołałem do Kopernika, bo w tamtej chwili wydał mi się jakby świętym, i pomyślałem, że kto jak kto, ale taki Kopernik, mógłby wstać się za mną, na górze i przekonać ich, że to wszystko... że cała ta sprawa... da się jeszcze odkręcić. Nie dla mnie - krzyżaczka - niebieskie porty, nie dla mnie szmaragdowe wody sztuki czystej i niedochodowej, pism elitarnych łamy nieskalane... ale może chociaż... jakiś przyzwoity czyścić?

- Daj spokój, synu - Kopernik niezdarnie zlął z postumentu i usiedliśmy sobie na ławce, pod wierzbą. - Każda epoka nabiera się na jakiś rzeczy pozór. Czy to ciał niebieskich dotyczy, czy naszych ciał pod koszulą. Prawda jest taka, że kultura kręci się wokół pieniądza albo wypada z orbity. Albowiem jest kultura rzeczą ziemską. Nawet jeśli ponad ziemię wyrasta, to razem z nią kręcić się musi. Za to pieniądze synu, pieniądze są boskie! I mrzonki o sztuce niekomercyjnej porzuć, bo jeśli sztuka jakąkolwiek wartość posiada, to prędzej czy później ktoś na niej zrobi. I ziemia nadal kręcić się będzie, z tobą lub bez ciebie. A przy okazji, powiedz tym szczeniakom ze sprejami, że nie pisze się po Koperniku.

Opuściłem Kopernika i powlokłem się na postój taksówek. Jasne, że lepiej jest jechać niż iść. Postanowiłem odpuścić sobie dylematy i nie nurzać się w czczych rozmyśleniach. Nie sprzedają się tylko ci, których nikt nie kupuje. A ja chciałem być kupowany. Chciałem się sprzedawać. I wiedziałem, że masowo kupowany produkt musi być tani! Wiersze? Proszę bardzo, ale tylko krótkie i zrozumiałe, drukowane na koszulkach albo na papierowych talerzykach. Moja sztuka, proszę państwa, realizuje się w momencie, gdy pierwsza kropla tłuszczu, ściekająca z kawałka grillowanej karkówki, wtapia się w słowo... Moja poezja jest poezją mięsa, zaprawioną goryczą musztardy. Przeżykacie mięso, a ja karmię was słowem... trafiam do wnętrza... moje słowa trawia was od środka, w waszej krwi... moje atramenty...

Mógłbym także - przemyślałem sobie - odgrzebać stare zdjęcia, zwłaszcza te z dziewczynami. Jakby pozwolili mi rozsy-

pać je na podłodze, w Centrum Sztuki Współczesnej... I gdyby ludzie deptali buciorami moje zdjęcia prawie nagich dziewczyn, to byłoby... tak seksistowskie, że aż feministyczne, zdecydowanie feministyczne. Wyobraziłem sobie publiczną dyskusję - wizerunek kobiety... sprowadzona do przedmiotu... podkłada się... eee... na gruncie... - w sumie nie bardzo było o czym gadać. Już lepiej zrobić jedno zdjęcie kobiety ubranej i puścić nago publiczność. Albo zrobić zdjęcie publiczności, dopiero jak przyjdzie! No i wino, musiałyby być oczywiście. A w sumie, to dlaczego publiczność nie miałyby przyjść na moją wystawę po to, żeby zrobić zdjęcie MNIE?! I z własnymi aparatami! To by już było całkiem nowoczesne. Albo nawet post. Krzesło, fotograf (goły) na krześle i koniec. I tłum aparatów, z aparatami. I recenzje: Artysta wyzuty z przywilejów, artysta bez przedmiotu sztuki, artysta bez narzędzia (...). Oddany i poddany widzowi. Wystawiony na sprzedaż (...). W milczeniu, pośród pustych galeryjnych przestrzeni, oczekujący na gwałt, jaki zada mu... zada mu... No! Wystarczy! Jeszcze bym się doczekał! Jest taki jeden performer w Krakowie, co to rozbija sobie szybę na czole, normalnie przychodzi, wali łbem w tę szybę, kłania się i idzie. I wszystko było dobrze, aż tu któregoś razu, koleś wchodzi, a ktoś z publiczności robi mu tulipana. I co? Tak się kończy wmawianie odbiorcy, że jest współautorem. O sztuce interaktywnej najwięcej wiedzą chirurdzy z pogotowia. Dużo mniej ryzykowne są tradycyjne formy, kiedy artysta może stanąć z boku, i w razie czego uciec!

Znacie to słynne zdanie: Połowa moich wydatków na reklamę marnuje się, tylko nie wiem, która to połowa. Ze sztuką też tak jest. Połowa artystów to cyniczni hochsztaplerzy, a krytycy próbują odgadnąć, która to połowa. W tym chaosie, performery wydają się najbardziej wiarygodni, ponieważ są gotowi wręcz pociąć się dla sztuki.

- Trzynaście - powiedział taksówkarz i stanął.

- To pech - mruknąłem, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych.

- Nie pech, tylko nocna taryfa. Jak pan chce, to może być czternaście.

Dałem mu czternaście, wysiadłem i przed samą bramą wywaliłem się o przebiegającego kota. Czarnego kota! Byłem przesądny i na dodatek upieprzony błotem. Splunąłem trzy razy. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Wilhelm Zdobywca na pewno lepiej znalazłby się w tej sytuacji. On umiał ze złej wróżby zrobić dobry omen - kiedy podczas lądowania w Anglii, skacząc z łodzi na brzeg, wypieprzył się na twarz, krzyknął: „Objąłem ten kraj oburącz w posiadanie!”. To samo powiedział zresztą Juliusz Cezar, kiedy wyglebił na Czarnym Łądzie. „Teneo de te, Africa!”.

Trzykrotne splunięcie raczej nie wzbudziłoby entuzjazmu legionistów.

Pieprzony czarny kocie - wrzasnąłem poniewczasie - obejmuję cię w posiadanie!

Właścicielka kamienicy, pani Czujna (uczciwie zapracowała na tę ksywkę), uchyliła drzwi i spojrzała na mnie z odrazą. Ja też na nią spojrzałem i też z odrazą. Pani Czujna świadczyłaby przeciwko mnie w każdym sądzie i w każdej sprawie. To ona sprowadziła tu te wszystkie koty; może i była jakoś tam dobrym człowiekiem, ale od tego jej dobra na klatce śmierdziało szczykami. Miała koło sześćdziesiątki i, stylizując się na relikw epoki, chodziła w podomce.

- Była tu u pana jedna - poinformowała mnie z poczucia obowiązku.

- Jedna?

- Chuda blondyna, wysoka jak nie wiem co. I przeklinała! - dodała znacząco.

Niemal mi serce pękło z żalu, że włączyłem się bez sensu, omijając taką okazję, która to okazja przyszła do mnie do domu, była wysoka i szczupła i jedyne, co uzyskała, to że jej blond włosy nasiąkły zapachem kotów.

Teneo de te, Blondyna!

Przeleciałem w myślach wszystkie blondwłose aktorki amerykańskie, przeleciałem aktorki polskie, na końcu przeleciałem wszystkie znane mi modelki i poszedłem wziąć samotny prysznic. Z mokrymi włosami wyglądałem znacznie gorzej niż z włosami suchymi i natartymi żelem. Z cieniem nadziei, że tajemni-

cza kobieta zechce spróbować jeszcze raz, uczesałem się przed pójściem do łóżka. Włączyłem sobie starą płytę Morcheeby, przyciszyłem i odsłuchałem wiadomości. Były tylko dwie - jedna od mamy, a druga od Tola - pytał, czy nie jestem czasem gdzieś w mieście. Nie byłem, ale i tak ucieszyło mnie, że świat, w tej jego drobnej emanacji, jaką był Tolo, upomina się jeszcze o moją obecność.

Emanacja w postaci blondyny nie zostawiła żadnych śladów na mojej skrzynce. Kim ona mogła być? I co właściwie mnie ominęło - możliwość wypełnienia ankiety czy spektakularny seks?

Thanatos i Eros (dwa w jednym)

W końcu od tego myślenia zupełnie wytrzeźwiałem. Poszedłem do łazienki, żeby umyć zęby i stwierdziłem, że w lustrze stoi Hugh jak żywy. No proszę, wystarczył cię szansy i załazek zaczyna rozkwitać. Byłem tak zachwycony, że postanowiłem zrobić sobie zdjęcie. Ostatnio tyle myślałem o tych zdjęciach, że kupiłem nawet profesjonalny film. Tylko aparat miałem dziadowski, stary ruski aparat z lat, gdy fotografowałem studentki akademii na kanapie. Włazłem na mój designerski taboret (sto lat temu Iwona wymalowała go dla mnie na dwudzieste dziewięte urodziny - był zielony i chodziły po nim małe baranki, że niby taki ze mnie książę) i zacząłem grzebać w pawlaczu. Przechowywałem tam relikwie moich porzuconych pasji i jedną z takich relikwii był statyw. Rozkleiłem się kompletnie. Przypomniałem sobie tamte lata, lata beztroski i taniego wina, sycących lektur, które spożywałem w napadach metafizycznego głodu, i kobiet, prawda, tego... nieświadomych swego piękna, które chciałem utrwalić... - tamte lata, zanim przeszedłem na służbę ciemności. Pod wpływem wspomnień mój Hugh jakby opadł i skurczył się we mnie. Pomyślałem, że jestem maniakalno-Depresyjny i pomyślałem, że zrobię sobie eschatologiczne zdjęcie nago. Wkrótce byłem już gotów, tymczasem statyw nie dawał się rozłożyć. Jedna

noga zablokowała się i choć szarpałem i ciągnąłem, przeklinając na głos - nie udało mi się jej wysunąć. Statyw pozwalał jedynie na umieszczenie aparatu na takiej wysokości, na jakiej ewolucja umieściła pośladki. Dupa. Nic wyżej! Taki widać należał mi się autoportret. Zmierzyłem światło, nastawiłem czas i odległość i przylgnąłem do zimnej, białej ściany, wystawiając na żer obiektywu nieopalony tyłek. W różnych ujęciach, zmieniając naświetlenie i stopień napięcia mięśni, zrobiłem sobie całą sesję - trzydzieści sześć małych slajdów, póki nie skończył się film. Niezwykle usatysfakcjonowany zdążyłem tylko wciągnąć spodnie, kiedy zadzwonił dzwonek. Była już prawie północ, do cholery. Serce zabiło mi mocniej, gdy otwierałem drzwi.

- Przepraszam, że tak późno - powiedziała, odgarniając plątynowe włosy - ale wcześniej nie było pana w domu, a teraz zobaczyłam światło i pan znowu...

- Proszę - wyjąkałem ogłupiały - proszę wejść.

- Wiem, że nie mam prawa, przepraszam, ale jestem trochę zdenerwowana - rozglądała się po pokoju, przenosząc spojrzenie z wymalowanego w baranki taboretu na wiszącą u sufitu lampę - nie należy wtrącać się w cudze życie, ale nie ma pan zasłon... nie ma pan zasłon... Nie mogę spokojnie siedzieć, kiedy facet z naprzeciwka usiłuje popełnić samobójstwo! - wystrzeliła.

Bogu dzięki. Kiedy powiedziała, że nie mam zasłon... Jezu, od dwóch godzin biegałem z gołym tyłkiem... Bogu dzięki, że to tylko jakiś samobójca...

- Jaki facet? - zapytałem rzeczowo. - Poza moim są tu jeszcze cztery mieszkania, na parterze mieszka pani Czujna, na drugim...

- Niech pan nie udaje! - krzyknęła. - Niech pan nie robi ze mnie idiotki. To pan jest idiotą, jeśli pan myśli, że pozwolę się zbyć i pójdę sobie do domu, żeby jutro, albo jeszcze dzisiaj, oglądać z okna gołego wisielca!

Posiniałem. Nie zrobiłem się czerwony, tylko posiniałem. Człowiek szuka blondyny swojego życia, a tymczasem ta blondyna mieszka naprzeciwko i wygląda przez okno, kiedy człowiek fotografuje sobie pośladki. Ale dlaczego samobójca?

- To pomyłka - zaskamlałem.

Oboje opadliśmy na kanapę i ona wyciągnęła z kieszeni papierosa. Poczekałem, aż zapaliła.

- Jak, na litość boską, doszła pani do wniosku, że chcę się powiesić?!

- Jak to jak? Goły facet stoi na taborecie i majstruje przy lampie. Nawet blondynka zrozumie, o co tu chodzi.

- Robiłem zdjęcia - wskazałem na statyw i leżący na podłodze aparat. - Stawałem na taborecie, żeby opuścić lampę. Oświetlenie regulowałem.

- Wczoraj też pan robił zdjęcia?

- Wczoraj? Wczoraj wkręcałem żarówkę. Lampa jest na trzy, a paliły się dwie.

- Już wczoraj chciałam tu przyjść, ale zobaczyłam, że pan zrezygnował.

- Wkręciłem żarówkę.

- Pomyślałam, że przyjdę za dnia. I przyszłam, ale nie było pana w domu. A wieczorem znowu to samo. Na pewno nie ma pan skłonności samobójczych? - zapytała już ciszej, niemal z rozczarowaniem.

- No . . . nie zamierzałem się powiesić, ale co do skłonności generalnie...

- Nie zamierzał pan?

- Nie, ale...

- Czyli - wstała z kanapy w całej swojej szczupłej blondwysokości i spojrzała mi prosto w oczy - wygłupiłam się?

- Ale skąd! - zerwałem się, wymachując rękami.

- I co z tego! - wydeła wargi koloru macicy perłowej. - Co z tego, że się wygłupiłam! Mógł pan się powiesić, a ja mogłam uratować panu życie!

- No oczywiście - przytaknąłem skwapliwie. - Sam jakbym siebie widział gołego na taborecie, tobym pomyślał, że jak nic, chcę się powiesić!

- No właśnie!

- A teraz to nawet tak sobie pomyślałem, że powinienem powiesić się ze wstydu. Bo zamiast pokazać się od najlepszej strony...

- Pokazał się pan - parsknęła śmiechem - z jednej i z drugiej. Pójdę już. Jestem Natalia - podała mi rękę, ewidentnie zmierzając do wyjścia. - A co pan właściwie fotografował? - rzuciła.

- Marek - wyszczerzyłem zęby. Wiedziałem, że i tak jestem już skończony. - Fotografowałem siebie. Swój tyłek! Na tle ściany.

- O! - zawahała się, zatrzymała w pół kroku. Jej piersi spojrzały na mnie z zaciekawieniem, a za moment odwróciła twarz.

- Na wystawę?

- Na wystawę?

- Tyłek! Na wystawę?

- E e e , właściwie, to miał być taki autoportret... eschatologiczny...

- No rozumiem - wzruszyła ramionami - jasne, że eschatologiczny. - W jej oczach dostrzegałem już iskierki śmiechu.

- Jakbym wiedziała, że jesteś fotografikiem, to nawet do głowy by mi nie przyszło, że chcesz się powiesić!

- Jestem - powiedziałem - fotografikiem. Właśnie! Jestem fotografikiem. Nie napiłabyś się, Natalia, czasem piwa?

- Okay - odrzuciła włosy i piersi zakołysały się obiecująco.

- To znaczy? Okay?

- I zaraz potem wychodzę! Nie myśl, że zostanę tu na noc tylko dlatego, że masz fajny tyłek, nie chciałeś się zabić i jesteś fotografikiem.

Mam fajny tyłek? Coś takiego. Jaka wiadomość mogłaby bardziej mnie ucieszyć. Teraz to już się w życiu nie zabiję!

- To są aż trzy powody - beczelnie krzyknąłem z kuchni.

- Masz zapalniczkę? - zlekceważyła fakt, że potrafię liczyć.

Znalazłem zapalniczkę, a za chwilę ona odnalazła swoją i nasze płomienie niebieskopomarańczowe sprzęgły się, jak niebo sprzęga się z piekłem, tworząc tło z przejściem tonalnym, dla miłości, zacierającej granice pomiędzy tym, co cielesne i tym, co duchowe, za jednym posunięciem. A tak, rozmawialiśmy chwilę. A potem, po raz pierwszy w życiu, jak zwierzę rzuciłem się na kobietę. A ona na mnie, i jeszcze bardziej niż ja sam zwierzęca. Tyle że bez futra, za to z pazurami, pomrukując,

ocierając się, wbijała ostre zęby w moją szyję, żeby było wiadomo, kto tu jest ofiarą, a kto napastnikiem, kto czyją krew ciepłą wychłepcze na końcu tej walki. Miotaliśmy się w małej przestrzni mojego mieszkania, które nagle stało się ciepłe i wilgotne jak dżungla, i podstępne jak dżungla, i kable od komputera jak liany wiły się wokół naszych nóg i splątane zasłony jak ciemność rzucały się na nas... W tej dżungli, pełnej niebezpieczeństw zrobiliśmy to, kierując się tylko instynktem.

- Masz coś? - zapytała tylko.

- Mam - odparłem. - Była dołączona do kremu do golenia.

A potem... błękitna para znad naszych ciał uniosła się pod sufit, a żar opadł i ciepło sączyło się przez podłogę, docierając do mieszkania pani Czujnej, która, aby nie wypaść z roli emerytki, skręciła pewnie elektryczny kaloryfer i poczłapała z powrotem do łóżka, aby śnić o niższym rachunku.

Odzyskaliśmy człowieczeństwo, siadając do śniadania. W łóżku, oczywiście. To znaczy ona w łóżku, a ja obok, z tacą. Trochę niby kochanek, ale bardziej kelner.

- Mam moralnego kaca - podałem kawę i zacząłem słodzić.
- Czy nie powinienem powiedzieć, że cię kocham i w ogóle? I że chciałbym się z tobą jeszcze spotkać albo że zadzwonię? Czy nie uznałabyś tego za zamach na twoją wolność osobistą? Pytam, bo mam taki kompleks... nigdy nie uprawiałem sportowego seksu, zresztą w sporcie generalnie jestem raczej słaby.

- Ja też mam moralnego kaca - przeciągnęła się i dodała z uśmiechem, który też był przeciągły - i ochotę na klina. Co do wolności osobistej, to bardzo proszę - zamachnij się!

- Kocham cię - powiedziałem z ulgą. Bo taki już jestem, że cokolwiek zacznę, zmierzam do pointy i miły ze mnie facet, a nie Charles Bukowski, jebaka cyniczny. - Kocham cię. I zadzwonię. Zrobię ci jajecznicę na szynce i sfotografuję twoje pośladki, zrobię wielką odbitkę i powieszę ją sobie na ścianie. Będę siedział i gapił się w tę ścianę całymi dniami, ponieważ zrezygnowałem z pracy w reklamie, żeby robić coś innego, i teraz w końcu wiem, co to jest. Planuję kontemplacji twoich pośladków poświęcić się bez reszty, napisać o nich rozprawę filozoficzną i opublikować błoga w internecie. Pisać o twoich poślad-

kach w każdy dzień tygodnia, każdego miesiąca, i przez wszystkie lata, które mi pozostały. Amen oraz że nie odpuszczę aż do śmierci. Z tego zdjęcia uczynię ołtarz, przed którym połączy nas jakiś siwy pośladkowy pastor.

- Pośladkowy potwór - zakryła sobie głowę poduszką - poiałowy pofuł - wrzeszczała spod spodu, wierzgając nogami, które były po prostu stworzone do wierzganania, do wierzganania po łóżku, do wierzganania po moim, moim łóżku!

Czerwoną, na wpół uduszoną i rozczochraną ekstatycznie miałem w pościeli kobietę, która mogła uratować mi życie - gdybym się wczoraj powiesił, jak na to wyglądało. A że się nie powiesiłem - to już moja wina, nie jej. Niepowieszony okazałem się sprawny seksualnie oraz atrakcyjny towarzysko - tak to czułem - i stojąc pod prysznicem, pozwalałem, aby strugi wody pieściły moje niezawodne ciało, delikatnie, jak zamyślona masażystka. Pozwalałem frotowemu ręcznikowi ufnie przywierać do mojego torsu i kłaść się na barki. Przyjąłem hołdy kremu do golenia i egzaltowane pocałunki aftershave'u. Odkłoniłem się swemu odbiciu w łazienkowym lustrze - słowem, zmarnowałem ze dwadzieścia minut, pielęgnując mój hughgrantyzm. A potem zjedliśmy śniadanie jeszcze raz i nie poszliśmy do pracy, i wróciliśmy do łóżka i znowu... i po krótkiej przerwie... (jak powiedziała Liz w „The Sun”: „Hugh is fantastic in bed!”) i zostaliśmy tam do popołudnia, jak to normalnie - bohema.

Natalia genialnie lokowała mi się w kadrze i wystrzelałem cztery filmy na jej pupę, zastanawiając się w międzyczasie, komu też dam je do wywołania. Tej pupy nie mogłem przecież powierzyć jakiemuś jasiowi z punktu w hipermarkecie. Pupa Natalii musiała zostać wywołana profesjonalnie, w odpowiednim salonie, z użyciem szlachetnych odczynników. Była to rzeczywiście piękna pupa - złotobeżowa i gruszkowosmukła, jędrna i konsekwentna, ale niepozbawiona też pewnej miękkości i odniesień renesansowych. Była to pupa świadomie ukształtowana i świadoma siebie. Wymowna i powodująca liczne komentarze, pupa idealna i zarazem odrobinę kontrowersyjna, szlachetna, a jednak nawiązująca do gustu odbiorcy masowego i wdająca się z nim w dowcipną polemikę, jednocześnie klasyczna i popkulturalna.

- Bardzo mi miło - powiedziała, gdy już się wystrzelałem.
- I muszę już iść, mam angielski o osiemnastej.
- J a k t o a n g i e l s k i ?
- Normalnie. Nice to meet you i tak dalej.
- Bardzo mi miło - wybełkotałem, pełen najgorszych prze-
czuć. - Ale jak skończysz ten angielski, to się zobaczymy?
- Wiesz... - powiedziała i już wiedziałem. - Jesteś naprawdę
miły i nawet...
- Zabawny?
- I naprawdę zabawny... Ale mam już... dwadzieścia dzie-
więć lat i...
- I . . . myślisz o życiu poważnie? Czy trochę sobie żartujesz?
Wzruszyła ramionami i dokończyła:
- J e s t e m p r a w n i k i e m .
- Matko - westchnąłem, pomyślawszy o matce, która prze-
strzegała mnie przed predylekcją młodych kobiet w stosunku
do adwokatów - chcesz mi powiedzieć, że wolisz facetów w to-
dze od gołych facetów na taborecie? Zielonym taborecie w ba-
ranki?!
- No - roześmiała się niemal szczerze - tak to wygląda... Ty
nie potrzebujesz prawnika - dodała - tylko modelki. Na dłuż-
szą metę byłbyś mną zmęczony. I nie miałabym o czym rozma-
wiać z twoimi znajomymi, a tak to przynajmniej opowiem swo-
im, że przeleciałam artystę. No, daj spokój, nie rób takiej miny.
Teraz, to był żart.
- T y l k o ż a r t ? - wrzasnąłem. - To tylko taki żart?! Przyłazisz
tu, wzbudzasz czujność pani Czujnej, ratujesz mi moje pseudo-
życie, utrwalasz się w moim sercu i obiektywie, i żart?
- A wtedy ona, już w drzwiach, nie patrząc na mnie, podniosła
rękę i wyliczała na palcach, do pięciu: nie mam dwudziestu
dziewięciu lat, tylko trzydzieści cztery, jestem rozwiedziona,
mam dziewięcioletniego syna, nie spałam z nikim od roku,
oglądałam *Klan*. - I pomachała mi tą ręką na pożegnanie, cicho
zamykając drzwi. A wtedy po raz pierwszy na poważnie pomy-
ślałem, że jestem dupkiem. Pomyślałem, że całość ma swoje
centrum gdzie indziej i nie jest to tylko hasło z *intro*, interneto-
wej wersji kulturalnego magazynu. Pomyślałem, że gruntowna

znajomość literatury roczników siedemdziesiątych nie podbije moich akcji wobec kogoś, kto na co dzień obcuje już z rocznikami dziewięćdziesiątymi i pomyślałem, że moja znacząca obecność w *Zdychającym Kocie*, w piątek wieczorem, jest mało znacząca w zestawieniu z ogromem mojej nieobecności w tak zwanym prawdziwym życiu, któremu nie wystarczy jedno, choćby spektakularne posunięcie, ale które posuwać trzeba dzień po dniu, bez satysfakcji.

Fotograf zagubiony w ciemni

A skoro i tak byłem dupkiem - co mogło mnie powstrzymać i kto mógł mi zabronić powiedzieć o tym świecie. Wywołałem moje własne pośladki eschatologiczne i jej, w których nawet na fotografii pulsowało życie. Moje - sinoblade, porośnięte rzadkim włosem, nudne niczym step i jej - pejzaże! Jej łagodne wzniesienia rozdzielone wąską cienistą doliną, połykające perłowymi śniegami wypielęgowanej skóry. Moje - wystawione na wzgardliwe kopnięcia losu i jej - gotowe jedynie na głaski i masaże. Oceniałem kompozycję, kontrasty, wybierałem ujęcia z góry i pod kątem. Próbowałem w kolorze i bieli, i czerni, próbowałem w duotonach. Ściany mojego, niewielkiego przecież pokoju pokryły się zdjęciami tyłków we wszelkich barwach i formatach. Osiągnąwszy pożądany w mojej sytuacji stan manii, podsycałem go i z rozpędu sfotografowałem jeszcze pośladki siostrzenicy pani Czujnej, która przyniosła mi rachunek za prąd. Sfotografowałem pośladki Mikołaja, co kosztowało mnie flaszkę, i pośladki upiornie rozłożystych modelek z akademii, które naraiła mi Iwona, co kosztowało mnie trzy flaszki. Pozyskałem również pośladki emerytowanych pracownic agencji towarzyskiej, jaką prowadził nowy narzeczony najbardziej wyzwolonej ze znanych mi fryzerek (bez pytania strzygła mnie na Hugh i potem jeszcze długo czochrąła mi włosy). Minał zaledwie miesiąc, a moje mieszkanie

zaczęło wyglądać jak autentyczne studio. Że powiełałem? Co z tego? Gołe sprawdzało się bez pudła od tysięcy lat. Gołe legalizowało się w złożonych ramach i znużone żółtko na papierze. Gołe walczyło o przetrwanie, broniło się przed egalitaryzmem, wywracając się na drugą stronę i wchodząc z innym gołym w zaskakujące układy. Nawiazywało alianse strategiczne. Wiazało się sznurami, aby przywrócić wywołujące dreszcz uczucie skrępowania - zapomniane, pociągające uczucie, w zetknięciu z gołym. Zrobiono z nim już wszystko. Było patroszone i przypalane, transmitowane na żywo, było młode i zwiędłe, żeńskie, męskie i pośrednie. Gołe prokuratorów i gołe szoferów. Gołe wchłaniające i wydalaające, zdominowane i dominujące. Gołe, doszczętnie wyeksploatowane, służyło już jedynie jako przykład w gasnącej dyskusji o różnicy między sztuką a pornografią. Było gołe spreparowane i odsączone, maltretowane i retuszowane, pokryte inskrypcjami, pokryte gęsią skórką, złożone i rozłożone, pojedyncze i masowe, anonimowe i publiczne, gołe przypadkowe i gołe wystylizowane. Gołego było tyle i od tak dawna, że nawet to moje, gołe najnormalniej, wciąż miało cień szansy, aby się załapać. Fotografowałem więc jak opętany. Dziewczyny moich kumpli i chłopców moich kumpelek, ich bezrobotnych ojców i wyluzowane matki. Fotografowałem, publikowałem, każdego dnia dawałem kawał dupy milionom internautów. To było prostsze niż pisanie książki i bardziej wymowne niż wiersz. Odkąd zacząłem używać aparatu cyfrowego (Mikołajaja), stało się jeszcze łatwiejsze i beznakładowe. A kiedy do moich drzwi zastukała sama pani Czujna - w łososiowym szlafroku, z dyskretnym, jak na osobę o dużej wadze wzroku, makijażem - zrozumiałem, że społeczeństwo ugięło się, machnęło na mnie ręką i pasowało mnie, wreszcie, na artystę. Zamknąłem więc oczy i przycisnąłem guzik, ofiarowując pani Czujnej nieśmiertelność.

- A ta wystawa to kiedy? - zapytała, kokieteryjnie podciągając sobie skórę. - Bo chciałam synową zaprosić i jednego pana.

- Wkrótce - odpowiedziałem zgodnie z tym, co mogłem przewidzieć. Rozmawiam równocześnie z kilkoma galeriami, no i z Centrum Sztuki Współczesnej, oczywiście.

- O, w Centrum byłoby najlepiej - westchnęła, jak to muza, w zatroskanym rozmarzeniu. - Bo wisi mi pan za pięć miesięcy, panie Mareczku, jak to wielki artysta!

Telefony i ekspres do Warszawy - cztery razy, na własny koszt. Tam i z powrotem. Nocne rozmowy, przy wódce czystej i zmaconym umyśle. Tolo. Jelenie Tola. Rogi Tola jeleni. I w końcu, w końcu! Jeden jeleni trafiony! Moje zdjęcia rozłożone na jego biurku i ja sam - składający się.

Czy istnieją jakieś grupy wsparcia dla uzależnionych od skrzynki pocztowej? Coś w rodzaju: nazywam się Marek, zaglądam do skrzynki osiem razy dziennie. Albo terapia dla tych, którzy pocą się, wykręcając numer, dla tych, którzy wypalają pół paczki, zanim ośmielą się wycisnąć tę parę cyferek, po których znudzona sekretarka poinformuje ich zwyczajowo, że szef jest na spotkaniu i zachęci, aby jutro pocili się od nowa.

Aż przyszła! Odpowiedź z galerii, w której miałem otworzyć wino - otrzeźwiła mnie natychmiastowo. Wizje kariery rozsypały się jak odłamki szkła, jakby ktoś przez nieuwagę nastąpił na pozostawiony na podłodze kieliszek... tylko mały zgrzyt, piorunujące spojrzenie kelnera, który nagle wydaje ci się całym światem, całym światem, i wiesz, że ten świat nic, ale to nic już ci więcej nie poda.

*Aktualnie nie jesteśmy zainteresowani ekspozycją pańskich prac.
Proszę wsadzić je sobie w tyłek!*

Tolo nie wiedział, jak mi pomóc. Może spróbujesz gdzie indziej - powiedział ostatecznie zniechęcającym tonem. Skończyły się nam fajki i musiał już lecieć.

- Wisi mi pan! - warknęła przez telefon pani Czujna. - Pie-niądze!

Kiedy wypilem już wszystko, co było do wypicia, i wypaliłem wszystko, co było do wypalenia, kiedy, wcieliwszy się w muchę, przemierzyłem tam i z powrotem białe przestrzenie sufitu, kiedy, wcieliwszy się w pajaka, sam siebie złapałem w utkaną z czarnych myśli sieć, sparaliżowałem się i pożarłem

- zadzwonił Mikołaj, towarzysko, zapytać ogólnie, co słysząc i co tak ogólnie robię.

- W depresji - powiedziałem wesołkowato - aktualnie jestem. Odczuwam - zaktualizowałem definicję Kępińskiego - narastającą pustkę. Odczuwam narastającą pustkę w sektorze przyszłościowym układu sterującego.

- System - rzekł mi Mikołaj - siada z braku bodźców zewnętrznych. Musisz wyprowadzić system na spacer. Nakarmić system wrażeniami nowymi, a nawet system bzyknąć. Wszystko to osiągniesz, jeśli tylko zechcesz, wpadając jutro na imprezkę do twojego starego kumpla Mikołaja, którego żona wyjechała sobie na krótko, razem z dziećmi.

- O której?

- O czasie!

- Będę!

- Byle punktualnie.

- Dziękuję ci, przyjacielu mój - łzy stanęły mi w oczach.

- System mówi ci wielkie dzięki... a co do tego bzykania...

- Fantasta - westchnął i słuchawka opadła z trzaskiem. Szlaban na mój pociąg!

Zawsze tak jest. Najlepsza część propozycji okazuje się zwykłym żartem. Zapraszam na kolację - mówi świat - proszę zabrać ze sobą suchy prowiant. Czy nie dosyć nafotografowałem się tyłków, żeby zasłużyć na jedną, niewinną orgietkę? Czy nie potrząsam z całych sił moich wątlą jabłonką moralności? Czy nie zasłużyłem sobie na jeden choć grzeszek dojrzałości, na jeden skromny upadek? Czy to w końcu wypada, mnie, artyście, tymczasowo co prawda w sztuce zameldowanym, a właściwie niezameldowanym, zajmującym obszar jej nielegalnie, bez przydziału, bez nominacji, bez paszportu, niby squat jakiś, ale artyście w końcu - czy to wypada? Oglądać Eurosport z przyjaciółmi przy mieszczańskim piwie i marzenia o orgii, jak również osiągnięcie drobnej satysfakcji seksualnej, odkładać na żenującą chwilę, po powrocie do domu? Do własnego łóżka? Czy mam jednakże cokolwiek innego do roboty i czy wieloletnie doświadczenie nie nauczyło mnie, że nie ma takich kobiet ani takich lokali, o jakie dopomina się kształtowana lekturą i filmem

wyobrażnia? I stali bywalcy miejsc określonych przez egzaltowane dziennikarki jako undergroundowe wiedzą o tym świetnie. Undergroundowe oznacza bowiem jedynie brudne kible i tłok wykreowany przez tych, którzy pragną bywać tam, gdzie według ich pośredniej wiedzy bywają wszyscy inni. Jacyś lepsi inni, którzy czymś innym parają się na co dzień, inni mężczyźni posiadający inne kobiety, na schodach, poręczach i podestach, w drodze do sławy, w drodze do baru, w drodze do łazienki. Potykałem się nieraz o leżących pod stołami nad ranem, którzy myśleli na poważnie, że po północy na stołach zatańczą. Słuchałem bełkoczących, którzy myśleli, że uczestniczą w dyskusjach. Pomagałem wynosić takich, co to chcieli paryską tradycją przez własną egzystencję przepuścić nowe prądy, stworzyć nowe kierunki - nie ruszając się z miejsca. Wieloletnie doświadczenie aspiranta mówiło mi, że spokojna imprezka u Mikołaja, Eurosport i piwko - to najlepsze, co może spotkać mnie w sobotę. Pomimo że nie lubię sportu.

Dojechałem trzynastką. Dwadzieścia minut bezczynności, która jednak gdzieś człowieka posuwa. Stanowczo za mało jeźdź tramwajami. Dotarłem do celu, na wejściu - odprężony. Byliśmy w gronie: Włodek - guru od dystrybucji i merchandisingu, Joaśka - mediaplanerka z mężem architektem, ja i Jolka - jak ja kreatywna, Irek i Jasiek, którzy mieli małą drukarnię, Mikołaj i liczne zgrzewki piwa. Eurosport na razie potencjalny, fistaszki jak fistaszki, muzyka taka sobie.

Włodek był kumplem Mikołaja jeszcze ze studenckich czasów i pamięć dawnych ekscytacji, wspólnych wypraw w Tatry, wspólnych dziewczyn, nocnych rozmów o filozofii, których jedynym celem było podważyć sens jej dalszego studiowania, ta pamięć pozwalała im odnaleźć pewną przyjemność w przestawianiu ze sobą dzisiaj, w sytuacji, w jakiej się znaleźli - dwóch wypalonych gości, przy wygasłym kominku, w miejscu nierokującym zmian. Było to nawet fajne, stanowiło dowód, że przyjaźń zadzierzgnięta kiedyś na doświadczeniu pewnej głębi może przetrwać bez uszczerbku lata na płyciźnie. Choć ich rozmowy wypełnione były zestawieniami oprocentowania depozytów i kredytów, analizami

cen ceramicznych płytek i sprzętu sportowego dla dzieci, to jednak Mikołaj, zapytany o Włodka, powiedziała by bez zastanowienia, że woli rozmawiać o płytkach z nim, niż przykładowo o postmodernistach z jakimś gnojkiem. Szanowałem taką przyjaźń i ceniłem sobie znajomość z Mikołajem, dla której tolerowanie jego kumpli było sprawą zasadniczą. Wobec obecności ludzi, którzy byli rodzicami, mężami i żonami - ja i Jolka, jako wolno stojąca mniejszość, odczuwaliśmy pewne skrępowanie. Krępowaliśmy się mianowicie podejmować wątki, co do których istniała obawa, że są jakby boczne. Gryźliśmy się w języki, aby powstrzymać żądzę zalania towarzystwa strumieniem nowości i aktualności, całą tą wiedzą o nowych filmach, nowych książkach, nowych brzmieniach, nowych portalach, spektaklach i stowarzyszeniach, o konkursach, ogłoszonych lub rozwiązanych, talentach świeżo odkrytych i świeżo przepitych nocach. Ja i Jolka, jak ja - kreatywna, traktująca własne imię jak środowiskowy dowcip i rzecz kultową - milczeliśmy na ogół w tym gronie o rzeczach, jakimi brylowaliśmy w subkulturze singli. Milczeliśmy przez grzeczność, a może ze strachu, by nie ujawnić przed tamtymi, zajętej robotą, rodziną i rachunkami - ile mamy czasu. Ocean czasu. Żeglowaliśmy przez oceany czasu w naszych nadmuchianych pontonach, ślizgaliśmy się na falach nowych trendów, łykaliśmy srebrne płotki. Oni, na kanapach z IKEI, na kanapach i kapach w piaskowym kolorze, na ruchomych piaskach, na brzegu starości, co zaczyna się bez dyskusji przed czterdziestym rokiem życia, a nawet jeszcze wcześniej, kiedy nie pracujesz w mediach - co mogli wiedzieć o naszych podróżach? Milczałem, podpalałem Jolce i tylko Mikołaj od czasu do czasu uchylał jakieś drzwi, gdzie mogłem wcisnąć nogę, rzucić jakiś dowcip, zabawnie skomentować coś, w czym nie widziałem niczego zabawnego.

Mikołaj, obcując w pracy z młodszymi od siebie, pozostawał ciągle otwarty na rzeczywistość, niemającą nic wspólnego z rzeczywistością. Czytał powieści hipertekstowe i obok mieszanki jazzowej, trzymał płyty Eminema, a nawet kasety niszowych formacji jak Kury, Trupy, Ścianka, Rwanie w Nirwanie albo Ścierpł Mi Młot. Kupował to wszystko, żeby nie wypaść z obiegu, ale tylko na kasetach, bo taniej, a nie chciał wydawać kasy na coś, cze-

go nie jest w stanie wysłuchać do końca. Tylko jak się upił, to puszczał w kółko tę piosenkę El Dupy, że *Kirgiz szuka konia, Kirgiz szuka konia, Kirgiz szuka konia*, co do której nawet Magda zgadzała się, że jest to najlepszy utwór o szukającym konia Kirgizie, jaki słyszała w życiu. Ja autentycznie uwielbiałem Kirgiza, a Mikołaj wiedział, że takie rozrywki to coś więcej niż zabawa gówniarzy, bo dla tych, co mimo woli dorośli, stanowiły one zabawę w gówniarzy. Wyznaczały granice zakazanego miasta, gdzie wymykali się ci nieliczni, którzy chcieli od czasu do czasu zakosztować wolności - nieskrępowanego, radosnego pieprzenia, chociażby w sensie intelektualnym.

Zniosłem jakoś ten wieczór, ponieważ kochałem Mikołaja. Ponieważ był moim mistrzem. Jak Anthony Hopkins dla Hugh, tylko trochę młodszy. I też mogłem o nim powiedzieć: „jest doskonały w rolach charakterystycznych i tak samo dobrze radzi sobie z postaciami przeciwnymi”.

Tyle że role charakterystyczne nie trafiają się na co dzień.

Hydraulika sukcesu

Przysłała go do mnie Czujna, czujna na tyle, żeby zauważyć małą plamę wilgoci na korytarzu, którą uznała za wyciek z jego mieszkania.

- Wszystko jakoś leci - skomentował, jak to hydraulik, pobieżny przegląd stanu rur w mojej kuchni. - Raczej nic panu nie wycieka.

- Soki co najwyżej, życiowe - mruknąłem nieopatrznie, bo chociaż hydraulik podobny był do człowieka, to nie sądziłem, że zechce nurzać się, w godzinach pracy, w moim życiu duchowym i to nieodpłatnie. Myliłem się.

- Soki?! - pokiwał głową. - Hm... piwa bym się napił...

Poszedłem do lodówki i wyjąłem dwie puszki, i usiadliśmy sobie z hydraulikiem na sofie, jak mężczyzna z mężczyzną, w pokoju z widokiem na ścianę pełną gołych dup.

- Od dawna tak? - zapytał współczująco.
- No. Wystawę bym chciał tego... ale nikt inny nie chce...
- Taaak - westchnął i przeszył mnie spojrzeniem, jakby badając, czy w obecnym stanie jestem gotowy przyjąć brutalną prawdę o rynku sztuki, jego mechanice - prawdę, którą zna każdy hydraulik... - Za klasyczne to! - orzekł. - Niby gołe tyłki, a wygląda jak jakie muzeum. Nuda, kurde. Pan telewizji nie ma? Radia pan nie słucha? Gazet nie czyta? Taki byle tyłek to się dzisiaj proszę pana, sprzedać nie ma szans. Ładny czy nie, tyłek, proszę pana, musi być czyjś! Konkretnie znany tyłek, jakaś od tyłu gwiazda, osoba w każdym razie... Pan pokazujesz mi tu tyłek symboliczny, oderwany od, że tak powiem, nosiciela. A ludzie to chcą wiedzieć, kogo podglądają, bo jak nie wiedzą kogo, to co im z tego? Powinieneś pan te swoje tyłki podpisać. Sam bym na taką wystawę poszedł, bo warto wiedzieć, jaki tyłek ma znana twarz. To by była taka sztuka, społecznie, pan rozumie - użyteczna.

- J a s n e ! - poleciałem po następne piwo, bo dotarło do mnie, że hydraulik nie jest hydraulikiem, tylko normalnie mentorem moim, zesłanym mi przez panią Czujną, i powinienem zatrzymać go jak najdłużej, uwięzić go tutaj, poić go bez przerwy i słuchać jak guru, arbitra, bo ja wiem, jednoosobowego jury. I słuchać się go!

- Na przykład prezydent - ciągnął swą wypowiedź - jak od przodu wygląda, to ja wiem, ale od tyłu, od strony, że tak powiem natury swojej prezydenckiej? Albo marszałek sejmu? Posłowie i posłanki różne? Kłapią i kłapią, a mniej o nich wiemy niż o uczestnikach *Big Brothera*? Czy ja widziałem posłankę jakąś pod prysznicem? No choćby te Renatke? To niby jak mam na nią głosować? Społeczeństwo łatwiej pogodziłoby się z tym, że posłowie dają dupy, gdyby wiedziało, jakiej! Tak ja sobie myślę, jako hydraulik!

Znał mój hydraulik przecież ciemne, wilgotne zakamarki duszy, wiedział, co którędy płynie i gdzie trafia... Wypuściłem go w końcu w dziękczynnych pokłonach i prawie bym go na koniec w rękę hydrauliczną pocałował, gdyby nie sąsiad, co schodząc z góry spojrzął na mnie badawczo.

- Wycieka, panie Marku?

- Skądże, skądże... nic nie wycieka, zbiera raczej.

I rzeczywiście wezbrało. Ośmielony i pobudzony rzuciłem się do komputera, by sformułować moje nowe credo, które zamierzałem wysłać do dyrektora Centrum, sztuki oczywiście współczesnej, bo teraz mój projekt był już projektem współczesnym jak najbardziej i kontrowersyjnym, i aktualnym, i pewny swego napisałem:

Chciałbym przedstawić wyraziste fotografie pośladek, eksponujące niedostatki i ułomności ludzkiej natury oraz jej aspekt zwierzęcy i seksualny w cyklach: Nagi Sejm, Odarty Senat, Panorama Mediów, Lwie Zady i Polskie Dolne Partie. Multimedialny charakter ekspozycji nadała nagrania z obrad instytucji państwowych, fragmenty wywiadów i przesłuchań komisji sejmowej. Misją mojej sztuki jest zasypanie dualizmu czy też wypełnienie luki spektrum społecznego postrzegania organizmów rządzących poprzez społeczeństwo pozostające w stanie niepełnego zapoznania ukrytej natury owych organizmów - społeczeństwo łaknące jawności i obnażenia(...).

Na koniec zacytowałem hydraulika:

Czy w dobie reality shows wyborcy mogą świadomie głosować na kogoś, o kim nie wiedzą nawet, jak wygląda pod prysznicem?

I załączyłem moje portfolio z pośladekami.

Oczywiście zastrzegłem, że nie podpiszę konkretnych zdjęć konkretnymi nazwiskami. Nie mogłem przecież pokazywać tyłka własnego wujka pod nazwiskiem posła czy tyłka pani Czujnej pod nazwiskiem posłanki. Zresztą była to sztuka, a nie dokument - mogłem więc pozwolić sobie na sugestie i niedomówienia. Zaprzyjaźnione lub pozyskane odpłatnie pupy mogły być pupami celebrities, ale nie musiały. Aura tajemniczości miała otaczać moją wystawę niczym muślin - niech patrzą i domyślają się, niech się zakładają, niech zgadują... Czy tyłek ze zdjęcia nie należy czasami do samej gło-

wy...? Czy ten rząd pośladków chudych, sinawych i zapadłych w sobie nie przywodzi na myśl przedstawicieli ugrupowań ultrakatolickich? Czy sprężyste, bywałe w solariach, pielęgnowane fachową ręką masażyisty... to może...? Wystarczą tytuły i podziękowania, umieszczone na plakacie reklamującym wystawę.

Długa lista podziękowań - same ważne nazwiska!

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie:

Wyrażamy głębokie zainteresowanie penetracją obszaru Pańskiej sztuki. Proponujemy wystawę w maju. Cykl Dolne Partie zostanie zaprezentowany na parterze, a pozostałe cykle na piętrze, w kolejności odzwierciedlającej strukturę administracji państwowej. Powstała już lista sponsorów. Zechce Pan łaskawie zakreślić firmy, które odpowiadają Panu najbardziej. W najbliższych miesiącach planujemy wystawy w Pradze i Petersburgu. Prowadzimy również rozmowy z Niemcami.

Odetchnąłem z ulgą, łzy pociekły mi po skroniach na poduszkę i zaraz potem obudziłem się. Było już po dwunastej; ktoś natarczywie stukał do drzwi. Zwlokłem się i wpuściłem, raczej pochopnie, coś wyglądającego jak miniaturowa Marylina Mansona. Był to dziewięcioletni wnuczek pani Czujnej. Jedno oko miał zaklejone, a drugie sine. Od pół roku zapuszczał paznokcie u jednej ręki.

- Bab-cia przy-syła mnie! - wyskandował. - Po ka-se!

Tym razem nie był to już sen, choć tak wyglądało.

- Kasy nie mam, ale pogadajmy - zaproponowałem. Upiorny wnuczek nachodził mnie co jakiś czas i mieliśmy już utartą ścieżkę rozmowy.

- Tym razem nie pójdzie ci tak łatwo - powiedział jak zwykle. - Big Szok, nic mniej!

Z powodu małego Mansona miałem zamrażalnik pełen lodów i starałem się pamiętać, żeby uzupełniać regularnie jego zawartość.

Siedliśmy na rozpadającej się kanapie z widokiem na galerię moich zdjęć.

- Ty - powiedział tonem pełnym współczucia - może wysłałbyś to do jakiegoś magazynu dla pedałów?

Przez chwilę całkiem poważnie rozważałem tę propozycję.

Kreatywni i kreowany

Po dwumiesięcznym urlopie (przez dwa miesiące bezpłatnym!) postanowiłem wrócić do pracy. Postanowiłem pogodzić brak kariery zawodowej z brakiem sukcesu artystycznego. Perspektywa zasiłku osłabiała moje i tak nadwyrężone ego. Myślałem o T.S. Eliocie, który jałową pracę w banku pogodził z *Ziemia jałową* w strofach. Poszedłem do Bartka i nonszalancko zapytałem, czy nie ma czasem czegoś do roboty.

- A! Marek! - ucieszył się mój ludzki szef. - Tego... kawę może zrobisz, bo sekretarka jest... tego...

Sekretarka była tego już od paru miesięcy. Zrobiłem kawę dla siebie i dla Bartka, i usiedliśmy w konferencyjnym, bo czemu nie mieliśmy usiąść.

- Co w firmie?

- Eee, jest trochę...

- A jak tam sardynki?

- N o o o - odpowiedział mi i równocześnie sięgnęliśmy po fajki. - A co u ciebie?

- N o o o - odpowiedziałem - próbuję rozmawiać... Mam takie projekty różne... ale wiesz.

- Podobno próbowałeś coś z fotografią?

- Próbowałem. Próbowałem trochę z fotografią, a wcześniej próbowałem coś z pisaniem. Próbowałem również wstać z łóżka.

- Taak - zamyślił się i chwilę wertował leżące na stole gazety - widzisz, stary, ja naprawdę wiem, jak to jest. Człowiek czasem ma taką bolesną pewność, że jest... no... kimś. Tylko, że świat o tym nie wie i chociaż temu światu nie potrzeba dużo, żeby kogoś uznał... za kogoś, to jednak jakieś przesłanki są nie-

zbędne. Mam na myśli, że trzeba jednak coś zrobić, żeby świat uznał, że na coś cię stać.

- Paradoks - przytaknąłem.

- No. - Bartek milczał przez dłuższą chwilę, a potem ożywił się całkiem już niespodziewanie. - Marek!

- T a k ?

- Ty byś tak generalnie artystą zostać chciał, prawda? Nie że konkretnie, tylko tak generalnie, co? Znany chciałbyś być i w ogóle?

- Noo - zawahałem się skromnie i fałszywie. - Niektórzy mówią, że nie liczy się dzieło, tylko... Wiesz co, Bartek, tak naprawdę, to ja bym chciał zostać takim nomen omen markowym produktem. Chciałbym w prime timie w telewizji być i jeszcze w kolorowej prasie, żeby tak wszyscy chcieli mnie... i ze mną... I nagrodę żebym dostał jakąś na Targach Poznańskich, Lexmarka albo Nike. Bo gwiazdą rocka raczej nie zostanę.

- Właśnie, właśnie, produkt... - uśmiechnął się raz i drugi, i ujrzałem nad jego głową coś niby błysk, jakieś dyskretne wyładowania elektryczne i zaraz Bartek, mój ludzki szef, uniósł się na krzesło i zagrzmiął: - Synu!

- H ę ?

- Synu - powtórzył rozczulony i przeraziłem się, że zaraz w ojcowskim tonie wypierdoli mnie z roboty, bo agencji, której nie stać na sekretarkę, na pewno nie stać na adoptowanie zagubionych copywriterów.

- T a k ?

- Wystarczy być!

- ?

- Film taki był, widziałeś?

- Wystarczy bić - mruknąłem - widziałem chyba.

- Wystarczy być! - powtórzył z przekonaniem. - Może nie wszystkim i nie wszędzie, ale ty synu nie jesteś sam! Albowiem - nabrał powietrza - albowiem...

- Albowiem?

- S t o i z a t o b ą ...

Odwrociłem się i obaczyłem, że stoi za mną Mikołaj, a za nim Aga i Gośka, zwana Prosiaczkim, i pobladły Kiciu. Zbiegli

się na Bartkowe albowiem, w nadziei na drobną apokalipsę, która wytrąci ich z kolein nudy.

- Agencja reklamowa! - dokończył Bartek triumfalnie i jego zmarszczone czoło wygładziło się, jakby wziął zastrzyk z botosu.

Wszyscy stali, wstrzymując oddechy.

- Oto jest, na co czekaliście - Bartek wzniosł ramiona ku bezkresnym bielom sufitów. - Oto jest nowe wyzwanie, niech strumień świeżej krwi jeszcze raz ożywi wypalone ciała i mózgi kreatywnych z definicji! Oto jest produkt i oddaję go w wasze ręce, żebyście stworzyli go w tydzień. Dajcie mu nazwę i opakowanie. Wprowadźcie go na rynek, uplasujcie między najwyższymi. Umarł człowiek narodził się artysta, coś w tym stylu.

- Mareczek? - upewnił się Mikołaj. - Chcesz, żebyśmy wypromowali Mareczka? W ramach etatu?

- No - Bartek już zacierał ręce! - I tak nic innego nie macie do roboty. Przynajmniej coś się będzie działo. Nuda demoralizuje, a jak się czymś zajmiecie, to może przestaniecie truć mi dupę.

- A premie jakieś będą? - zapytał ogłupiały Prosiaczek.

- Będą, będą, zaraz po pensji.

Sprawa premii była w naszej firmie na pierwszym miejscu listy spraw zaległych.

- Artysta, co? - zachichotał Mikołaj, gdy wyszliśmy na balkon, żeby zająrać. - A może coś bardziej szczegółowo. Dopiero co miałeś być poeta...

- Szczegółowo się nie sprawdziło - warknąłem. - Trzeba myśleć globalnie, bo kapitalizm globalny jest.

- Ja myślę, to jest zajebista idea - powiedziała Aga i Kiciu zerknął na nią podejrzliwie. - Wolę reklamować Słabego niż jakieś opony albo dezodoranty.

- Zwłaszcza że nie mamy opon ani dezodorantów - zgodziła się Gośka. - Marek przynajmniej dostał nam się bez przetargu.

- I bez budżetu - uciął Mikołaj. - Jak mamy zrobić kampanię bez pieniędzy? Bartka już całkiem pogięło.

- Może - wtrąciłem nieśmiało - taką kampanię bardziej PR, patronaty wiecie, prasowe...

- No przecież nie musimy dawać go od razu na billboardy - Prosiaczek myślał pozytywnie. - Na początek wystarczy promocja w internecie albo napisać coś w...

- W kiblu - uprzejmie podsunął Mikołaj, ale zaraz zrobiło mu się głupio i wałnął mnie w plecy. - Dobra stary, niech będzie, wyślemy dziewczyny po skrzynkę piwa i zaczniemy myśleć strategicznie. O tobie, skrzywiony przyjacielu mój!

- Mikołaj - łzy zakręciły mi się w oczach - jesteś pewien... bo może... warto to olać?

- Ech - machnął ręką - co nam szkodzi, nie? Słabsi od ciebie kariery robią każdego dnia.

- Na przykład kto?

- No, ten tam jeden... - powiedziała Aga bez zastanowienia.

- Albo ich troje - dodał Kiciu po głębszym namyśle.

Tak. Zanim dostałem robotę w reklamie, myślałem, że taka burza mózgow to coś bardzo fajnego, że wszyscy jak te błyskawice, że intelektualny sztorm... wywraca kutry banału... i młody narybek... uwalnia się z sieci... przestarzałych skojarzeń, że srebrzysty strumień... naszych złotych myśli... No dobra - cała ta burza to w praktyce straszne lanie wody i tylko nasze przekleństwa brzmią jak gromy, w błysku zapalniczek. Tym razem miałem zresztą przechlapane na starcie, bo chociaż występowałem w roli produktu, to jako produkt ożywiony i obdarzony mową - dostałem prawo głosu. Ba, był to nawet przymus.

- Te , produkt - zaczął Kiciu - powiedz nam tutaj, jaka ty branża jesteś i do czego się nadajesz, mów!

- Branża to wiadomo. Sztuka i już - wyratował mnie Prosiaczek.

- Jaka?

- Co?

- No co, co?

- No rzeźba może być, malarstwo, nie? Fotografiją coś podobno się zajmowałeś?

- Co umiesz człowieku?

- Ale wy - wkurzył się Prosiaczek - ograniczeni jesteście! Malarstwo, garncarstwo! To oldskulowe myślenie jest. Sztuka i już! Nieważne jaka, bo różna. Emanacja ego, co nie?

- J e g o ego? - upewnił się Mikołaj. - Emanacja?

- A może id? - zachichotał Kiciu

- Mówi się itd. - poprawiła Aga.

Emanacja! Dlaczego by nie? To słowo też lubię. Nie malowałem, nie szło mi pisanie, nie rajcowało mnie zbieranie wieszaków po śmietnikach, nie lubiłem tarzać się w mięsie. Moje zdjęcia były bezspornie do dupy. Tradycyjne dziedziny sztuk pięknych były dla mnie zamknięte. Dziedziny nowoczesne były otwarte dla wszystkich, ale nie o to mi chodziło. Mogłem pójść dalej, ignorując dylemat dzieło czy artysta, przedmiot czy concept, przedmiot czy podmiot, wymiot czy miot. Pamiętając, że demokratyczność jest pierwszą zasadą rynku.

- J a k o artysta mam tylko jeden cel - powiedziałem im do słuchu - sprzedać się! Się! Rozumiecie? Ja, Marek Słaby, stanę się dzięki wam silną marką. Zaspokoję potrzeby, które wy stworzycie, złożę się z cech i smaków, jakimi wy zapragniecie mnie obdarzyć, ubiorę się w zaprojektowane przez was twarze i zmieszczę się w narysowane ciała. Przybiorę kolor waszych pasji. Moje gruczoły wyprodukują aromaty... aromaty...

- Chryste - jęknęły Gośka i Aga. - Tylko twoich aromatów nam brak!

- To już było - westchnął Mikołaj. - Rajkowska! Pamiętacie, reklamowała na mieście te puszki z samą sobą...

- Prawda - zmartwił się Prosiaczek. - Pod hasłem możesz przeżyć moje życie, jakoś tak. Mydło z tłuszczu i energy drink, pamiętacie, wyprodukowała ze swoim tym... płynem... mózgowym chyba.

- Puszki z gównem artysty były znacznie wcześniej - wtrąciłem się. - Rajkowska tylko parafrazuje klasykę.

- Wszystko już było i było też o tym, że było już wszystko - podsumował Mikołaj. - W parszywych czasach żyjemy, w erze powielania. Człowiek chce się przebić, a tylko jak przez kalkę przebija się!

- Taaa - rozmarzył się Kiciu, bo określenie parszywe skojarzyło mu się z seksem. - Ty, Marek! - błysnęła mu w oku niespodziewana myśl. - Kultura gejowska podobno rozkwita!

- Wiem - odpowiedziałem znużony już tą burzą - Marylin Manson też mi tak radził.

- Manson? - krzyknęli szczerze poruszeni i nie śmiałem już zepsuć tego wrażenia, więc milcząc wyniośle, udałem się do kibla. A tam na siedząco jeszcze raz pomyślałem sobie, że pcham się do tej sztuki jak Polska do Unii i w sumie nie wiadomo, po co tak się pcham. A potem pomyślałem, że przecież whisky stanieje o połowę. A jako artysta będę mógł już od rana chodzić nastukany i wtedy kto wie, może napiszę nawet bestseller. O tym, co na wątrobie mi leży, i jak było na odwyku.

I AA Award mógłbym jeszcze dostać. No to niech już będzie.

Olo i wykonawczy

Mały sukinsyn! Takie walenie obudziłoby nawet pijanego, a ja byłem trzeźwy. Trzeźwy i wściekły, popędziłem do drzwi w samych gaciach. Naprawdę chciałem udusić tego gnojka. Niby jak mam spłacać ten czynsz, skoro wszystko wydaję na lody dla jakiegoś posiniaczonego potwora. Mały Manson dostanie dzisiaj patyka!

- Gówniarzu - wydarłem się, otwierając drzwi, i zgłupiałem. W progu stał Olo Oleski. Gruby i łysawy, zajeżdżający potem, ale prawdziwy Olo Oleski - mój kumpel z podstawówki.

- Marek, cześć! - sapnął i wytarł czoło rękawem marynarki. Zabrzmiało to jakoś niewyraźnie.

- Stary - ucieszyłem się organicznie - ja pierdołę! Skądś się tu wziął? Właż, właż - zachęciłem go, bo jakoś tak przebierał nogami i ani wte, ani wewte.

Wszedł w końcu i jeszcze raz powtórzył to swoje: Marek cześć.

- No cześć - zniecierpliwiłem się. - Ja to ja, a ty to Olo! Cześć, cześć! Wzywam bazę - przywołałem nasze niewinne młodzieńcze zabawy.

- Miałem nadzieję, że nie - powiedział Olo i usiadł na kanapie z takim jakimś świstem, jakby ktoś spuścił mu powietrze.

- Fajnej oponki dorobiłeś się - zażartowałem, jak to kumpel z kumplem.

- Passat nowy. W leasingu mam - sapnął, nie patrząc mi w oczy.

- O oponce na brzuchu mówiłem, pierdoło - wyjaśniłem pierdole, otwierając piwko. - A tak w ogóle, to co porabiasz, żonę jakąś masz, czy co tam? Starzy zdrowi? - zapytałem, bo mama Ola wykarmiła mnie niemal własnym mlekiem.

- Miałem nadzieję - powtórzył Olo - że nie...

- Co nie?

- No, że ty... to nie ty! Byłem pewien, że mieszkasz na Krowdrzy.

- Mieszkałem do zeszłego roku. Teraz tu jestem, całkiem przyjemne mieszkanie, gdyby posprzątać. Tylko, kurwa, z czynszem, mały problem mam. Właścicielka... strasznie znerwicowana jest, nieszczęśliwa kobieta.

- Roboty nie masz, czy jak? - Olo złapał za piwo i w sekundzie opróżnił szklankę, widać, okropnie chciało mu się pić.

- Mam, nic się nie bój! W reklamie pracuję, co prawda to nie Warszawa...

- W reklamie pracujesz - Olo pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem - a na czynsz ci nie starczy? Hazardzistą zostałeś, czy jak?

- Z a r a z - zirytowałem się - nie widziałem cię chłopie od piętnastu lat i od pierwszej minuty wypytyujesz mnie... A ty to właściwie co robisz? Kim zostałeś? Pierdołą, jak to zawsze marzyłeś, co?

- Ornikiem - powiedział Olo, wyjął z kieszeni chustkę, średnio higieniczną, i wysmarkał nos.

- Kim? - ryknąłem ze śmiechu? - Rolnikiem! O ja cię pieprzę! To, stary, zajebiście! Gospodarstwo masz i tak dalej - ucieszyłem się z całego kumpelskiego serca - za żonę brone

i dzieci odkarmione! Pole sobie obrabiasz, spokojnie, tam i z powrotem? Zajebicie!

- Komornikiem! - powiedział głośno, wyraźnie, i schował tę zasmarkaną chustkę.

- Co? - nagle spojrzałem na łapy Ola i były to łapy białe, śliskie i białe, z grubymi paluchami, a każdy kończył się paznokciem, krótkim i czystym - obrzydliwym paznokciem komornika.

- Rewir czwarty. Z tytułem wykonawczym. Sprawa numer...

- Olo - wyszeptąłem struchlały. - Odbiło ci?

- No co się tak dziwisz? Chyba jakiś papier dostałeś wcześniej, nie? Osobiście ja, Marek, nic do ciebie nie mam. To moja praca i już. Tyś mi bracie zawsze był - roztkliwił się nagle, i nie znajdując lepszego zakończenia, dopowiedział - jak brat.

A potem brat powiedział mi, gdzie i kiedy mam przyjść, gdybym chciał zapłacić, a ja obiecałem, że przyjdę i zapłacę. Nie zabrał mi telewizora - wczesne rokoko, nie zabrał mi notebooka, bo nie dojrzał go wcale, pod stertą brudów na podłodze, ani samochodu, który miałem, co prawda, na własność, ale i na kredyt. Okazało się, że praca komornika nie jest znowu taka zła. Człowiek był nadal z tego Ola, przynajmniej wobec znajomych. Wypił mi jeszcze dwa piwa, spisał sobie, co tam potrzebował, i poradził mi, żebym spróbował dogadać się z właścicielką, to wtedy ani on, Olo, ani jego, Ola, koledzy, nic nie będą mieli już do mnie jako organ sądowy.

Pomyślałem, że trzeba by zadzwonić do mamy i taty, że warto pośpieszyć się z karierą, jaka by nie była, albo znaleźć kobietę, która stanowiłaby dla mnie ostoję i mieszkanie miała niedaleko, żebym nie bulił za transport niepotrzebnie, kiedy mój kumpel Olo już mnie wyeksmituje. I jedna tylko kobieta na myśl mi przyszła i stanęła w oczach. Ta jedna, co odchodząc ode mnie, poszła na angielski. Ta, co przed moim obiektywem stając, na mnie się wypięła.

Ta, której imienia bałem się wypowiedzieć.

Matka czyjegoś dziecka.

Pantera.

Prawniczka.

Kobieta Która Mieszkała Naprzeciwko.

Rozbryzg ***(niemający nic wspólnego z szampanem)***

- Produkt - powiedział Mikołaj - zaczyna się od nazwy.
- Masz na myśli pseudonim? - zaniepokoiłem się.
- C z e m u nie? Musisz przyznać, że twoje nazwisko... no... nie jest... szczególnie mocne.

Myślałem o tym już wcześniej. Pseudonim to w moim wypadku pewna oczywistość, ale coś we mnie buntowało się przeciw utracie tożsamości. I chciałem, żeby tacy jak Ołó, kumple z dawnych lat, dziewczyny, których nie udało mi się przelecieć, krewni i emerytowani nauczyciele poznali, że ja to ja, kiedy już będę znany. Dlaczego miałbym harować na jakieś inne nazwisko, którego żadna z moich byłych dziewczyn ze mną nie skojarzy?

- Ej, Mikołaj - powiedziałem mu - ty sobie nie ułatwiasz roboty, dobra? Ty lepiej pomyśl, jak zrobić, żeby Słaby stał się synonimem silnego. Pomyśl, jaki potencjał copywriterski drzemie w moim nazwisku. Słaby coraz silniejszy! Nie ma mocnych na Słabego! Gotowe rozwiązania, rozumiesz? Moje nazwisko to już połowa hasła.

- Hm - zamyślił się Mikołaj - to miecz, rzekłbym, obosieczny, to twoje nazwisko, ale kto wie, kto wie.

- „Marek Słaby. Silna marka” - dorzuciłem jeszcze, co już od dawna miałem wymyślane.

- „Słaby, kochają go baby” - powiedział Kiciu i pochylił się, udając, że wymiotuje.

- M a t k o święta - jęknął nagle Prosiaczek, bez związku z czymkolwiek i udał, że mdleje.

- C o ?

- Miałaś widzenie - zarżał Kiciu, który od wczoraj wkurzał mnie na poważnie - czy tylko ci słabo?

- W i d z e ... - Prosiaczek postanowił utrzymać się w konwencji - supermarket...

- Tesco czy Geant? - przerwała Aga.

- Supermarket... - ciągnął Prosiaczek - i tłumy ludzi... tłumy ludzi...

- To musi być niedziela - wyszeptała Aga i umilkła, bo Prosiaczek kopnął ją pod stołem.

- T ł u m y ludzi... przechadzają się między półkami... Na wysokości wzroku....

- To wiemy - zirytował się Mikołaj - co?

- L e ż y - Prosiaczek otworzył jedno oko, sprawdzając, czy słuchamy uważnie - leeeży... między czekoladami a wafelkami w czekoladzie leeeeeży....

- Marek - wykrzyknęli wszyscy. - I co z tego?

- Leży Marek - potwierdził Prosiaczek i po krótkiej przerwie, triumfując, dodał - z kodem kreskowym na koszulce!

- Wow - powiedział Kiciu, bo tylko on tak mówił.

- Hm - zastanowiłem się - mnie to pasuje... do koncepcji sprzedaży, mnie to pasuje.

- No - kiwnął głową Mikołaj - to by uszło.

- A nie powinien - przerwał Kiciu - leżeć na mięsny raczej... z produktami na wagę?

- Na mięsny - zgodzili się jednogłośnie.

- J a k na wagę? - przeraziłem się po raz pierwszy. - Może od razu porąbicie mnie na kawałki?!

- Milczeć - zarządził Mikołaj. - Produkty na wagę są bezmiennie.

- Racja - przyznałem mu rację. - Jak już, to mogę leżeć na plastikowej tacce. Pod folią.

- Interesujące - podchwyciła Aga. - Bylebyś leżał pod tą folią nago.

- N a g o ?!

- Nago! - powiedzieli zupełnie serio.

- Z kodem kreskowym na tyłku - mściwie dodał Kiciu.

Od czasu do czasu przychodziło mi do głowy, żeby zrobić jakiś performance albo instalację. Przeczytałem kiedyś taki artykuł o Tate Modern w Londynie, że jest tam dużo miejsca i w ogóle. Przez parę dni nie mogłem uwolnić się od takiej idei, żeby wybudować w tym Tate zajebiste akwarium, z muszlami, świątełkami i prawdziwą wodą. I ja - performer, pływałbym sobie tak w tej wodzie jako złota rybka, symbolizując trzy życze-

nia. Przechodziłem również okres fascynacji kebabem. Kebab wydaje mi się niesamowicie naładowany znaczeniowo, uważam kebab za danie prawdziwie postmodernistyczne, gdzie wszystko miesza się ze wszystkim i wszystko jest we wszystkim upchnięte. Myślę też, że kebab jest formą dialogu między światem chrześcijaństwa a światem islamu, choć oczywiście jest różnica między kebabem tureckim i arabskim, jak wiadomo. Chciałem nawet zorganizować Festiwal Kebaba w Krakowie, ale inicjatywa padła z powodu nacisków konsulatu amerykańskiego. Sztuka często miewa problemy z polityką. Dla Festiwalu Kebaba był to niedobry czas.

Najbardziej zaawansowane z moich prac dotyczyły jednak umywalek. Zamierzałem w Galerii Głównej postawić taką instalację: rząd umywalek, a nad każdą z nich lustro. Nad lustrem tabliczka - na tabliczce problem. Ujęty w dwóch słowach, albo jednym słowem. Głód na świecie; Wojna w...; Faszyzm; Sekszizm; Przemoc; Korupcja; Aborcja; Wzrost przestępczości; Zabijanie zwierząt; Oszustwa podatkowe - od problemów globalnych do banalnych problemów. Ludzie stawaliby przed moimi umywalkami - przed tymi problemami, i, zerkając w lustro, patrzyli sobie w oczy. Taki mały sprawdzian. Trening Piłata. Stań twarzą w twarz i pomyśl, czy chcesz umyć ręce.

Długo nosiłem się z tą myślą, ale z powodu ciężaru gatunkowego - nie doniosłem jej na miejsce. Do dzisiaj na widok umywalki robi mi się głupio i pewnie to dlatego robi mi się głupio kilka razy dziennie.

Jakiś czas potem przerzuciłem się na lodówki. Miała to być wypowiedź na temat twórczości. Że chłodna kalkulacja zabija umysłową świeżość. Że pomysłów nie powinno się przechowywać, bo gdy rozważasz je na zimno, flaczeją jak sałata. Że z jajek trzymanyh w lodówce nic się nie wykluje.

Artysta od kuchni zjada wszystko od razu. Zimnymi resztkami karmi się społeczeństwo. (Mieszczanstwo? Kołtuństwo? Klasa średnia? Copywriterzy?).

Po umywalkach i lodówkach nastąpił okres toalet. (Gdy lodowiec skruszał, wody zalały góry i zrobiły się z nich doliny). Był to projekt o charakterze interaktywnym, ponieważ młodość

musi się wyszumieć. Mój projekt instalacji toaletowej miał wyglądać tak:

1. Kibel pubowy - raczej brudny, z napisami na ścianach, takiego rodzaju, co to nie bardzo wiadomo, czym je wykonano, i ze śladami po kiepach na desce, co jest społecznie akceptowaną formą młodzieńczego buntu.

2. Kibel biurowy - sterylnie elegancki, o ścianach pokrytych białymi kafelkami, o lekko sinawym odcieniu, jaki przybierają ciała skazane na przebywanie w zamkniętych strukturach hierarchicznych.

3. Kibel domowy - ze stertą starych gazet, pozwalających na poznanie motoryzacyjnych preferencji właściciela lub też jego preferencji natury seksualnej, gdy jest to kibel kawalerski.

4. I tak dalej.

Ludzie wchodziliby do środka, a wtedy uruchamiałyby się nagranie z autentycznymi scenami zarejestrowanym w podobnych przestrzeniach. Wykonałem nawet kilka takich nagrań. To było proste, wystarczy mieć dobry dyktafon. A ludzie wygadują w kiblach niestworzone rzeczy, zwłaszcza w tych biurowych. Mój ulubiony kawałek to: „Weź go w zęby, na co czekasz, weź go teraz w zęby i zanieś do kierownika!”. Nie wiem, o co chodziło, ale obstawiałbym jakiś raport, co najmniej kwartalny.

Kiblizm. Realizm defekacyjny. Coś takiego napisałbym w katalogu - Rapsodia toaletowa albo WC drama. Uwielbiam czytać katalogi wystaw, z których nic nie rozumiem. Widzę na przykład fiuta wiotczącego sobie na równo skrojonych plasterkach cebuli i z tego widoku nie wynika wiele, za to w komentarzu stoi wyraźnie: „śmiała krytyka narastającej fali promiskuityzmu degradującego się społeczeństwa schyłku drugiego tysiąclecia” albo: „współczesny mężczyzna płacze pochylony nad swoim członkiem, którego kobiety od dawna przestały mu zazdrościć”. I wszystko jasne! Fiut z komentarzem niezawodnie zyskuje na wielkości. Dlatego uwielbiam czytać wszystkie te katalogi. Badać potencję fiutów.

Mój pomysł z udźwiękwionymi toaletami zainteresował dyrekcję Galerii Głównej. Był nośny ze względu na możliwości pozyskania sponsorów - producentów sedesów i spłuczek. W miarę jak rozmowy ze światem biznesu nabierały kolorów, pomysł ewoluował, a ja musiałem się zwiijać. I w końcu dyrekcja galerii postanowiła udostępnić podwoje dorocznym targom ceramiki łazienkowej. Zaproponowano mi nawet pracę przy dystrybucji ulotek. Sztuka kazała mi wracać tam, skąd przyjechałem. A gdybym tak był Duchampem? Gdybym był? Gdybym im przyniósł *Wielką Szybę*? Nakleiliby na niej logo Oknoplastu?

- No powiedz - zapytałem Mikołaja - gdybym był Duchampem!?

- Oj, stary - Mikołaj spojrział na mnie tak, jakbym wcale nie był Duchampem, ale na przykład gumą w popielniczce - ty nie jesteś Duchampem, ty jesteś ready - Made!

Chwila! Nie jestem taki znowu głupi. Wiem co to jest ready - Made. I kiedyś nawet kupiłem sobie, tak dla jaj, biografię Duchampa w Taniej Książce. Normalnie obraziłem się na Mikołaja. Normalnie obraziłem się! Poszedłem do domu i jak złość już mi przeszła, to pomyślałem, że może sobie poczytam - tę biografię. Ledwo otworzyłem i proszę: „Duchamp, który zwykł twierdzić, że artysta nigdy nie wie, co robi i dlaczego, odrzucił prośbę przedstawienia jakichkolwiek wyjaśnień do *Wielkiej Szyby*”. No proszę! Dalej jednak nie było już tak fajnie, ponieważ okazało się, że: „Funkcjonowanie dużego, chmuropodobnego kształtu znajdującego się u góry opisane jest dość dokładnie. Element nazywany przez Duchampa Aureolą Panny Młodej, Górną Inskrypcją, Mleczną Drogą lub Kinematycznym Rozkwitaniem nie jest emanacja Panny Młodej, lecz nią samą, prezentowaną «kinematycznie» w momencie rozkwitania, stanowiącym także moment jej rozbierania”. I tak dalej, i tak dalej, aż do: „Młynek do Czekolady wykonuje swe samcze zadania”. O ile z notatek na temat rozbierania panny nic nie zrozumiałem, to kawałek o młynku wydał mi się całkiem zabawny. Czytałem więc uparcie: „Młynek działa zgodnie z przysłowiem

spontanicy brzmiały: Każdy kawaler miał swą czekoladę sam. Czy onanistyczna litania Ślizgowca zapoczątkowuje ten aż nazbyt samczy proces?". Nie miałem absolutnej pewności, ale mogło tak być. Poruszając się tam i z powrotem, tajemniczy Ślizgowiec miał bowiem wyśpiewywać pogrzebową pieśń, wyrażającą sytuację kawalerów:

Powolne życie

Błędne koło

Onanizm

Poziomy

Powrotna droga do bufora

Odpadek życia

Tania konstrukcja

Blacha, sznury, druty

Ekscentryczne drewniane koła

Monotonne koło zamachowe

Piwny profesor

Czułem, że coraz lepiej rozumiem Duchampa, czytałem więc dalej o tym, że „Pochodząca nie wiadomo skąd czekolada na walcach odłożyłaby się po zmieleniu jako czekolada mleczna”, co jednak wydaje się nie mieć „żadnego realnego związku z zawiałą podróżą drobin”. Zgodziłem się, że związku nie ma i zaraz dowiedziałem się, że oto „wessane przez Motylą Pompę drobinny po przejściu przez łuk Sit straciły swą tożsamość i stały się bezwładnym obłokiem”. Słowo daję - tak podejrzewałem! Kochane drobinny! „W tej formie - śledziłem wytrwale ich pogmatwane losy - docierają do Zboczy Drenażowych, gdzie Tobogan unosi je na skierowany ku dołowi swoisty korkociągowy kurs. Mijają obszar Trzech Katastrof, aby dotrzeć do rejonu Rozbryzgu - następne części musimy sobie wyobrazić, gdyż istnieją jedynie w notatkach. Rozbryzg (niemający nic wspólnego z szampanem) kończy cykl działań kawalerów - mówi Duchamp”.

Ostatnie zdanie wydało mi się już zupełnie jasne, więc uspokojony zgasiłem światło i jeszcze długo wizualizowałem sobie Motylą Pompę, jak każdy kawaler, który miał swą czekoladę sam.

A potem pomyślałem sobie, że pierdołę sztukę nowoczesną. A na co mi cała ta konstrukcja - blacha, sznury, druty, tłukące się szkło. Już ja lepiej, koziołeczek, wróć do normalnej poezji. Tanio przynajmniej jest i można własnym sumptem. I pomyślałem, że napiszę poemat taki, pieśń copywritera, co to go tłamsi agencja - sieciowa dla niepoznaki i międzynarodowa. Coś w stylu: *usiadłaś mi na twarzy i straciłem oddech/ musiałem połknąć/ słowa/ śliskie krople/ prawdy*. Albo inaczej, na ten temat. Szło mi jak z płatką. Przełknąłem coś, nastawiłem wodę na herbatę i poleciałem:

*Dali mi brief
Bagnet na broń
Zimna stal wbija się w ciało
Wpija się w usta
Kaganiec.*

*Mogę mówić językiem mas
Masa słów
Język Masajów
Szkarłatne L i coś jeszcze
Na twoich spodniach gnojku
KOGUCIKU*

(Utwór ten pragnę zadedykować twórcy kultowej kampanii Czerwonej Wszywki, która zajmuje poczesne miejsce w Izbie Pamięci Reklamy Narodowej).

Poeta, nie pierdoła

- Jezu - powiedział Prosiaczek - to zajebiste jest. Tylko szkoda, że wiersz!

- Idiotka - westchnął Mikołaj - idiotka normalnie. Fajny wiersz, tylko szkoda, że wiersz! Przez takich jak ty, to przez takich jak ty, mówi się, że w reklamie pracują idioci!

- Serio? - zapytała poważnie. - A gdzie tak się mówi?
- Nooo wszędzie, w piśmie „Odra” na przykład.
- To rzeczywiście! Wszędzie! - ucięła, usiadła na parapecie i zapaliła papierosa z wyrazem pogardy wobec Mikołaja i innych samozwańczych elit. - Jesteś stary - wycodziła - i twoja wizja kultury jest już przestarzała. Stare formy, stare nośniki, stare podziały. Jak obraz, to na płótnie, jak rzeźba, to z kamienia, a jak wiersz, to drukiem. Jesteś stetryczającym konserwatywnym prawnicowcem. Jesteś niewidomym, który sądzi, że prowadzi psa.
- A tttty - wysyczał Mikołaj - głupia biała laska!
- Spokój - zaproponowałem. - Wiem, że bardzo się kochacie, ale chciałbym jednak wrócić do meritum, bo rozumiem, że Prosiaczek miał tu coś na myśli...
- Akurat - prychnął Mikołaj.
- Oczywiście - uśmiechnął się Prosiaczek z wyrazem dominacji. - Miałam na myśli, że jak Marek już koniecznie musi pisać wiersze, to niech je przynajmniej wykona.
- Czyli co - Aga wyglądała już na poirytowaną? - Wieczorek zrobimy mu autorski?

Wyobraziłem sobie obskurny dom kultury i kilka rzędów pustych krzeseł, które zastygły w bezruchu, wsłuchane w mój monotony głos. Nie ma co, marzyłem, aby wykonywać swoje wiersze przed publicznością.

- Słyszeliście o Slam Poetry?

Ale my nie słyszeliśmy, co ważne nie słyszał również Mikołaj. W jego imieniu poczułem się zażenowany, kiedy tak triumfowała. Albowiem Prosiaczek nie czytywał co prawda czasopism literackich, żadnej tam „Odry” ani „Kwartalnika” (ba, nie wiedział nawet, że można dostać je w Empiku, gdzie także bywał niezbyt często), ale za to regularnie odwiedzał wszystkie punkty, gdzie dystrybuowano „City Magazine” albo „Aktivistę” i lubił sobie przy piwku łyknąć trochę kultury, o ile wyposażono tę kulturę w swojski przydomek „pop”. Wiedziała masę przydatnych rzeczy - jakie knajpy otwarto w ostatnim miesiącu, jakie koncerty zaplanowano na przyszły, a nawet, że raper z Molesty przeszedł był na islam. Znała po nazwisku lokalne środowiska artystyczne i bywała w miejscach, gdzie one bywa-

ły. Bo nie trzeba czytać wierszy, żeby wiedzieć, kto jest poetą, ani chodzić na wystawy, żeby bliżej poznać malarza. Na swój własny sposób, Prosiaczek obcował jednak z kulturą i sztuką. Był z nimi na ty. Pozwalał się im uwodzić, nawiązywał intymne kontakty. Kultura i sztuka po prostu przenikały do jej wnętrza, razem z alkoholem. W odróżnieniu od zwykłych ludzi Prosiaczek zdążył już się dowiedzieć, że poezja współczesna to niekoniecznie tylko Miłosz i Szymborska. W odróżnieniu od ludzi interesujących się literaturą, wiedziała już nawet, że poezja współczesna, to coś więcej niż wiersze.

SLAM POETRY!

To była szansa dla wszystkich, którzy chcieli pokazać się za wszelką cenę. Slam - to była szansa dla mnie. Mogłem oczywiście powielać sprawdzone wzorce i wbijać sobie w skórę agrafki, udając performerą. Mogłem naśladować artystów rosyjskich, dać się zamknąć w klatce i gryźć publiczność po łydkach, udając psa. Mogłem, jak artyści rodzimego chowu, publicznie zjadać albo rodzić jakąś Barbie, mogłem bezpretensjonalnie układać kostki mydła na podłodze, nawiązując sobie do Holokaustu, albo wymiotować śrubami zawieszony na sznurze, jak nowojorczy. Mogłem jednak również robić wszystkie te rzeczy, równocześnie recytując poezję. Z tego, co powiedział Prosiaczek, mniej więcej na tym miał polegać cały ten slam. Po prostu super. Rozbryzg absolutny! Być poetą i nie stać się pierdołą. Nie stać się smutasem, gościem gminnych bibliotek, adwersarzem emerytowanych nauczycielek polskiego, ulubieńcem niespełnionej literacko ciotki. Być poetą naprawdę, dojmująco, do krwi i plazmy współczesnym - i zajebistym kolesiem jednocześnie. Laski - myślałem - rwałbym sobie szczipkę. Stukałbym je do rymu, bez znaków przestankowych. Konwencje mieszałbym swobodnie, odkrywał gatunki nowe. Rzesza dziewiętnastolatków aspirujących do literatury (albo ukończenia drugiego roku na kulturoznawstwie), rzesza - mówię - apostołów ciągnęłaby się za mną po mieście. Nikt by nie wiedział naprawdę, z kim właściwie sypiam. Zapuściłbym sobie włosy, rzemyk z odwróconym krzyżem nosiłbym na szyi i w *Pegazie* wystąpił jako gość specjalny.

Mikołaj przeprosił Prosiaczka za swój brak w niego wiary i poszedł po wódkę. Szef ucieszył się szczerze, widząc, jak dobrze potrafimy się bawić w upadającej firmie - nie trzeba nas nawet namawiać, żebyśmy zostali po godzinach. Wystarczy zasponsorować flaszkę.

Na smyczy miłości

Na konto kariery pewnej jak w banku - zwłaszcza że mam puste konto - postanowiłem zadzwonić w końcu do Kobiety Która Mieszkała Naprzeciwko i uratowała mi życie. Już dość długo powstrzymywałem się przed tym krokiem. Wiedziałem, że ona naprawdę ma dziecko i przez to dziecko, jakoś tak... No, nie chciałem wykręcić jej numeru. Jednak upojony - tą wizją, która nabrała pozorów realności, co następuje zawsze pod wpływem alkoholu, przełamałem się, żeby coś wycisnąć. Czyli te cyfry - z siebie.

- Halo - powiedziałem. - To ja - powiedziałem. - Ten wisielec, pamiętasz?

- Spadaj - odpowiedziała, jak się spodziewałem. - Idź się powieś. Mam dosyć facetów, którzy panikują, kiedy mówię im, że mam dziecko. Poderwij sobie coś na dyskotecę. Albo idź się powieś.

Uznałem, że to zaproszenie i nic nie mogło mnie powstrzymać przed skorzystaniem z niego w trybie natychmiastowym. W końcu mieszkała naprzeciwko, tak?

Drzwi otworzył mi mały i jasnowłosy. Piegowaty.

- Znam cię - powiedział. - Mój kumpel chodzi do ciebie po haracz. Jesteś fotografem od tyłków, a ja jestem Maciek. Syn. Jeśli zaproponujesz mi coś świńskiego, zadzwonię na policję.

Syn Natalii kumplował się oczywiście z pieprzonym Marylinem Mansonem, wnukiem pani Czujnej, nadal niespłaconej.

- To co chcesz? - zapytał prosto i po męsku, zagradzając drzwi.

- J e s t - zapytałem głupio - Natalia?

- Maaamo - rozdarł się, ale nadal nie zamierzał wpuścić mnie do środka. - Mamie też lepiej niczego świńskiego nie proponuj. Bo zadzwonię do taty!

Zdałem sobie sprawę, że ona naprawdę jest jego matką. Przypomniałem sobie również, ile ona ma lat. Mimo wszystko wiedziałem, że chcę tam wejść, nie zważając na konsekwencje, ponieważ, pomimo że była matką, miała na sobie biodrówki, które śpiewały pochwalną pieśń o jej biodrach, i niebieski sweterek, który opowiadał mi dwie bajki równocześnie. Stałem tak, zasłuchany i całkiem bezradny. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy, więc zaprosiłem ją na ten slam. Wiedziałem, że wyjaśnienie, co to jest, potrwa przynajmniej kilka minut i miałem nadzieję, że zaproponuje mi, żebym wszedł (choć za próg, na początek).

- To co - zapytała, gdy usiedliśmy w kuchni, pod okiem jej syna, który znalazł kilka co najmniej powodów, żeby przerwać rozmowę, a to domagając się czegoś z lodówki, a to pragnąc zasięgnąć naszej opinii w kwestii ortografii - to co - zapytała - z tej wystawy... nic nie wyszło?

- Nie bardzo - mruknąłem. - Może uda mi się sprzedać jakieś zdjęcie do reklamy, gabinetu odsysania tłuszczu czy coś w tym rodzaju. Trzeba być dobrej myśli.

Wszedł Maciek i zapytał, czemu kupa pisze się przez „u” otwarte, skoro gównu pisze się przez „ó”. Musiałem przyznać, że smarkacz jest niegłupi. Przyglądał mi się badawczo i ożywił się, kiedy wyciągnąłem telefon.

- Z aparatem?

- E e e, nie...

- Masz samochód?

- Maciek, przestań! - Natalia upomniała go, ale jakoś bez przekonania. Widocznie sama też była ciekawa, czy mam ten samochód albo cokolwiek, co podoba się małym chłopcom i dużym dziewczynkom.

- Tak sobie - powiedziałem. - Trochę mam, a trochę już nie. To złożona sprawa. Inaczej mówiąc, mam, póki co. Zaraz mogę nie mieć.

- Nie martw się - Maciek był wstrząśnięty moją szczerością.
- Mój tata też nie ma samochodu. Dlatego mama się z nim roz-

wiodła - dodał konfidencyjnym szeptem, gdy Natalia poszła po papierosy. - Teraz mieszka w Szwecji, z dwoma innymi ojcami chłodnymi uczuciowo.

Jej mieszkanie było jasne. Ściany koloru wanilii, białe zasłony, lekkie sprzęty z jasnego drewna. Kanapa w kolorze kawy z mlekiem stała twardo, na środku pokoju. Ktoś, kto nie boi się tak ustawić mebli, musi wiedzieć, czego chce. Jeżeli więc nadal tu siedziałem, znaczyło to, że jest szansa, abym został na dłużej. Ona, prawniczka - ja, slamer! Nie ma co mówić - dobrana para! Wiele zabawnych umów, we dwoje, moglibyśmy stworzyć.

- Wiesz co - machnąłem na Maćka - zamierzam wkrótce załatwić sobie psa.

- Jakiego psa?

- Wielkiego, zapchlonego kundla. Jak chcesz, to możesz pójść ze mną do schroniska, żeby zobaczyć, czy jakiś kundel nas sobie wybierze.

- Kurde! Kurde! - w okamgnieniu wykreowałem się na supergościa. - Mamo! Czy ja mogę iść z nim do kundla?

- Kiedy? - zapytała tylko.

Ona wiedziała i ja też wiedziałem, że jeśli odpowiem wymijająco, jeśli teraz wymięknę, to będzie koniec! Mogłem być frustratem, frajerem i fantastą, ale nie mogłem nawalić w sprawie psa. Trudno! Chlapnąłem i już, trudno! Więc zrobiłem to, co musiałem. Podjąłem decyzję. Powiedziałem: jutro! Powiedziałem: jutro, o trzeciej, przyjdę po ciebie i pojedziemy po brudnego kundla!

- Brudnego - powtórzył zachwycony. - Pojedziemy po brudnego, zawszonego kundla.

- Zapchlonego - poprawiła Natalia i popatrzyła na mnie tak, że poczułem się, jakbym siedział w najnowszym alfa romeo, z klimą i skórzanymi obiciami, kupionym za gotówkę.

Jechałem przed siebie i zostawiałem w tyle wszystko, co mogło stanąć mi na drodze. A ona siedziała obok i nie pozwalała mi się objąć. Trzymałem więc ręce na kierownicy i muskałem słowami - ramiona, piersi, kolana, całą jej perfekcyjnie złożoną osobowość. Wywierałem łagodny nacisk i czekałem, aż sprawy nabiorą przyspieszenia.

Nie byliśmy takimi chojrakami - Maciek i ja - żeby nie spanikować, kiedy pokazali nam wszystkie te psy. Siedziały w tych pieprzonych boksach jak żywe argumenty na rzecz nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt. Ich ujadanie nie robiło żadnego wrażenia na personelu. Z całą pewnością nie było to psie przedszkole.

- On nas sobie wybierze? Prawda? Powiedziałeś, że nas wybierze, prawda?

- Prawda - powtórzyłem cicho.

Było nam strasznie głupio wobec szczekającego i wyjącego ogromu psiej miłości, której nie mogliśmy przyjąć. Nie miałem pojęcia, co robić. Staliśmy tak, przełykając ślinę, i Maciek trzymał mnie za rękę. On trzymał mnie, a ja, równie bezradny, trzymałem jego. W ten sposób jakoś trzymaliśmy się razem. Facet o wyglądzie Leona Zawodowca obdarzył nas smutnym uśmiechem. Znikąd wsparcia. Zacząłem gwizdać, żeby zyskać na czasie, a w tym momencie psy na chwilę umilkły. I w tej ciszy zabrzmiało wyraźnie jedno, charakterystyczne, skierowane do nas, bez wątpienia do nas, pewne siebie: wrrrak. A powiedziała to kupa brunatnego włosia, po prostu kłęb kudłów, pod którym jedynie domyśliliśmy się psa.

- Kurde - Maciek aż pisnął - mów! Powiedział... co on powiedział? Kurde, ale mamy fuksa! I na pewno ma pchły, i wszy, i robaki - w jego oczach zobaczyłem autentyczną ekstazę.

- Wiesz, co on powiedział? Powiedział: wrak. - Sam wyczuwałem w tym psie pokrewną duszę. - A pcheł musi mieć od cholery.

- Ja s n e - kiwnął głową. - Od cholery! Bierzemy go!

- Bierzemy - potwierdziłem. - Wybrał nas i do tego jeszcze gada.

- Hej piesku - wrzasnął. - Hej ty, Wrak! Idziemy do domu!

Wielkie bydlę byłoby pieszczotliwym określeniem w przypadku tego pieska. Na oko samych kudłów miał ze dwadzieścia kilo. Pozytywy były takie, że w zetknięciu z Wrakiem, nawet góra lodowa nie miałaby szans.

Po krótkich negocjacjach udało się nam zapiąć smycz do obroży i już za chwilę i dla nas, i dla niego schronisko stało się tylko

wspomnieniem. Rzucił się do przodu, żeby wachać i obsikiwać, żeby poczuć i osiąść cały ten świat. I pociągnął mnie za sobą.

- Wrak! - Maciek wrzeszczał i podskakiwał, jakby to jego samego przed chwilą wypuścili z klatki. - Kałuża! - krzyczał. - Wrak! Wraczuś! Zobacz, kupa! Przez „u” zwykłe!

Niezorganizowani ludzie potrzebują czegoś, co nada ich życiu rytm, zobliguje do aktywności, ustawi częstotliwość. Każdego dnia na nowo miałem teraz odkrywać tę banalną prawdę. A skoro mogłem mieć psa, zrywać się z rana, zmuszać do wyjścia wieczorem, pamiętać o żarciu, o terminach wizyt u weterynarza, o konieczności powrotu do domu - zaczynałem wierzyć, że mógłbym także mieć inne stałe rzeczy, polubić jakieś nowe ograniczenia, zaakceptować inną rutynę. Jakies wspólne obiady, wspólne popołudnia, zakupy w sobotę, wynoszenie śmieci. Mówi się, że faceci boją się związków, boją się utraty wolności, takie tam głodne kawałki, czy ja wiem, może nawet prawdziwe, może w części, może dla kogoś... Jest też druga opcja, drugi rodzaj strachu, kiedy facet zdaje sobie sprawę, jak beznadziejna jest ta jego wolność, kiedy odkrywa, że przepierdził całe lata w poczuciu wolności, i upiera się, po gówniarsku, że to taki wybór. Bo z wiekiem coraz bardziej nudzimy się życiem. Chyba że jest fascynujące, ale co, jak nie? Filmy już zobaczone, książki przeczytane, znajomi raczej już nas nie zaskoczą - dobrze jest tę nudę podzielić na dwoje. Jak długo można samemu być adresatem swoich własnych skarg? Skoro miałem już psa, chciałem powalczyć o więcej. W końcu ten pies też był dla niej, przez nią, dla nich. To ja byłem psem. To ja siedziałem w wiecznym schronisku, ja miałem pchły, ja się gryzłem i ja ich sobie wybrałem.

Konserwatywny stosunek do antyawangardy

Aga i Gośka twierdziły, że najważniejsze jest opakowanie. Chciały zacząć od stylizacji, namawiały mnie do zdjęć, bo w reklamie każdego produktu najważniejszy jest packshot. Groszki i mar-

chewki pewne swego koloru, dymek nad filiżanką kawy, bąbelki w piwie - te niuanse uwiarygodniają każdy wizerunek. Skoro agencja dostała zadanie wykreowania mnie na slamera - księcia literackiej antyawangardy, musiałem wyglądać jak slamer, musiałem stać się pieprzoną ikoną pieprzonego slamera. Ugniatanie bezkształtnej osobowości, farbowanie włosów, kolczykowanie, decyzje co do faktur i form - redesigning po prostu. Odrzucono wersję spontanicznej naturalności, sam nie wiem, dlaczego.

- Nie mogę być po prostu sobą? - zapytałem jako człowiek asertywny.

- Czyli kim? - zirytowały się jednogłośnie.

- Dobra, już dobra - nie tyle zgodziłem się, że jestem jakby nikim, co przyznałem im rację, że nie jestem, jako Ktoś, wystarczająco wyrazisty.

- N i e jesteś wyrazisty w ogóle - Prosiaczek ordynarnie czytał mi w myślach. - Gdybyś nie uparł się na działania artystyczne, mógłbyś robić karierę w wywiadzie. Ile razy mam ci powtarzać, że w Slam Poetry wiersze nie mają większego znaczenia. Liczy się tylko, kto i jak je mówi. Rozumiesz? Tu nie ma miejsca na migdalenie się. Trzeba walić w pysk. I wyglądać jak rękawica bokserska.

Slam jako impreza poetycka znajduje się gdzieś pomiędzy sztuką a sportem. Amerykanie mają na to normalny amerykański system, eliminacje okręgowe, drużyny, mistrzostwa stanowe, cały ten dym. My mamy kultową knajpę na Kazimierzu i może tak lepiej. Poza tym wszystko wygląda jak w każdym innym sporcie - publiczność gwizdże, a slamerzy się pocą. Racją bytu poezji staje się ekspresja, atrakcyjność przedstawienia - jej jedyną szansą i pierwszą zasadą. Tradycyjne chamstwo też gra pewną rolę. Jak pewnie wszyscy przede mną, pomyślałem, że bez seksu ani rusz. Spróbowałem zaimprovizować coś, na kartce, na początek.

Pieśń szeregowego onanisty z postkomunistycznego kraju

Lewa lewa lewa lewa

Zimna lufa się rozgrzewa

*Odpada prawica
Gdy dopada chcica*

Myśląc nad kolejnym wersem, byłem jednak już przekonany, że wierszy o masturbacji może być nawet więcej niż wierszy o penetracji i postanowiłem dodać wątek polityczny.

*Grupa rolników
wali konie
w samoobronie
w samoobronie*

Zadzwoiłem do Mikołaja, żeby go zapytać, jak sądzi, czy to by uszło, jako łatwy i zabawny utwór na slam. Zanim zapytałem - już wiedziałem, że nie. Moja kondycja intelektualna nie była może świetna, moja kondycja duchowa pozostawiała wiele do życzenia, nie ztraciłem jednak całkowicie poczucia wstydu i nawet po dwóch piwach stać mnie było na trzeźwy osąd.

- Mikołaj - wykrztusiłem tylko - jakoś głupio się czuję, ja chyba nie do końca nadaję się na tego slamera.

- Tak sądziłem - mruknął - zresztą oni tam wszyscy raczej młodzi będą.

- No, ale dziewczyny mówiły, że tego, bródka i wiesz... kolczyki, redesigning w końcu.

- Nie o to chodzi. Z wyglądu to ty jesteś w porządku. O czy chodzi?

- Moje?

- Spojrzenie, rozumiesz, starcze masz na świat, człowieku. Tak o tej sprzedaży gadasz i gadasz, a w głębi serca idealista. Ty nie na targ chciałyś trafić, tylko od razu na aukcję. Sam nie wiem... niedzisiejszy jakiś jesteś, jak... jak...

- Młynek do czekolady - podpowiedziałem.

- O, właśnie - delektował się - dobrześ to ujął, jak młynek do czekolady.

- To niby co mam robić? Mieścić, czy nie?

- Sam nie wiem. Podejście zmień. Nie da się w cyrku występować, biorąc to na poważnie. Jak każdy klaun, ty jesteś posta-

cią dramatyczną. Zresztą jak uważasz, że się nie nadajesz, to znaczy, że się nie nadajesz i kropka. Od dawna podejrzewałem, że jesteś ukrytym kulturowym pesymistą.

- No widzisz - zasmuciłem się przez telefon - ja rzeczywiście, nieoczekiwanie, jakoś strasznie konserwatywny nagle jestem... Do poezji zwłaszcza, mam tradycyjne podejście, nieoczekiwanie. Myśli nachodzą mnie różne, a to, że tani poklask, a to, że nieśmiertelność, nie wiem sam... Może by tak po prostu na papierze, tomik sobie wydać skromny, do księgarni pójść, zobaczyć taki tomik, pośród innych tomików.

- Których nikt nie kupuje - dokończył Mikołaj, podejmując ton. - Starcze spojrzenie, mówię ci. Ty byś chciał jednocześnie - dać się wchłonąć i tożsamość zachować. Po bulwarach chodzić na palcach. To jest, kochany, normalnie, elitaryzm środkowo-europejski! Dogmatyzm estetyczny, ot co! Samokrytyka, skromność, podejście na serio... tak, ja wiem, jak to się zaczyna. Wiem też, jak to się kończy.

- No? Jak to się kończy?

- Ustąpieniem pola!

- Ustąpieniem?

- Tak to się kończy.

- Myślisz... całkowicie?

- Myślę, że nigdy ci nie opowiadałem, jak cztery lata temu wydawałem tomik.

- Poważnie?

- Poważnie.

- I wydałeś?

- I wydałem - powiedział z głośnym westchnieniem.

- O, ja cię pieprzę! Mikołaj! Nie miałem pojęcia! Nic o tym nie słyszałem.

- Właśnie, stary, właśnie!

Historia pewnego sukcesu

Mikołaj wydał swój tomik w niedużej oficynie Suchy Liść. Była ona mało znana i specjalizowała się w wydawaniu książek

mało znanych autorów. Założyciel musiał mieć poczucie misji, ponieważ poezja stanowiła trzon oferty wydawnictwa. Był to raczej wąty i dość krótki trzonek. Po roku, który dla Mikołaja był czasem bolesnego, acz przepełnionego nadzieją oczekiwania, książka wreszcie wyszła. Mikołaj podejrzewał, że setki telefonów, jakie wykonał do wszystkich trzech zatrudnionych tam osób, domagając się połączenia z trwale nieobecnym szefem - w końcu musiały wywrzeć skutek. I wywarły. Wydawnictwo było już w tak fatalnym stanie finansowym, że nawet kolejny tomik wierszy nie był w stanie bardziej mu zaszkodzić. I tak nie zamierzali zapłacić drukarni. Mogli za to pozbyć się Mikołaja. Po prostu nie mieli już siły odbierać tych jego telefonów. Zwykły poeta załamałby się już dawno, ale Mikołaj pracował w reklamie, był przeszkolony, był odporny, ignorował fakt, że go ignorowano. Chwila, kiedy otrzymał w końcu złożony tekst do korekty, była chwilą jego triumfu. Ostatnią. Pieczołowicie poprawiał literówki, sam napisał notkę o sobie. Powiedziano mu, że książka będzie miała premierę na targach. Oczekiwał rytuału podpisywania, spotkań z czytelnikami, ba, nawet skromnej reklamy. Postanowił na razie nie mówić o niczym znajomym, nawet kumplom. Chciał, żeby o jego sukcesie dowiedzieli się z mediów. Śnił o łamach „Gazety Wyborczej”, liczył na „Rzeczpospolitą”, pisma kulturalne traktował jako pewnik. Sądził, że fakt wydania książki automatycznie czyni go poetą i wprowadza do środowiska literackiego. Myślał, że pozna innych poetów, i będą sobie dyskutować przy wódce o wierszach albo wienie, różnych rzeczach na „w”. Myślał, że pozna osobiście krytyków, którzy zechcą przychylnie go skrytykować. Jednak wydawnictwo Suchy Liść nie miało na targach swojego stoiska. Nie miało stolika ani krzeselka. Nie miało nawet długopisu. Premiera targowa oznaczała w tym wypadku średniej wielkości pudełko pełne cieniutkich książeczek, a nazwisko Mikołaja na okładce wydrukowano z nieistotnym przecież błędem. Na wręczeniu książek Mikołajowi ostatecznie zakończyła się cała ich dystrybucja. Nigdy nie dowiedział się, gdzie przepadła reszta z pięciuset zapowiadanych egzemplarzy. Proszę się nie martwić - mówili mu - przekazaliśmy je do hurtowni. Do

jakiej hurtowni - to wiedział tylko szef, ale on był jak zawsze akurat nieobecny.

Mikołaj nie był jednak zwykłym poetą i, nawet utraciwszy widoki na sprzedaż, parł w kierunku reklamy. Napisał kilkadziesiąt błyskotliwych listów do krytyków, których nie poznał osobiście. Wysłał swoje książki do wszystkich obecnych na rynku pism literackich. Normalnie pracował, nadal milczał, czekał na recenzje, dopuszczał nawet myśl, że mogą pojawić się sądy niezupełnie przychylnie. Powtarzał sobie, że zła prasa to także prasa. Po wielu upiornych miesiącach neurotycznego wertowania gazet i kwartalników do Mikołaja zadzwonił jakiś młody człowiek. Studiował bibliotekoznawstwo i był na praktyce. Natknął się na tomik Mikołaja przy porządkowaniu redakcyjnej pakamery. Zainteresowało go, że mają to samo nazwisko. Nie - powiedział Mikołaj - ja mam inne. Na okładce jest błąd.

- Dobra już - nabrałem powietrza - dobra, rozumiem, niech się dzieje, co chce, pójdę na ten slam i z otwartą przyłbicą zrobie z siebie idiotę.

- Publicznie! Zrobisz z siebie idiotę publicznie. To właśnie się liczy. Najgorzej zrobić z siebie idiotę przed sobą. Idiotów publicznych nazywa się gwiazdami.

- Jasne, a kiedy spadają, każdy wypowiada życzenie.

- Marek. Jeżeli zapracujesz sobie na ludzką zawiść, nigdy już nie będziesz musiał pracować.

Facet, który się zaczepił

Kiedy dotarłem do klubu o wdzięcznej nazwie Vagina, gdzie zgodnie z zapowiedziami w prasie miał odbyć się slam, wszyscy już tam byli. Prerażony ochroniarz informował właśnie o tym szefa. - Pod drzwiami jest jakieś trzy tysiące osób - powiedział. - Co mamy robić? Wszyscy się nie wcisną! Ruszyłem. Trzy tysiące łatwych i atrakcyjnych poetów ruszyło razem ze mną. Sforso-

waliśmy pierwszą salę, zdemolowaliśmy bar i krzyżąc: mamó, mamó - parliśmy do piwnicy, bo tam znajdowała się scena. Siedemnastolatka ogolona na zero jęczała monotonna: przepraszam, proszę mnie przepuścić, chciałam przeczytać wiersz - po czym nagłe znikła. Pomyślałem, że rozwścieczony tłum zwyczajnie ją zadeptał. Kiedy znalazłem się na schodach, mój kolczyk za-czepił o koronkowy splot aplikacji na bluzce potężnej blondyny. Miała długie proste włosy, które pachniały rozgrzanym plastikiem. Po krótkiej szamotaninie zrezygnowałem. Ból był zbyt wielki, rana w moim uchu jeszcze świeża. Przeklinałem Prosiaczka i jej pomysły. Przeklinałem blondynę, a ona, zdaje się, miała niezły ubaw. Przesuwałem się z głową na jej olbrzymiej piersi, wiedząc, że próba uwolnienia się grozi stratą ucha. A co ja, kurwa, Van Gogh jestem? Proszę mnie wypuścić! Nie chcę już recytować żadnych wierszy. Nie chcę o nich słyszeć. Chcę tylko zachować ucho. Tylko ucho! Blondyna patrzyła na mnie ze współczuciem, zmieszanym z ironią. Nie mogła mi pomóc, jej ręce zostały gdzieś z tyłu. Płynęliśmy na tej fali, ona ze mną przy piersi, ja z nią na głowie, aż w końcu wyrzuciło nas na brzeg. Nagle znaleźliśmy się na scenie. Kobieta z doczepionym mężczyzną. Kamery skierowały na nas drwiące spojrzenia. Usłyszeliśmy śmiech i dwuznaczne: uuuuuuu! Stałem na ugiętych nogach, z twarzą na niej, ze zmierzwionymi włosami. Spocony i zawstydzony, głęboko, między jej piersiami - niczego sobie w innej sytuacji. Ona natomiast podjęła jedyną dobrą w tym momencie decyzję, nabrała powietrza i silnym, wibrującym głosem powiedziała do mikrofonu:

*Obcyfacet przypiął mi się do biustu
Całkiem zbędny jakby wisior z odpustu
Tego biustu oni wciąż się czepiają
Ci faceci chyba matki nie mają*

A wtedy ja podjąłem i wyrapowałem:

*Tak wyraźnie słyszę jej serca bicie
Na tym biuście spędzić chcę całe życie*

*Kołysz kołysz mnie nieustannie
Noś mnie noś mnie w kuchni i w wannie*

Zapadła sekunda ciszy, po czym blondyna kontynuowała:

*Jak się teraz w mieście pokażę
Tak z facetem przy piersi w barze
A mój chłopak co on na to powie
Dwóch facetów głowa przy głowie*

Szło nam fantastycznie i publiczność tupała z uciechy. Nasze głupie miny były pewnie przekonującym dowodem, że utwór jest improwizacją.

*Nic strasznego się przecież nie stanie
Wszak dwie piersi posiadasz kochanie
Jedna starczy narzeczonemu
Więc nie żałuj drugiej obcemu
Choćbym chciał już się nie odczepię
Zaakceptuj to tak będzie lepiej*

- *Zaakceptuj tak będzie lepiej* - powtórzyła zauroczona młodzież na trzy cztery, a operator zrobił najazd na moją twarz i bufory.

No i dostaliśmy maksymalną ilość punktów, wygrywając wieczór. Ucho bolało mnie jak cholera, ale musiałem udzielić jeszcze wywiadów do prasy i telewizji. Goście z *Pegaza* - szepnęła rozpromieniona organizatorka - uważają, że to było zainscenizowane. Chcieli zaprosić was do programu.

- *Pegaz?* - zapytałem z niedowierzaniem. Tak od razu? Mi-kołaj miał stuprocentową rację. Nie ma to jak wyjść na idiotę publicznie.

- Hej - blondyna cmoknęła mnie w czubek głowy. - Mamy sukces, nie?

Nagle otoczyli nas ochroniarze i szczupły szatyn o niebieskich oczach, w czarnych spodniach i czarnej koszuli, podejrzanie długo majstrował przy moim kolecyku, równocześnie namawiając blondynę, żeby dała mu swój telefon. Nasz przypadkowy duet

okazał się sensacją wieczoru. Blondyna nazywała się Kaśka, była kimś tam w jakimś banku i pisała wiersze, w których było dużo liczb. Była też nieprzytomnie zakochana w chłopaku swojej młodszej siostry, który prowadził kursy prawa jazdy i nigdy w życiu nie przyszedłby na żadne spotkanie literackie, nawet takie jak slam. Może i dobrze. Poradziłem jej, żeby się odkochała. Teraz przecież otwierają się zupełnie nowe możliwości.

- Pani biust już stał się rzeczą kultową - powiedział pryszczaty chudzielec w punkowskiej kurtce. - Nie ma pani czasem jednego papierosa? Reprezentuję sieciowe pismo literackie „Ściema”. Chętnie opublikujemy pani zdjęcie w mokrym podkoszulku.

Wypiliśmy parę litrów piwa i odebraliśmy należne nam gratulacje od uczestników i organizatorów. Poważnie wyglądający mężczyzna w marynarce z brązowego sztruksu zapytał nas, czy przyjmiemy zaproszenie do domu kultury w Bochni. Powiedzieliśmy, że i owszem, ale musi ustalić to z naszym agentem. Dziewczyna ze sztucznymi dreadami zaproponowała, że wyrzeźbi nas w glinie. Mieliśmy swoje pięć minut. Mikołaj był niepokieszony, że nie zdążył na mój występ i musiałem mu opowiedzieć ze szczegółami, jak ten kolczyk i w ogóle.

- Tekst do niczego, ale kontekst robi swoje - skomentował, gdy odtworzyłem przebieg naszego występu. - Zresztą nie wiadomo, czy gdybyś wygłosił to, co tam sobie zamierzałeś, ruszyłoby to kogokolwiek.

- Obawiam się - zgodziłem się z nim - że niekoniecznie. Tu nie liczy się treść, tylko szybkość reakcji. Jak to w sporcie.

Prosiaczek i Aga przysiadły się do nas, już trochę nawalone, i orzekły, że jak dla nich, była to naprawdę wielka improwizacja, ale że bym wiedział, że wszystko zawdzięczam kolczykowi. Przynależem, że będę nosił kolczyk. Ten i może jeszcze inne. Gośka powiedziała mi na obolałe ucho, że blondyna jest super, ale co do włosów, że bym nie miał złudzeń - to peruka.

Następnego dnia nasze zdjęcie było w lokalnych gazetach, cytowano również nasz zaimprovizowany utwór. Nasze nazwiska pojawiły się w relacji z imprezy na stronach ogólnopolskich. W końcu było coś o mnie tam, gdzie co dzień było wszystko

o innych. Z kawką i papieroskiem siedziałem sobie przy telefonie. To był ten dzień. Marek Słaby rósł w siłę. Myślałem o kumplach z podstawówki i o dziewczynie, która nie chciała się ze mną umówić w drugiej licealnej. Myślałem o nauczycielce polskiego, która sugerowała mi, żebym rozważył szkołę gastronomiczną, ponieważ wszystko miesza mi się ze wszystkim. Myślałem o wrogach i przyjaciółach moich, których spotkałem w wymyślnym, jakimś wymyślnym życiu. I miałem nadzieję, że czytają gazety. Niemal słyszałem ich komentarze. Najpierw chwila zastanowienia... Marek Słaby... czy to ten Słaby? No proszę! Ja zapierdalam, a taki koleś robi karierę. Słaby? Literacka antyawangarda? Przecież on, zdaje się, robił szyldy? Wyobrażałem sobie też reakcje dawno niewidzianych krewnych i sąsiadów. Marek? W klubie Vagina? Ten to się wszędzie wciśnie! Czy ty, Tosiu, słyszałeś kiedy takie słowo? Slam? Jak to brzmi nieprzyzwoicie! Biedni ci jego rodzice nieszczęśliwi. Pojechał do tego Krakowa i patrzcie, w vaginie skończył! Jak byle kto!

Telefon w końcu zadzwonił. Nie był to kolega, ani producent. Nie był to redaktor „Przekroju” ani „Polityki”. Odebrałem i usłyszałem zatroskany, szemrzący głos mojej matki.

- Synku - powiedziała. - Widzieliśmy z tatusem twoje zdjęcie w gazecie. No cóż... w każdym razie cieszymy się, że w końcu masz jakąś dziewczynę. Tylko czy ona nie jest dla ciebie troszkę za wysoka?

Rodzice to potrafią zdołować człowieka. Prezydentem mógłbym zostać, a matka i tak pytałaby mnie wyłącznie o prezydentowa. Nobla jakbym dostał, też by mnie pewnie zapytała o panią Noblową! Bo rodzice niestety wiedzą, co jest w życiu ważne - stół, łożo i ubezpieczenie.

Kampania poniżej krytyki i baranie oczy

W firmie czekało wino i ciastka cebulowe. Bartek uprzejmie wyprosił namolnych gości z urzędu skarbowego, żeby dołączyć do imprezy. Widać, zaczynał się już przyzwyczajać.

- Pierwszy etap zakończony - ogłosił. - Oficjalnie wprowadziliśmy produkt na rynek. Przechodzimy obecnie do fazy drugiej.

- Czyli jakiej? - niegrzecznie przerwała Aga, ponieważ taki miała okres.

- Do drugiej - Bartek nie tracił zimnej krwi. - Teraz musimy zapewnić produktowi szeroką dystrybucję i zapewnić mu marketingowe wsparcie we wszystkich punktach sprzedaży. Gośka, lista!

Lista była wykazem wszystkich imprez o charakterze mniej lub bardziej kulturalnym, jakie zaplanowano w całym kraju do końca roku. W tym jeden slam - za to w Warszawie (za to tylko raz). Wyglądało na to, że w najbliższym czasie przyjdzie mi odwiedzić nie tylko dom kultury w Bochni, ale wszystkie domy kultury, które zachowały się jako pomniki dawnego ustroju. Na liście nie brakowało zresztą imprez organizowanych w klubach garnizonyowych, klubach osiedlowych, bibliotekach gminnych i domach straży pożarnej na wsi. Ojciec zawsze mi powtarzał, że powinieniem poznać swój kraj, zanim wybiorę się za granicę. Widać literacka antyawangarda opiera się na tej samej zasadzie. Zresztą duże imprezy w modnych lokalach wielkich miast to jakby obciach dla prawdziwego poety, zwłaszcza antyawangardowego.

- Pomyśleliśmy - powiedział Kiciu - że na tradycyjnych wieczorkach poetyckich możesz występować jako support. Mógłbyś też rozgrzewać publiczność przed koncertami niezależnych różnych grup. To znaczy, o ile się zgodzą. Ale w tym to już nasza głowa. Chodzi tylko o tę blondynę. Czy ona będzie występować z tobą?

- Nie będzie - powiedziałem, tłumiąc łzy. Bo co innego podróżować we dwoje, a co innego tułać się samotnie. - Nie będzie. Pracuje w banku. Nie zależy jej na innej karierze. Słuchajcie, te... Ujsoły... tam chyba nie jeżdżą nawet autobusy?

Kampanię BTL robi się wtedy, gdy nie ma kasy na ATL. Bo ATL to billboardy, gazety i telewizja, a BTL to strzechy. Ci zmarznięci ludzie, którzy przynoszą wam ulotki i znużona dziewczyna w czapce z daszkiem, namawiająca do skosztowania budynku. Below The Line, czyli poniżej krytyki.

BTL to ja, śpiący na stacji w Ujsołach, pod stertą zmiętych plakatów.

Bartek podrapał się po głowie i wbił wzrok w buty.

- Wiem, wiem, to nie wygląda zachwycająco, ale po pierwsze, wybraliśmy tu takie imprezy, co do których jest szansa, że organizatorzy sfinansują ci przejazd, po drugie, zgadza się to ze strategią opartą o działania w tych... no... punktach. Żeby do ludzi dotrzeć, widzisz, nie ma rady, trzeba się trochę po punktach, ten... powycierać. Taka, rozumiesz, kultura, objazdowa bardziej.

- Ale - oponowałem nieśmiało - gdyby tak, zamiast tej kultury objazdowej, program, może jakiś, powiedzmy... *Jazda Kulturalna*, co?

- Jednorazowa ekspozycja - machnął ręką Mikołaj. - Nie robi nic, sam wiesz. Zobaczą tylko ci, którzy sami czekają, żeby się tam znaleźć. Znaczy konkurencja - nie odbiorca. My ciebie zaadresowaliśmy, Marek, do szerokiego rynku. Nie martw się. Jakiś dasz sobie radę... w tych Ujsołach. W końcu umiesz improwizować, nie?

- Powiedzmy - myślałem ciężko - że się zgodzę. Co dalej? Jak już objadę te straże i biblioteki? Jaki jest etap trzeci, krótko mówiąc.

- Etap trzeci - powiedział Bartek - to już jest, bracie, szczyt! Najpierw, powiedzmy, *Rozmowy w toku*, potem, kto wie, kto wie, może *Idol*. A jak już wystąpisz w *Idolu*, to sam wiesz! Rozdmuchamy cię jak balon i wypłyniesz, wypłyniesz!

- N o ! - zakończył Mikołaj. - Tak chciałeś, nie? Teraz musisz jeszcze tylko przygotować sobie program.

- Łatwo ci mówić - warknąłem.

- No, stary, przecież tu nie chodzi o przedmiot, tylko o podmiot, nie? - zachichotał złośliwie. - Mniejsza, co prezentujesz, ważne, że prezentujesz to z uporem.

- Rapujesz! - przypomniała Prosiaczek. - Rapujesz, przede wszystkim.

Wyskoczyliśmy, żeby coś zjeść i ledwie złapałem widelec, Aga powiedziała:

- Baranie oczy!

- C o ? - wszyscy odłożyliśmy sztucce, wpatrując się w nią z oczekiwaniem.

- Czynn timer strachu! - dodała, konfundując nas jeszcze bardziej. |

- Czynn timer strachu?

- No. *Fear Factor* W amerykańskiej telewizji program taki jest. To u nas też będzie. Może już trwa casting.

- I ?

- I oni tam, no, w tym programie, zjadają baranie oczy. Zjadają też żywe robaki, zepsute rybne odpadki i genitalia.

- Rybne genitalia? - upewnił się Prosiaczek, przegryzając frytkę.

- Bydłęce. Genitalia bydłęce, a oczy baranie. I zakrwawione! Jedzą z głębokiego talerza. I zamykają się w kontenerach z piawkami. Albo po prostu skaczą w przepaść.

- Rozumiem - Kiciu z westchnieniem żalu odsunął pełny talerz. - *Agent* taki, coś w tym rodzaju?

- I co? - wkurzyłem się, bo też nie mogłem już jeść. - Niby ja miałbym te baranie oczy...?

- A czemu nie? - Aga wzruszyła ramionami. - Ja ciebie nie rozumiem.

- No, to jest możliwe.

- Domy kultury ci się nie podobają, to pomyślałam, że nowy reality show byłby w sam raz. Nie można przymykać oczu na oglądalność. Taki *Fear Factor* to jest program obrzydliwy, ale moralnie okay. Osobiście wolę baranie oczy niż *Kawalera do wzięcia*. Przy tym dopiero chce mi się rzygać.

- Fakt - potwierdził Prosiaczek.

- Fakt - kiwnął głową Kiciu.

- No. A baranie oczy to już niemal jest sztuka!

- Muszę już iść - odsunąłem krzesło. - Sprawdzę na mapie, gdzie dokładnie są te Ujsoły.

i

Pudło, pudło

Kiedy człowiek zżerany ambicją otrzyma w końcu swoją porcję sławy, może z przyjemnością oddać się zwykłemu ludzkim

czynnościom, jak czytanie gazet albo wyprowadzanie psa. Moja porcja była malutka, była to zaledwie przystawka, przystawka do przystawki. Uzyskałem jedynie kilkudniowe zainteresowanie, jakim obdarza się tych, którzy wykazali się nie talentem, nie umiejętnością, a co najwyżej odwagą albo bezczelnością. Gdyby nie fakt, że oczekiwano, że będę ciągnąć to dalej, miałbym całkiem dobrą zabawę. Poszedłem kupić coś do jedzenia i miałem wrażenie, że ludzie rozpoznają mnie na ulicy. Jeden albo dwóch. Szef klubu Vagina ufundował dla mnie i Kaśki specjalną nagrodę - do końca tygodnia mogliśmy pić u niego za darmo. Nie chciało mi się pić, a Kaśka nie miała czasu. Nie chciało mi się z Kaśką i jej ze mną na szczęście też nie. Chciało mi się spaceru z psem, co nazywał się tak, jak ja sam się czułem. Chciało mi się spaceru z Natalią i synem Natalii. Kupiłem butelkę wina, wziąłem Wraka i poszedłem tam bez uprzedzenia. Maciek rzucił się na psa, ale dla mnie miał tylko zdawkowe cześć.

- No cześć - powtórzyła Natalia podobnym tonem i niechętnie wpuściła nas do środka.

- Widzieliśmy twoje zdjęcie - powiedział Maciek od razu - z taką grubą babą. Moja mama mówi, że jesteś palantem.

- Maciek! - upomniała go dla zasady.

- Palantem? - zapytałem pro forma.

- Przynajmniej - wzruszyła ramionami - mamy to już za sobą. Wolę od razu wiedzieć, że jesteś palantem, niż odkryć to po paru miesiącach.

- Natalia, może i wyszedłem na głupka, ale jeżeli chodzi o tę babkę, to naprawdę nie chodzi o nic. Po prostu robiliśmy sobie jaja. Zaczepiłem się o nią kolczykiem i tłum wepchnął nas na scenę. Szkoda, że nie mogłaś tego zobaczyć, wiesz, zaczęliśmy improwować, ja z tym kolczykiem, i ona... i ja...

- Jasssne - niechętnym gestem podała mi korkociąg. - Co dalej? Będziesz jeździł po Polsce uczepiony jej cycka?

- Ja...

- Taką wymyśliłeś sobie sztukę? Na cudzej piersi? Jako wieczny chłopiec!?

Niby co miałem jej odpowiedzieć?

- Mówiłem ci - wtrącił się Maciek, paskudny bachor - mówiłem, że on nie nadaje się na ojca.

Natalia - Zapłonęła. Nagle i mnie zrobiło się gorąco. Widziałem ją trzeci raz w życiu, no dobrze, raz z nią spałem, owszem przygarnąłem psa, żeby wzbudzić sympatię jej dzieciaka, ale żeby tak od razu rozważać mnie jako kandydata? Na ojca?

- Teraz - powiedziała cicho i poważnie - lepiej już idź. - Fajnie, że wygrałeś ten konkurs, ten... slam, tak? Fajnie, że wygrałeś, ale raczej nie mamy powodu, żeby świętować to wspólnie, prawda? Ani cokolwiek innego.

Stałem jak słup, a Wrak leżał na podłodze i machał ogonem, całkiem nieadekwatnie. Przykucnęła, żeby go pogłaskać. Polizał ją po twarzy i zazdrościłem mu, że jako pies, może zrobić to tak po prostu.

- Cześć Wrak - powiedziała mu do ucha. - Pilnuj tego palanta. Pamiętaj, żeby kupować mu żarcie.

Mogłem zostać. Mogłem coś powiedzieć, nawet zaimprovizować. Mogłem otworzyć wino albo upuścić kieliszek. Było parę możliwości... Jednak nie zrobiłem nic. Wyszedłem. Tak zwyczajnie. Wziąłem psa i wyszedłem z jej życia, jak prosiła. Ponieważ naprawdę nie nadawałem się na ojca. Ponieważ nie to miałem w głowie. Ponieważ w gruncie rzeczy nie miałem tam nic. Byłem jak puste pudełko, jak paczka, do której ktoś zapomniał włożyć prezent.

Wyobraziłem sobie moją przyszłość, przyszłość paczki przesyłanej z miasta do miasta, w poszukiwaniu adresata, którego mogłaby sobą rozczarować.

Nazajutrz ostatkiem sił dostarczyłem się do firmy.

- No, jak tam? - zapytał Bartek, klepiąc mnie po plecach - jak tam? Widzę, że działacie coś. Widzę coś, coś słyszę. Najważniejsze, żeby nie popuścić. Atakować, atakować! Ze wszystkich stron - wykrzyknął i polecił odebrać telefon od kogoś, kto pewnie wyznawał tę samą zasadę.

- Cześć Marek - krzyknęła Aga. - Biblioteka w Suwałkach! Pojutrze!

Dają jakieś świadectwa, czasów, czy coś. Konkurs taki.

- Hej slamerze - przywitał mnie Prosiaczek. - Nie opieprzam się. Naraiłam ci laskę z radia. Może zrobisz z nią jakiś program dla wariatów. Jej się podoba, że umiesz improwizować. Niekoniecznie musi być do rymu. Zresztą sama ci powie.

- Prosiaczku - jęknąłem - nie chcę do Suwałk, nie mogę prowadzić żadnego programu. Wiem, że starasz się kuć to żelazo, ale ja właśnie zdałem sobie sprawę, że nie mam nic do powiedzenia.

- To znaczy - zmarszczyła się i wbiła we mnie czujny wzrok - tej lasce, czy tak w ogóle, światu?

- Tak w ogóle.

- Hm, to źle.

- No źle! - usiedliśmy i zapaliliśmy sobie w milczeniu. - Widzisz - ciągnąłem - można robić wszystko, nawet leżeć na tacie, można opakowywać budynki, dziurawić parasole, filmować sobie stopy, rozkładać plastry szynki na podłodze - jeżeli się wierzy, że jest w tym jakiś komunikat. Ja nie mam dla świata żadnego komunikatu. Tylko na świat się gapię, tym okiem baraním, z głębokiego talerza. Do dupy ze mnie produkt jest. Ja jestem pudełko puste. Sama tacka. Woreczek pakowany próżniowo, próżnią wypełniony. Jestem pusta puszcza. Butelka pusta jestem. Jestem pusty słoik. Mnie się nie da sprzedać.

- Słoik - powtórzyła - to istotnie mało frapujący przedmiot. Ale treść mogłaby zmienić jego status diametralnie, no, choćby jakiś mózg.

- Mądrze, mądrze ty, Prosiaczku, gadasz. Ale żadnej treści nie ma.

- Nie ma?

- Nie ma.

- Nie ma? To po jaką cholere kręcisz mi tu dupę?!

- Przepraszam - powiedziałem smutno - lecz jestem palantem. Każda treść się ode mnie odbija. Taką grę toczę ze sobą i z wami. W palanta gram oraz w organ was robię.

Na to Prosiaczek przyładował mi w żołądek, odchrząknął i poklepał po plecach.

- Jakbyś taki był głupi, tobyś tak szybko nie zmądrzał.

Bankrut i plotka

A potem poszedłem do Bartka i powiedziałem mu to samo. Nie chcę, żeby robili mi tę kampanię (te kampanie - bez „ę” czy „ą”) reklamową, na nic cały marketing, zmarnowany ich czas i toner z drukarki. Nie chcę na zadaniach i nie chcę w metropoliach, nie chcę bezpośrednio i nie chcę medialnie. I public relations też mnie nie interesuje, skoro relacje prywatne legły były w gruzach. Nic nie mam do powiedzenia i nie ma powodu, żeby inni innym coś o mnie mieli opowiadać. Jako produkt z rynku wycofuję się sam, na własne życzenie, gdyż prawda jest taka, że żadnej potrzeby nie zaspokajam. Względem rynku nie i względem kobiet też nie. I roszczeń mojego banku też zaspokoić nie mogę. Gardzą mną nawet dzieci. Nachodzi równocześnie chandra i komornik. I w pierwszym akcie rozpaczy kończy się cała moja sztuka.

Mój szef odchylił się na fotelu, zamknął oczy i trawił. Nie-swojo czując się w tej ciszy i całej sytuacji, kontemplowałem wewnątrz gabinetu. Nasze najlepsze produkcje, żółknące z wolna na ścianach, sterty branżowej prasy, której nikomu nie chciało już się czytać, segregatory, zaciskające swe metalowe zęby na papierowych zwłokach naszych dawnych ofiar. Wpatrywałem się w rozsypane wizytówki (do których nikt nie umiałby przyporządkować żadnych twarzy), nieopisane dyskiety, bruliony pomysłów bez zastosowania, od dawna nieczyszczony dywan. Ze swoim nieukierunkowanym pragnieniem, ze swoim poczuciem ogólnego zniechęcenia, z całą moją bylejakością pasowałem tu jak ulał. Miałem swoje biurko i swój kubek. Mogłem zagadać do dziewczyn i poprawić im humor. Mogłem zagadać do Mikołaja i podkurwić go dla ożywienia umysłu. Mogłem przekonać Bartka, że jestem brakującym trybikiem w tej jego maszynie, co kiedyś działała, póki się nie zacięła. Mogłem w końcu wykorzystać swoją zdolność improwizacji i zaproponować mu całkiem nowy, rokujący, błyskotliwy projekt, i pochylilibyśmy się nad nim wspólnie, jak to

kiedyś bywało, dzieląc wiarę i zaangażowanie, i skórę na niedźwiedziu.

- Wiesz Bartek - mój głos zabrzmiał mocno i zdecydowanie - może sformułuję to inaczej. Bo co do tej sławy, to, jak się przekonałem, nic trudnego. Jak człowiek się uprze, to zawsze gdzieś tam się zaczepi. Jeśli odczuję znów taką potrzebę, to przejdę się po rynku w cudzym biustonoszu, przybiję do jakiegoś krzyża jakieś genitalia, albo po prostu zadzwonię do „Życia na Gorąco” i powiem, że nagrany poseł prawicy molestował mnie w limuzynie. Tymczasem jednak chciałbym jeszcze tu popracować. Właściwie to chciałbym tu coś zrobić. W końcu reklama też ma szansę, żeby trafić do muzeum. Może również przynieść trochę kasy - za życia.

Tak właśnie mu powiedziałem i przyjazna kraina zwykłego życia rozścieliła się u mych stóp w całej swej krasie i kasie ponad średnią krajową.

Mijały tygodnie, a my trwaliśmy na naszych marnych stanowiskach. Dzwoniliśmy i jeździliśmy. Pisaliśmy i projektowaliśmy. Wegetowaliśmy w naszej reklamarskiej rutynie i kwitliśmy bez sensu po godzinach. Czasem wychodziłem do miasta i rozpuszczałem fałszywe pogłoski, że urząd skarbowy ogłosił upadłość, że recesja się kończy. Plotka przecież żyje swym własnym życiem. Plotka ma moc kształtowania rzeczywistości. Opowiadałem więc po pijaku o nowych szansach, bo postanowiłem słowem szansa zastępować odtąd smutne słowo nadzieja. Bo szansa to szansa, a nadzieje, jak wiadomo, są płonne. Właścicielom barów mówiłem, że nadchodzi era rozpasanego pijaństwa. Bezrobotnych przekonywałem, że tworzy się nowy rynek pracy. Rozpuszczałem pogłoski o nowych inwestycjach i prężnych korporacjach pchających się w nasze wąskie i zaśniedziałe centra. Ludzie po prostu uwielbiali przebywać w moim towarzystwie. Z szacunkiem traktowali mnie barmani. Wiedziałem, że po jakimś czasie te plotki, jak bumerang, powrócą do naszej firmy i uderzą w naszego szefa. Naprawdę potrzebne mu było mocne uderzenie. Czy nie miałem wyrzu-

tów sumienia? Jasne, że nie. Piłem tylko piwo i śpiewałem, pijąc, na całe gardło, że jeszcze Polska nie zginęła i że my żyjemy. Czekałem, aż moje pijackie gadanie zacznie przenikać do mediów.

Bartek uważnie śledził telewizyjną aferę korupcyjną i jakby zaczynał się trochę przełamywać w kwestii przedsiębiorczości. Wzmacniałem go w tym, mówiąc, że kiedy gospodarka tonie, łapówka jest działaniem oczywistym - jak podanie ręki tonącemu. W końcu umówił się prywatnie z Czekoladowa Suka. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że tak to się skończy. Zapomniałem, że Bartek jest rozwiedziony i może polecieć na kobietę, która zaoferuje mu trochę słodyczy.

Kiedy następnego ranka oznajmił nam, że nie zdobył się na złożenie jej propozycji - mieliśmy takie miny, że pękł i powiedział:

- Spoko chłopaki, dałem z siebie więcej. Czekoladowa Lady jest prawdziwa damą i zamierzam wkrótce poprosić ją o łapkę, znaczy rękę. Może... jak myślicie, na jutrzejszej randce?

- Rękę!?! - zapytaliśmy ze zgrozą. - Tę rękę!?

Przymierzając się do kampanii preparatu witaminowego dla ludzi w sile wieku, odzyskałem dawny wigor i fakt, że moje pomysły przyjmowane są z aplauzem, stymulował mnie do tego, żeby mieć ich więcej i więcej. Kiedy zapomniałem już w ferworze pracy o całej tej sprawie z kolczykiem - zadzwonili z Poznania. Jako zwyczajcy imprezy krakowskiej dostaliśmy z Kaśką zaproszenie na konkurs Slam Poetry w ratuszu. Lokalne pismo kulturalne o dużym zasięgu prosiło nas o wywiad.

- A niech mnie - powiedziała. - Pewnie, że pojedziemy. W Poznaniu mogę wygłupiać się spokojnie. Tak przy okazji, Marek, ty pracujesz, zdaje się, w jakiejś agencji? Organizujemy taki przetarg... Mamy nowe produkty, wiesz, taki specjalny kredyt dla singli, na ekstrawydanki. Jak chcesz, to mogę podeśłać ci materiały, może mielibyście ochotę wystartować. Razem fajnie by nam się pracowało.

- Jasne - powiedziałem, udając pełny luz. - Możesz przysłać. A właściwie, to co ty robisz w tym banku?

- No - westchnęła - zarządzam nim, tak przynajmniej mi się wydaje.

- O żesz w mordę - powiedziałem, przestając udawać luz. - To przyślij te materiały. Znaczący, proszę. Wiem wszystko o potrzebach singli, całe życie marzyłem, żeby reklamować kredyt dla singli. Jestem singlem i pewnie singlem już zostanę. I ciągle mam jakieś ekstrawydanki. Zrobię ci taką reklamę, że wasz bank będzie musiał zatrudnić armię ochroniarzy i odciąć telefony.

- Właśnie - powiedziała - tak sobie pomyślałam. I przy okazji, Marek, budżet jest powalający.

- Czyli - przełknąłem ślinę - jak się nie uda - to leżę.

- Wiesz co, pogadamy w Poznaniu, nic nie mogę obiecać, ale coś ci zasugeruję. Robimy ten numer z kolczykiem, czy coś nowego?

- Nowego!

- Serio?

- Nie, nie, nic na serio - zastrzegłem. - Konwencję trzeba utrzymać. Teraz przypnę ci się do portfela.

- A wiesz - dodała na koniec - ludzie mówią, że recesja się kończy.

- Taaak - odparłem z powagą - dla banków zwłaszcza nadchodzi wiek złoty. I singli też przybywa, w zastraszającym tempie.

Fantazje seksualne albo samotność od kuchni

Niby jakie pragnienia samotnego faceta można sfinansować z kredytu? Podróż tropem Stasia i Nel? Kopia pianina z *Casablanca*? Własny, duży koń? Skrzynka szkockiej? Leżałem i wymyślałem czadowe ekstrawydanki i robiło mi się coraz smutniej. Bo jakże tak, śladami Stasia, kiedy nie ma Nel? I nie ma dla kogo zagrać na pianinie? Kiedy na koń nie ma z kim poje-

chać, jedynie szkocka w samotności może mieć jakiś sens. Pomyslałem, że ekstrawydutki singli, jak dobre ciuchy i grający sprzęt, samochód z klimą i alufelgami albo mieszkanie nowocześnie wyposażone - służą tylko jednemu celowi. Miłości. Zdobyciu tej miłości, co to nie można jej kupić. Ile to trzeba kasy, żeby dostać to, czego za kasę i tak się nie dostanie.

Im więcej myślałem o prawdziwej miłości, tym większe robiło się moje łóżko i tym bardziej nie mogłem znaleźć sobie w nim miejsca. Pragnąłem Natalii w ogromnym łóżku jak wody na pustyni. Śniłem o niej i wkrótce już regularnie sypiałem z wysnioną. Pojęcia nie miała, jaka jest mi bliska. I jak dobrze nam się układa. Pod wpływem regularnego seksu wyregulowała mi się psychika. Cały organizm zaczął chodzić jak w zegarku, a nawet do pracy. Wstawałem wcześniej i wcześniej się kładłem, nie zapominając o umyciu zębów. Mniej piłem, mniej pożyczalem, ograniczyłem palenie. Ustatkowałem się, jak to facet w trwałym związku. Próbowałem nawet gotować.

Przepis na spaghetti i w ogóle - życie

Kupić makaron na spaghetti al pomodoro (jakoś tak)
 Wpierdzielić do garnka z wrzątkiem (bez opakowania)
 Chlusnąć trochę oliwy, dodać soli
 Otworzyć puszkę pomidorów w puszcze (bez skórek)
 Subtelnie na patelnię i grzać
 Dopierdzielić sera Lazur (niebieski)
 Mieszać i grzać (z każdą sekundą coraz bardziej przechodząc na buddyzm)
 Określić stopień miękkości makaronu (ani twardy, ani sflaczały, jak samotny facet po trzydziestce)
 Wpierdzielić makaron na durszlak
 Poczuć palący ból istnienia i szybko cofnąć rękę
 Wpierdzielić do miski
 Wymieszać z pomidorami i rozpuszczonym serem Lazur
 Dopieprzyć sobie samemu
 Wpierdzielić pół miski z winem Sofia (całym)

Poczuć, jak wypełnia cię spokój i życiowa mądrość
Zajarać melacholijnie, przymknąć oczy na to i owo
Wszystko sobie wybaczyć i przejść na kanapę
Beznamiętnie pooglądać coś, w czym występują ludzie

Czasami pomidory zastępowałem mrożonym szpinakiem. Prawie wszystko tak samo, tylko do szpinaku trzeba dodać soli i rozgniecionego czosnku. Bo życie wcale nie jest takie skomplikowane. Przyzwoite żarcie można zrobić w czasie nie dłuższym niż wypalenie dwóch fajek, a satysfakcja seksualna jest w zasięgu ręki. A kiedy jeszcze masz psa, ktoś zawsze czeka na ciebie w domu. A kiedy masz pralkę, masz wyprane rzeczy. Wystarczy wpierdzielić, żeby potem wyjąć. Samotne życie jest proste i banalne jak wbijanie gwoźdźcia. Tylko samotność jest w tym wszystkim trudna. I połowa spaghetti zawsze się marnuje.

Poszedłem do Natalii z kwiatami, jak kretyn, i zaprosiłem na kolację - Maćka, który otworzył drzwi pod jej nieobecność.

- Jesteś skończony - pocieszył mnie na starcie. - Ale chętnie przyjdę zobaczyć Wraka, jeśli jeszcze nie zdechł.

- Jasne, że nie zdechł - obraziłem się. - Kupuję mu cielęce kości, biegam z nim po parku, po co miałby zdychać?

- Mama mówi - postanowił dogiąć - że ty sam nadajesz się do schroniska.

- Słuchaj - na środku ulicy zalała mnie krew - słuchaj gówniarzu! Zaraz ugotuję ci wiadro takiego makaronu, jakiego w życiu nie jadłeś. Zadzwonisz do swojej cholernej matki i powiesz, żeby po ciebie przysłała. Zastanie cię uśmiechniętego i wpierdzielającego moje nieprawdopodobne żarcie. Będę miał ścierę zawiązaną w pasie, jak jakiś fartuszek. Będę wyglądał jak marzenie każdej samotnej matki. Tak! Ponieważ niezależnie od tego, co ty o tym sądzisz, nadaję się na ojca! A kiedy już się nappchasz, pójdziesz do komputera pooglądać sobie gołe baby i zostawisz mnie z nią sam na sam! Zrozumiano?

- W porzo - kiwnął głową. - Spoko. Znaczy w porzo. Znaczy zawsze chciałem takiego ojca, żeby pokazywał mi gołe baby. A czy będę mógł coś sobie wydruknąć? Bo zabrałbym wiesz... do szkoły.

- Możesz - burknąłem - druknąć, ale lepiej nie pokazuj tego nauczycielom.

- No co ty? Idiota jesteś? - zapytał miło, z dziecięcym uśmiechem na piegowatej twarzy. - Kumplom tylko. Na wymianę.

- Jasne - zgodziłem się. - Niech wiedzą dupki, kto jest gościem!

- Właśnie - na pasach chwycił mnie za rękę, tak jakby robił to całe życie. - Niech wiedzą! Dupki!

Szedłem powoli, nagle wzruszony i zaniepokojony. Był tylko małym chłopcem, który wciąż ma ten odruch - łapie cię za rękę, przechodząc przez ulicę. Chłopcem, którego trzeba przeprowadzić, bezpiecznie, na drugą stronę i może, z czasem, pokochać.

- Mama - powiedziałem, gdy byliśmy już w domu i w asyście Wraka grzebałem w lodówce, poszukując sera - ona będzie się martwić, jeśli wróci do domu i cię tam nie będzie. Musimy zadzwonić do niej natychmiast.

- Mama się wścieknie - wyjaśnił mi - że nie zadzwoniliśmy do niej, zanim do ciebie poszedłem. Mama uzna, że zostałem porwany i wezwie policję. Skują cię i ty uciekniesz i będziesz ścigany - nawijał z sekundy na sekundę coraz bardziej zachwycony tą wizją. A mnie rzedła mina.

- Może lepiej wyślemy jej SMS - A - zaproponowałem głupio.

Była to spóźniona propozycja. Maćkowi dzwoniła komórka i nie miałem wątpliwości, kto dzwoni.

- Cześć mamó - powiedział tylko i oddał mi telefon.

- Cześć mamó - powtórzyłem z wrażenia i głos uwiązł mi w gardle. - Nie wzywaj policji. Ja tylko... gotuję obiad, kolację, makaron... Ponieważ chciałem ci udowodnić, że nadaję się... na kucharza. Jeżeli nie będzie ci smakowało, to po prostu za mnie nie wyjdiesz. W porzo? To znaczy... spoko? Nie wezwiesz glin?

- Mam cię za palanta - powiedziała spokojnie - nie pedofila. Będę za pół godziny. Przyniosę jakieś wino.

- Natalia...

- T a k ?

- Jeżeli nie będzie ci smakowało... możemy zamówić pizzę.
- Postaraj się - powiedziała. - Lepiej się postaraj.

Wiem, co czuje człowiek, który zrobił coś naprawdę dobrego. Dzieliłem moje spaghetti i dzieliłem pomidorowo- Lazurowe szczęście. Siedzieliśmy w trójkę przy nakrytym stole, a miniaturowe listki bazylii wróżyły nam przyszłość. Pies położył się u jej stóp i żałowałem, że zajął mi miejsce. Wino było jak kobieta. Kobieta była półsłodka, półwytrawna i przyprawiała mnie o zawrót głowy.

- To dzięki - powiedziała niespodziewanie. - Za kolację i, no, miły wieczór. Teraz musimy już iść.

- Ale jak? Dlaczego? Nie ma jeszcze siódmej! Nie ma jeszcze wieczoru!

- Musimy iść - powtórzyła, zaciskając usta.

- Ja nieee chcee - zawył Maciek, kochane dziecko. - Nieee chcee...

Gówniarz rozdarł się jak lew w kółku, przed starymi filmami. Walczył po mojej stronie. Pomyślałem, że dobry z niego kumpel. Miałem ochotę drzeć się razem z nim. Widziałem, że Natalia jest gotowa ustąpić, niemal już ustąpiła... Odłożyła torebkę i przyglądała się nam rozbawiona.

- Nie chcee - wył dalej Maciek - on miał mi pokazać gołe babyyyy. W interneeecie. Miałem oglądać gołe babyyyy. A wy mieliście się bzyyykać...

Zerwała się, strącając kieliszek. Spadł na podłogę i nie rozbił się. Schyliłem się, żeby go podnieść - kieliszek, jedyną rzecz, jaką można było jeszcze uratować.

- Ty! - krzyknęła. - Ty! - nie chciała wymówić słów, jakimi mogłaby mnie nazwać.

- Gołeee babyyy - marudził Maciek, cholerny mały tuman.

- To był żart - wrzeszczałem na całą klatkę, gdy schodziła, wlokąc go za sobą. - Te baby! I nie powiedziałem ani słowa o bzykaniu! Ani słowa! Twój syn to cholerny mały telepata! Nie powiedziałem nic o bzykaniu!

Naprawdę.

Nie!

Nic!

Nie POWIEDZIAŁEM nic o bzykaniu.

Pociąg do budżetu

Impreza w ratuszu kreowana była na spore wydarzenie. Siedzieliśmy z Kaśką w dworcowej restauracji, jak przystoi potem nad ranem. Czułem się winny, że namówiłem ją na jazdę pociągiem. Miała rozmazane oko i oboje czuliśmy się fatalnie. Rosła w nas pewność, że tym razem nie pójdzie tak gładko. Mieliśmy cały dzień na przygotowanie numeru i żadnej motywacji, żeby go wykonać. Przy innych stolikach siedzieli goście w przepoconych swetrach, którzy mogli być naszą konkurencją. Chciało mi się spać i nie miałem siły palić. Obawiałem się również, że tracę budżet. Kaśka nie była przecież babką z mojej kasty. Była potencjalną klientką, była dojną krową i jako dojną krowę miałem obowiązek ją czcić, a nie wlec po grząskich pastwiskach. Z potencjalnymi klientkami nie wysiaduje się po dworcach. Zabiera się je do drogich knajp w centrum i ponosi ekstrawydutki. Z potencjalnymi klientkami nie układa się wierszy. Mimo wszystko zasygnalizowałem jej taki numer:

- Ja na przykład powiem: *Całuję twoją dłoń, madame
śniąc, że jest kasa tam, madame*

- A ja powiem - ożywiła się - *Banknotów widząc plik
odczuwasz serca pik...*

I wtedy oboje odczuliśmy pik, widząc jak jeden z domniemanych poetów wybiega z torebką Kaśki pod pachą, jakby był zwykłym dworcowym złodziejem. Zajął nam kilka sekund, żeby zrozumieć, że w istocie nim jest. Nie dopijając kawy, ruszyłem więc w pogoń.

Biegłem przez perony, jak w jakimś sensacyjnym filmie. Przeskakiwałem bezdomnych, wymijałem objuczonych bagażami. Płuca wyrzuciły mi się na drugą stronę i dorwałem drania

za budką z pączkami. Miał tłuste włosy i pryszczatą gębę. Miał ze czternaście lat. Miał zwichniętą kostkę.

- Gnoju! - wydyszał - rzucając mi torebkę. - Musiałeś mnie gonić? I co? Będziesz się teraz tłumaczył przed moim starym?

- Co? - zgłupiałem na momencik.

Bezdomny, którego przed chwilą potrafiłem, zbliżał się z głośnym rechotem. Pryszczaty złodziej najspokojniej w świecie rozmasowywał sobie kostkę. Stojący dwa metry od nas konduktor obojętnie wpatrywał się w swój gwizdek.

- Panie! - poczułem odór brudu i taniego wińska. - Pan lepiej zmykaj. To syn naczelnika policji. Dorabia se chłopak, bo policja, panie, bidna jest. W zeszłym tygodniu aresztowali jednego takiego, jak pan... Z nimi lepiej nie zaczynać.

Syn naczelnika splunął ostentacyjnie i oddalił się z godnością.

- Ja , panie - ciągnął włóczęga - nauczycielem byłem, od wufu. A co? Nie pomyślałby pan, nie? Kiedyś wlepiłem takiemu pałę, a on panie, był synem samego prezydenta miasta. I patrz pan, gdzie wylądowałem. Może by pan wsparł nauczyciela, złotoweczka, z reszką i orzełkiem?

Wsparłem go i wróciłem do restauracji. Oddałem Kaśce nie-naruszoną torebkę. Przyjąłem podziękowania. Jak otworzyła tę swoją torebkę, zrozumiałem, że ma mi za co dziękować. Syn naczelnika použíwałby sobie przez jakiś czas. Dzień jeszcze nie wstał na dobre, a ja zdążyłem już na wdzięczność ludzką zasłużyć i przetarg na kampanię miałem wygrany jak w banku!

- Marek - powiedziała - to było mocne!

Zjedliśmy śniadanie i zjedliśmy lunch, gadając trochę o książkach, a trochę o tym, jak to fajnie mieć karty kredytowe. Albo chociaż kumplować się z kimś, kto je ma. Gdybym nie miał serca jak złamas, złamanego, mógłbym całkiem spokojnie zakochać się w Kaśce. Chociaż może wtedy utraciłbym wiarygodność jako singiel.

Koło dwunastej zgłosiliśmy się u organizatora imprezy, co siedział w pokoju 205, skacowany trochę i raczej niechętny. Już na wejściu pojawił się problem. Okazało się, że scena słamowa w Polsce rozwija się w imponującym tempie. Okazało się, że istnieje nawet regulamin i stworzono go po to, by obowiązy-

wał. Nie znoszę regulaminów. Pojąłem, że scena slamowa, zanim ukonstytuowała się na dobre, już zaczęła kostnieć. Tak bywa, gdy antyawangarda przenosi się do ratusza.

- A, nie - organizator wstrzelił mi się w tok. - Miało być w ratuszu, ale nie dostaliśmy sali. Młodzieżowe Koło Narodowych Satanistów miało rezerwację już wcześniej. Impreza odbędzie się w klubie Dzika Owca. Ale regulamin taki sam!

- Nie podoba mi się to - pokręciła głową Kaśka, gdy wyszliśmy na korytarz, żeby zapalić. - Jesteśmy teamem. Nie wiedziałam, że trzeba wystąpić w pojedynkę. W pojedynkę nie chce mi się przed gówniarzami wygłupiać.

- Rozumiem - powiedziałem, bo rozumiałem ją doskonale. - Kompromitacja we dwoje to co innego niż kompromitacja osobista.

- No - poczęstowała mnie swoim papierosem light - to może damy sobie spokój?

- Ale... mieliśmy spotkać się z tymi ludźmi, z tego jakiegoś pisma...?

- Dobra, spokojnie. Spotkamy się. Wywiadów to my możemy udzielać, wiesz, nie otwierając ust!

- No, do telewizji to owszem, ale tym razem, to jest pismo jakieś.

Redakcja „Pisma Jakiegoś” mieściła się w jednym pokoju. Był tam jeden komputer, jedno okno i nawet jedna umywalka, gdzie umywali ręce lokalni krytycy literaccy. Redaktor miał odrosty i nerwowo podciągał sobie spodnie na kolanach. Zanim zaczął robić w kulturze, musiał chyba nosić garnitur.

- Kawy? - zapytał. - Bo nie mamy herbaty. Usiądźcie gdzieś - wskazał nam zdezelowaną kanapę, na której leżała sterta wyczerpanych książek. - Musimy poczekać na redaktora Nieobecnego. Powinien być - dodał. Być może trochę sobie żartował.

- Zaczekamy - zgodziliśmy się.

- A państwo to przepraszam te... gwiazdy Slam Poetry... zdaje się?

- Owszem - kiwnąłem głową - tyle że akurat spadamy. Nie weźmiemy udziału w dzisiejszym wieczorze. Uważamy, że an-

tywanguardia skostniała - walnąłem w stół i czekałem, żeby odezwały się nożyce.

- Taaa - odpowiedział. - Taaa. My z redaktorem Nieobecnym też jesteśmy sceptyczni. - Mamy na przykład wątpliwości, czy następny numer naszego pisma w ogóle ma jakiś sens.

- Taaa - powiedziałem. - Taaa.

- A co tam w Krakowie? - ożywił się. - Wasz topowy poeta jeszcze pije? Znaczący... pisze?

- Pije - odparłem. - Ale nie spada już z krzeseł. Przesiadł się na kanapę.

- Taaa - powiedział. - Dobrze... A topowy prozaik wasz... wydaje coś?

- J a s n e - uspokoiłem go. - Wydaje cały czas. Co tylko pożycz, to od razu wyda.

- Taaa - skomentował błyskotliwie. - Dobrze... A pisma wasze młodoliterackie, co?

- Starzeją się - powiedziałem, symulując smutek.

- Ale wychodzą? Nie? Wychodzą?

- Wychodzą - mruknąłem - z siebie.

- No proszę! - pokręcił głową. - Same z siebie... Jednak co Kraków, to Kraków!

Pożegnaliśmy redaktora i dopiero za drzwiami zorientowałem się, że przecież tego wywiadu nie udzieliliśmy wcale. Chciałem wrócić, ale potem pomyślałem sobie, że nie wypada. Bo może pismo na papierze oszczędza i kropla prawdy musi mu wystarczyć za cały wywiad- Rzekę.

W bramie puściłem Kaśkę przodem, co wywołało poruszenie wśród członków młodzieżowego gangu Jarających Pod Murem. Chciałem wyminąć ich elegancko, bez nawiązywania kontaktu wzrokowego, co podobno jest zasadą umożliwiającą przeżycie w nowojorskim metrze. Zasada ta nie sprawdza się w Poznaniu.

- Co tak łeb spuszczasz? - zagadnął mnie młody człowiek z agrałką w wardze.

- Chylę czoło - odparłem jego słowny atak - przed siłą upalonej młodości. Usuwać się w cień i powoli odchodzę.

- Poeta? - ożywił się jego zakapturzony kumpel.

- Tak - powiedziałem. - Rzeczywiście składam rymy i jestem bez kasy.

- My też poeci - wskazał na kolegów. - Na slam żeśmy przyjechali. Bo alfonsi z Outkastu zabijają h i p - hop.

- Wiem, wiem. Garnitury zamiast dresów, biała publiczność na koncertach i ślady kobiecych paznokci w miejsce blizn po kulach - zacytowałem headline z „Przekroju”, bardzo z siebie dumny.

- Właśnie - potwierdził ten z agrałką - a w metalu rozpanoszyły się dziady!

- Czyli na slam... - odetchnąłem - dobrze... Bo już myślałem, że będę musiał oddać wam zegarek.

- Mamy swoje - powiedzieli chórem - musimy liczyć minuty. Każdy występ ma trwać trzy minuty.

- Tak - potwierdziłem - wiem. Ortodoksyjni ci organizatorzy są okrutnie. My na przykład - wskazałem na Kaśkę, która stała z boku i z przejściem nawijała przez komórkę - chciałyśmy wystąpić we dwójkę.

- I nie można?

- Nie można. Widać, wolna trybuna poetycka wcale taka wolna nie jest.

- Ja myślę - powiedział chudy z bródką - że cały ten slam - to nie jest żaden off, tylko przyczółek mainstreamu. Podstępem chcą zwabić nas do oficjalnego obiegu. Człowiek nawet się nie obejrzy, a tu już jego tomiki w supermarkecie i rymy drukarską farbą cuchną.

- Głęboka myśl - przyznałem, bo naprawdę wywarł na mnie wrażenie. - Aż się prosi o rewoltę jakąś. Tyle, że ja raczej pojedę już do domu.

- Jasne. Na rewoltę trochę już za stary jesteś.

- Właśnie - zgodziłem się. - Za stary. To do widzenia panom.

Kiedy Kaśka w końcu przestała rozmawiać, okazało się, że na najbliższy pociąg już nie zdążymy.

- To może jednak wpadniemy na ten slam? - przełamałem się. - Nie będą mi tu gówniarze, intersubkulturalni, rękawicy rzucać i wieku wypominać.

- No - zastanowiła się - możemy wpaść. W końcu jak już tu jesteśmy... Ale rękawicę podejmij sobie sam, dobra? Ja się tylko napiję. Niech będzie, jak już przyjechaliśmy.

- Właśnie. I jak nie mamy czym wrócić... Co nam szkodzi? W sumie, co nam szkodziło? Mogliśmy tylko:

Zostać zdeptani

Stracić mienie

Zostać wygwizdani

Dostać w ciemność

Być obłani piwem

Podpaleni

Mogli nas wykopać

Wkopać w ziemię

Rzucić w nas jarzyną

Inwektywą

Obrazić nas miną

Lub śliną na żywo

Więc w sumie, co nam szkodziło?

Musieliśmy tylko trafić do klubu Dzika Owca, który mieścił się „tu zaraz, za rogiem, rzut kamieniem stąd”. Tak twierdzili organizatorzy. Te ich kamienie musiały chyba latać naprawdę daleko. Taka percepcja przestrzeni mogła oznaczać tylko jedno: Poznań coraz bardziej zbliża się do Warszawy.

Kaśka kupiła sobie piwo, wpadła w dobry nastrój i zaśmiała się jak wariatka, gdy zatrzymywałem ludzi na ulicy i pytałem ich, gdzie jest Owca, a oni odpowiadali, że chyba gdzieś w mieście. Tym sposobem ominął nas pierwszy set. Spora grupa opuściła lokal i bez uszczerbku na godności wcisnęliśmy się do środka. Kaśka przebijała się do baru (wysoki facet o wygłodniałym wzroku podążył tuż za nią), a ja pchałem się w pobliże sceny i szeptem przepowiadałem sobie mój kawałek. Rozglądałem się za znajomymi z bramy i czekałem na swoją kolej.

Zanim wyszedłem na środek, zdążyłem jeszcze wysłuchać:
wiersza o żebrzącym Adamie,
dwóch wierszy o papużkach nierozłączkach,

ostrego wiersza o cięciu bytu brzytwą,
smutnego wiersza o poezji, która jątrzy się jak rana,
(gdy rana się jątrzyła, Kaśka i ten wysoki flirtowali sobie na
całego)

przydługiego, ale rytmicznego wiersza o połykaniu dżdżow-
nicy,

wyjątkowo trudnego wiersza o prostych ludzkich sprawach.

Słyszając to wszystko, upewniłem się, że mikrofon działa bez
zarzutu, więc włożyłem ciemne okulary i odważnie stanąłem
w świetle reflektorów.

- Trzy minuty - powiedziałem, bo tak zaczynał się mój ka-
wałek.

*Trzy minuty! Trzy minuty tyle trwa
seks gdy facet jak to chłopak rozbieg ma
Trzy minuty! Trzy minuty to jest dość
by wiersz w gardle stanął ci jak z ryby ość*

*Trzy minuty!
Czy poezji jeszcze więcej można znieść?
Niech na skrót
nogi w buty w trzy minuty w serca treść
Rym za rymem
rozkładu jazdy trzymam się
Jestem Rzymem
masz trzy minuty na to żeby zwiedzić mnie*

*Nieśmiertelność
to trzy minuty potem won
Następny proszę
Łono poezji wszak się składa z wielu łon
Wszystkim po równo
wypada czasu no i co
że jeden gównno
a drugi złotych myśli sto*

*Tu chodzi o to
by w tłoku trwał z ochotą tłum
Uwaga tłumu
to dla poezji szansa jakaś jest na boom
na wyjście z niszy
wypas i wyszynk
rozgłos i poklask oklask i medialny szum*

Rozejrzałem się po sali i, ponieważ nikt niczym we mnie nie rzucał, zanuciłem:

*Bo liryka w ciszy zdycha zdycham
samotnie niczym- Pies
A przez mikrofon to ona dyszy dyszyyy
i tryskaaa
radością albooo
fontanną łeeez*

I więcej już nie śpiewałem, ale że do trzech minut brakowało mi jeszcze dobrze ponad dwie, płynnie przeszedłem do utworu, o roboczym tytule: 07 Jego tematyka stanowiła kontynuację wątku trzech minut - z wiersza *Trzy minuty*:

*Trzy minuty miną i mówisz pa pa
więcej tu nie stanie już moja stopa
regulamin mami to jest rymu śmierć
chciałeś połknąć całość
a rzucaś się na ćwierć
O!*

*czasowe ramy czasowe ramy
wymyślił motherfucker
(ten co dyma mamy)
tego by nie zniósł jazz i jass
to jest dla wiersza kwas ja pass
reguły mulą i z reguły rulą nas
A!*

*świeca poezji
finezji knotem
przyciąga masy błędnych ciem
z polotem
woskowe twarze
O!
spływają potem
płomiennym słowem trawi słam
głupoty cnotę
O!*

Po wykrzykniku nastąpiła trudna cisza - zapomniałem, co było dalej, więc rzuciłem mikrofonem w prowadzącego (złapał!) i zszedłem ze sceny, uważając, żeby nie potknąć się na schodach. Między gwiazdami i brawami przepychałem się do baru i starałem się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Ktoś klepnął mnie w plecy, odwróciłem się i dojrzałem dwóch ochroniarzy zbierających z podłogi resztki młodego z agrafką w wardze. Wykazywali delikatność, z odcieniem czułości. Wyższy wziął młodego na ręce, a ten wtulił się mu w klatkę jak śpiące dziecko. Drugi z ochroniarzy z przepraszającym uśmiechem torował drogę do drzwi. Musiałem przyznać, że ochrona Owcy wykazywała łagodność baranka. Kaśka trzymała co prawda pion, ale i tak robiła wrażenie nieprzytomnej. Bez słowa podała mi piwo, które było już ciepłe, a jej wysoki przyjaciel podał mi wilgotną rękę. Uścisnąłem ją, bo co miałem zrobić. W Dzikiej Owcy równocześnie dogorywała pseudopoezja i rodziła się prawdziwa miłość. Chmura feromonów unosiła się nad ich głowami i było widać, że wymienili się już numerami telefonów. W epoce rozpadu międzyludzkich więzi nie omija się przecież żadnej okazji, aby je zadzierzgnąć.

Nie czekałem na werdykt. Cały ten slam to było tylko rzucające piłeczkami. Ping-pong i bling-bling. Wypiłem do końca, wyrwałem Kaśkę z mocy Amora, powiedziałem Amorowi cześć i pobiegliśmy do taksówki. Jeszcze trzy minuty, a nie zdążylibyśmy na ten ostatni pociąg. Dosłownie w ostatniej chwili wskoczyliśmy do wagonu i szczęśliwie był to wagon dla palących. Zaciągnąłem się i dopiero wtedy poczułem satysfakcję.

- Trzy minuty - powiedziała Kaśka - to jest stanowczo za długo.

- Fakt - zgodziłem się. - I trudno zapamiętać tekst.

- Czyli właściwie, to o co ci chodziło?

- No wiesz... - zastanowiłem się. - Ludzie często protestują przeciwko regułom, których nie zamierzają łamać. Dla wprawy albo na wszelki wypadek. Inaczej umiejętność protestowania zanikłaby jak ten nieużywany mięsień. Trzeba dobijać się o swoje.

- Rozumiem - ziewnęła. - Tak dla zasady dopieprzasz się do zasad.

- Tak jest - odziewnąłem. - Nie lubię ograniczeń, ani czasowych, ani budżetowych tym bardziej (subtelnie nawiązałem do tematu kampanii, którą mieliśmy omówić). I chciałem wypowiedzieć się na temat slamu krytycznie, bo robi się już modny. A jak będzie modny, to automatycznie stanie się obciachowy. Zobaczysz, jeszcze trochę i cały ten slam to będzie porażka. Tak działa świat. Prędzej czy później każdy off doigra się własnego offu, a każdy krwisty befsztyk zamieni się w tofu.

- Zgódźmy się - zgasila papierosa - że nie jest to najpewniejsza lokata dla talentu.

- Ale talent pewny! - nawiązałem do kampanii już całkiem otwarcie. Bo tam, gdzie chodzi o pracę, skromność jest nie na miejscu.

- No nie wiem... - zaśmiała się. - Jak trzy minuty jest ci mało, to niby jak wypowiesz się w trzydzieści sekund?!

- Kasieńko - zatrzepotałem rękami i napiąłem biceps - reklama to nie jest turniej, to prawdziwa wojna! Nie będę się wypowiadał. Rzucę tylko hasło.

Znaleźliśmy wagon restauracyjny, zamówiliśmy kawę i opowiedziała mi wszystko, co kreatywny bez grosza powinien wiedzieć o banku. Zanim dojechaliśmy do Krakowa, miałem już spójną wizję całej tej kampanii. A nawet dwóch innych. Zatrzymałem to jednak dla siebie. Była klientką! Nie powinna wiedzieć, że myślę tak szybko. Na wypadek, gdyby chcieli płacić nam za godziny.

Człowiek, który był futrem

Odkąd przestałem być artystą i zacząłem znowu płacić za mieszkanie, pani Czujna patrzyła na mnie łaskawszym okiem. Kiedy gdzieś wyjeżdżałem, mały Marilyn Manson wprowadzał mi psa. Spędzał u mnie coraz więcej czasu, interesował się moim życiem i chyba uważał za niereformowalnego frajera.

- Spotkałem dzisiaj Maćka - powiedział, gdy tylko wszedłem. - Niepotrzebnie sypnął cię z tymi gołymi babami. Jego matka nie chce cię teraz znać.

- Jakbym nie wiedział, mądralo!

- Ale Maciek! - powiedział. - On ma plan naprawczy.

- Plan?

- No, tak naprawdę to jest nasz wspólny plan - powiedział z dumą. - Chodzi o to, że Maciek się utopi, a ty przypadkowo uratujesz mu życie. Wtedy jego stara się do ciebie przekona.

- Aha - powiedziałem - świetny plan. - Pewnie długo nad tym myślałeś. Bardzo dziękuję, ale wolałbym, żeby Maciek się nie topił. W żadnym razie nie zgadzam się na takie głupoty! Smarkacze!

- Zgred! - podsumował mnie, jak zwykle trafnie. - Nawet babcia mówi, że masz zmarnowane życie.

- Babcia - wściekłem się - może się utopić! - wrzasnąłem i zaraz przeprosiłem, bo zrobiło mi się głupio. - Mam własny plan - powiedziałem mu. - Zarobię kupę forsy i kupię sobie sportowy samochód.

- Aaa! - popatrzył na mnie z uciechą. - I będziesz jeździł nim ze mną!

Wywaliłem gnojka do domu i poczułem, że jestem całkiem sam. W jesiennej aurze przechodziłem depresję. Dochodziła druga. Nie chciało mi się czytać i nie mogłem zasnąć. Zadzwo- niłem do Natalii i przez chwilę dyszałem, udając normalnie zbroczeni- ca.

- Pieprz się sam - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Skąd wiedziała, że ja to ja? Jestem aż tak przewidywalny?

Z tą myślą musiałem się położyć i było gwarantowane, że z tą myślą wstanę. A jak tu robić reklamy, mając takie mniemanie o sobie samym, jakie na ogół ma się o odbiorcach?

Jarzeniówki zamigotały i monitory komputerów zgasły na ułamek sekundy, jakby to moje wejście spowodowało nagły skok napięcia. Pewne dane zostały utracone, ale nikt na to nie zważał.

- Synu! - powiedział Bartek, kiedy tylko przekroczyłem próg. - Jesteś geniuszem. Ta kampania jest rewelacyjna. Twój pomysł, że ekstrawydutki singli idą na to, żeby znaleźć sobie parę - to mnie powaliło! Udało ci się zrozumieć najgłębsze potrzeby samotnego człowieka. Budżet będzie nasz.

Nie podzielałem entuzjazmu, jaki udało mi wzbudzić.

- Bartek - westchnął - człowiek samotny to ja. Nie musiałem specjalnie się wysilać. Budżet łatwiej jest zdobyć niż kobietę.

- Czyli - zamyślił się - chodzi o kobietę... Taaa. A sztuka? Z tą sztuką to była tylko taka... no...

- Sublimacja popędu - dokończyłem i pokiwałem głową.

- Ano właśnie. Na to mniej więcej wychodzi. Banał prawda?

- Banał - potwierdził. - Jednak... nie łam się, albowiem...

- Albowiem?

- Stoi za tobą...

- Stoi za mną?

- Agencja reklamowa! - powtórzył z przejęciem, co mówił już kiedyś. - A skoro potrafimy wcisnąć wszystko wszystkim, to damy radę wcisnąć ciebie jednego tej jednej kobiecie!

- Bartek - uściskałem mojego szefa i zabrakło mi słów.

- A widzisz - ucieszył się. - Chciałeś być produktem masowego użytku, a będziesz nawet czymś więcej! Będziesz, bracie, jak futro luksusowe, towarem na zamówienie!

A potem Bartek pognał do swoich zajęć i ja powlokłem się do swoich. I pomyślałem, że taki numer nie przejdzie. Bo jeżeli miałem być futrem szytym na miarę, to żadna agencja nie mogła mi pomóc. Jeżeli miałem być futrem, musiałem być ciepły. Jeżeli miałem być futrem luksusowym - nie mogłem być

sztuczny. Jeżeli miałem być dla niej - ona musiała mnie pragnąć. Bo żarty się kończą, gdy zaczyna się miłość.

Wygraliśmy przetarg, jeden, potem drugi. Całkiem łatwo i niemal uczciwie. Bartek zamieszkał z Czekoladową Lady. Udany związek i rozprzestrzeniające się plotki o gospodarczym boomie w krótkim czasie postawiły go na nogi. W firmie także wszystko szło jako tako. Aga znalazła narzeczonego, Prosiaczek przeфарbował się na czarno. A żona Mikołaja znów była w ciąży i motywacja do pracy rosła mu z dnia na dzień. Kiciu zapisał się na kurs tańca towarzyskiego i poznał tam miłego chłopaka z polibudy. Życie moich przyjaciół i znajomych toczyło się w swobodnym rytmie niefrasobliwej komedii amerykańskiej. Moje wlokło się jak film drogi. Oglądałem filmy na HBO, żeby potem obejrzeć je w Canal Plus, utrwalić sobie na Canale żółtym i przeżyć powtórnie - na niebieskim. A kiedy chciało mi się płakać, przerzucałem się na Hallmark. Zalewałem gorące kubki zimną wodą. Układałem hasła, które kiedyś już ułożyłem. Wertowałem tygodniki. Przeczytałem *Życie. Instrukcję obsługi* od początku do końca. Próbowałem wszystkiego i nic nie działało.

Zrobiło się zimno i kupiłem sobie kurtkę. Nadeszły święta i poszedłem kupić sobie choinkę. Nie byłem w stanie jechać do domu na wigilię.

Supermarkety wypełniły się dzwoneczkami i szczęściami dostępnym za pieniądze. Od pewnego czasu i ja miałem ich trochę. Trzymając się za portfel, chodziłem po supermarketach. Zastanawiałem się właśnie, czy kupić psu kurczaka (pomyślałem, że moglibyśmy zjeść go sobie na pół), gdy dziewczynka z głową pełną warkoczyków, które zasłaniały jej oczy, z impetem wjechała mi wózkami w żebra. Wyładowany był po brzegi chipsami i kukurydzą w puszkach. Ta mała naprawdę wiedziała, co lubi. Zgięło mnie wpół i oparłem się o witrynę, łapiąc powietrze. Wtedy go ujrzałem - strój Świętego Mikołaja! W promocji, razem z plastikową choinką, jedną z tych, które stawia się w biurze lub hotelowym kiblu. Złożony z jednoczęściowego

kombinezonu brzuchacza, czapki, lnianego wora, przewiązane-
go czerwonożółtą wstążką, oraz z brody i wąsów - z sierści psa
husky, jak głosił napis, nie żadnej tam waty! Moja znajoma
miała kiedyś takiego psa. Z futra, które z siebie zrzucił, można
było wyprodukować tony wąsów oraz bród. Jak to się stało, że
na to nie wpadliśmy? Geniusz ludzki nigdy nie przestanie mnie
zaskakiwać. Sprawa była zamknięta, z choinką, czy bez - mu-
siałem mieć ten strój!

Znużona ekspedientka spoglądała obojętnie spod wiśniowej
grzywki, gdy przymierzałem czapkę.

- No chyba - odpowiedziała, wzruszając ramionami, gdy za-
pytałem, czy mogę przymierzyć kombinezon i już tak w nim
zostać.

Przebrany za Mikołaja klepałem się po szmacianym brzu-
chu, chodziłem po supermarkecie i kupowałem przeróżne
pierdoły. Plastikowe kubki z nadrukowanym uchem, grające
hymn narodowy szczotki do zębów, gumowe piłeczki, co uda-
ją gluta, jak rzucić nimi w ścianę, same takie rzeczy. Najwię-
cej nakupiłem miśków - przecenionych jedynie za to, że mia-
ły metki naszyte na oczach. Sympatyzowałem jakoś ze ślepymi
miśkami, albo to one jedne? Przez tę metkę - globalnego ka-
pitalizmu pluszowe ofiary.

W stanie absolutnego uniesienia, z worem pełnym urzekają-
cego badziewia stanąłem sobie na ulicy i rozdawałem wszystkim,
którzy chcieli brać. Gdybym zadbał o dokumentację, byłaby to
akcja. Tym razem jednak nie aspirowałem do sławy. Niosłem lu-
dziom wprawiającą w konsternację radość, ponieważ byłem
smutny, i w tym jedynie znaczeniu - w bezinteresowności mojej
nieco interesowny. Bez nadziei na szczęśliwe zakończenie, mimo
wszystko pragnąłem bajki. Byłem smutny i samotny jak dziew-
czynka z zapałkami, więc zostałem chłopczykiem z badziewiem.
I w uśmiechach przechodniów ogrzewałem się. Bynajmniej nie
wszyscy wierzą Mikołajom, ale nawet jeżeli usłyszałem parę wy-
zwisk, parę osób wzięło mnie za posła i kilka razy zasugerowano
mi, gdzie mogę wsadzić sobie moje świąteczne prezenty - i tak
miałem ubaw, nawet poczucie szczęścia. Bo zrealizowałem się ja-
ko Święty Mikołaj. Właśnie ja! I płatki śniegu wirowały mi nad

głową, w świetle latarni. Anioły śpiewały, lotne zaprzęgi reniferów chłastały niebo łuną złudzeń, złote dzwoneczki rozkwitały melodiami na gałązkach oszronionych drzew. Stałem pod supermarketem, jak wyjęty z Dickensa, i napięrzyłały mnie plecy, bo niesienie ludziom radości jest obciążające dla kręgosłupa. Sierść psa husky łaskotała mnie w nos i mimowolny uśmiech utrzymywał się na mojej twarzy. Jakiś facet zrobił mi zdjęcie, jakaś kobieta dotknęła mojego czoła. Luźny brzuch kołysał mi się przy każdym ruchu - prawdziwa magia świąt. Wór był już prawie pusty, gdy zobaczyłem Maćka i Natalię, jak z otwartymi ustami i błyszczącymi oczami stoją przede mną, czekając na swoją kolej. Bo magia to magia - kobieta ex machina, zjawia się jak Deus. Wyciągnąłem więc dwie grające szczoteczki i ostatniego już miśka.

- Wesołych świąt, Natalia. Wesołych świąt, Maciek.

- To... naprawdę ty!?! - zapytali na dwa głosy.

- Ja! Któżby inny! Świętego Mikołaja nie poznajecie! - powiedziałem to, co powiedziałyby każdy hochsztapler tym, którzy w niego wierzą.

A kiedy mój worek był już zupełnie pusty i dzieci rozchodziły się, machając mi na pożegnanie, pośpieszane przez znerwicowanych rodziców - oni stali tam nadal. Czar trwał.

- Widzisz - powiedział Maciek - on nie jest palantem. On jest Świętym Mikołajem. I nie mówił nic o bzykaniu!

- Nic a nic - przełknąłem ślinę. - W życiu.

Śnieg nadal padał, kałuże były twarde jak lusterka, a jednak miałem wrażenie, że temperatura gwałtownie jakoś wzrosła.

Ludzie machali do mnie na parkingu, kiedy szukaliśmy jej samochodu - tak długo, że ośmieliłem się zapytać, czy czasem nie przyjechała taksówką.

- Kto wie - powiedziała - niczego nie jestem już pewna.

Za to ja byłem pewien. Wiedziałem, jak skończy się ta historia. Dziesiątki takich filmów widziałem na Hallmarku, dziesiątki takich historii, przerywanych reklamami. I ta jedna, z jedną tylko gwiazdką, była moja. Nie do końca wyreżyserowana, zagrana nie najlepiej, ale moja, naprawdę moja.

Razem ubraliśmy wymizerowaną, bonusowa choinkę. Maciek przymierzał sierść psa husky i alergizował się na naszych

oczach. Puścił nam Eminema i upierał się, że tak właśnie brzmią współczesne amerykańskie kolędy. Może i miał rację. Machnęliśmy ręką, bo - jak na razie - słaby był z angielskiego. Kiedy poszedł spać, bardzo niepewnie objąłem Natalię i postanowiłem na tym poprzestać. Siedzieliśmy tak w milczeniu, objęci i nic więcej.

Wiesz - szepnęła - to zaskakujące, ale jesteś... chyba jesteś... ciepłym facetem.

- J a k futro - zamruczałem, bo było mi dobrze - na zamówienie!

Gwiazdka

We wtorek przed wigilią urządziliśmy wigilię w firmie. Dziewczyny kupiły śledzie oraz zupy instant w charakterze tradycyjnego barszczu. Mikołaj przyniósł kutię, a Kiciu makowiec własnego wyrobu. Mieliśmy także kilka flaszek wina. Z okazji świąt Bartek szarpnął się na nową popielniczkę, bo ostatnia stłukła się pół roku temu. Jak szaleć, to szaleć - skoro recesja się kończy!

- Co do premii - powiedział - bądźcie przygotowani, bo nie znacie dnia ani godziny. I ja też jeszcze nie znam.

Za to pozwolił nam jarać do utraty przytomności, bez otwierania okien. Piliśmy wino i przegryzaliśmy śledziami, utwierdzając się w miłości do naszego szefa. No bo gdyby nie miłość - kto znosiłby to wszystko?

I na melodię *Cicha noc*, *Święta noc* zaśpiewaliśmy chórem:

Doobry szef
Szczoodry szef

Przy makowcu pomyślałem, że jednak powinienem pojechać do domu na święta. Przyszło mi nawet do głowy, że powinienem zabrać ze sobą Natalię i Maćka. Powiedziałbym po prostu: kochani rodzice, to moja narzeczona i przybrany syn. Na po-

czątku mogliby się trochę usztywnić, ale w po chwili pewnie zaczęliby się łamać. W końcu to przecież wigilia.

Kolacja wigilijna (wizja)

Matka:

Może karpia?

Ojciec:

Właśnie... Wódeczki może?

Matka:

No cóż, no cóż... cieszymy się, że Mareczek w końcu znalazł sobie dziewczynę... i... chłopca.

Ojciec:

Właśnie... Wódeczki może?

Matka:

No cóż... Nasz syn nie jest już taki młody, chociaż... pani chyba musi być starsza?

Ojciec:

Nie wiem jak wy, ale ja napiłbym się wódeczki!

Matka:

To znaczy, chciałam powiedzieć, wygląda pani bardzo młodo, ale chłopiec... Maciuś, tak?

Ojciec:

Maciuś! Może wódeczki, chłopie... znaczy... karpia?

Natalia jednak wybierała się na wigilię do swoich własnych rodziców, którzy byli dla Maćka, normalnie, babcią i dziadkiem, i nie miała wcale zamiaru zabierać tam mnie.

- Jeżeli za rok - powiedziała poważnie - będziemy jeszcze razem, to okay, spędzimy razem wigilię. Nie mogę mieszać w głowie mojemu synowi tylko dlatego, że ty zamieszałeś mnie. Co zresztą miałabym powiedzieć moim starym? Że jesteś kim? Świętym Mikołajem?

- Mocno powiedziane - pocałowałem ją i pomyślałem, że jest mądrą, cudowną dziewczyną, tyle że ogląda za mało filmów - na Hallmarku.

- Ale w styczniu - rzuciła lekko - są ferie. Chcieliśmy z Maćkiem wyskoczyć gdzieś na narty. Może weźmiesz sobie tydzień urlopu? Tylko zastanów się. Tydzień to dłużej niż kolacja.

- Zastanowiłem się. I nawet mam narty. Tylko kijek złamałem dwa sezony temu.

- Frajer - uśmiechnęła się i była zakochana. Dziewczyny przepadają za facetami, którzy nie przepadają za sportem.

Kupiłem butelkę likieru dla mamy i flaszkę koniaku dla ojca. Zapakowałem psa do samochodu. Stanąłem, żeby zatankować, i kupiłem jeszcze bombonierkę, z wiśniami w likierze. Zapłaciłem za bombonierkę, zapłaciłem za benzynę i wziąłem jeszcze gazetę. Na pierwszej stronie było zdjęcie chuderlawego Mikołaja i podpis:

Święty Mikołaj rozdaje ślepe misie.

Stało się! Byłem facetem z pierwszych stron!

Przelatywałem tekst:

Akcja promocyjna czy prowokacja artystyczna? (...) Kto ukrywa się pod przebraniem Świętego Mikołaja? (...) Czy miś z metką na oczach jest symbolem komercjalizacji wartości rodzinnych? (...) bezrefleksyjne społeczeństwo tworzywem sztuki (...) miś kontra paradygmat (...) dyskusja o stanie (...) redefinicja (...)

No! Proszę! Całkiem niechący, w stanie świętej, świętomikołajowej naiwności poruszyłem media i rozpętałem dyskusję o stanie! Moje ego, ostatnimi czasy skurczone jak pomarszczona fasolka - zaczynało pęcznieć. Nie przeszkadzało mu - temu ego memu - nawet to, że pod przykrywką z sierści husky'ego, pozostawało zupełnie nierozpoznawalne. Ba! Nawet mu się to podobało. Zacząłem planować kolejne akcje i europejską trasę. Wiedziałem już, że na Wielkanoc będę zajączkiem, albo nawet barankiem - zarżniętym symbolicznie, żeby było ostrzej! Szukałem pomysłów na wszystkie święta, państwowe i kościelne. Obiecałem sobie moimi akcjami komentować na bieżąco wydarzenia polityczne. Obiecałem sobie pozostać anonimowym, przywdziewającym okazjonalne maski - sumieniem narodu. To

w końcu można by pogodzić z pracą zawodową i jako mąż (i ojciec) miałbym jakąś odskocznnię!

Tak sobie myślałem, sunąc w gigantycznym korku uformowanym przez setki synów i córek powracających do domu na wigilię. Cieszyłem się na karpia i na barszcz z uszkami, i cieszyłem się, że w końcu będę mógł im powiedzieć, że owszem, znalazłem sobie dziewczynę, i wiecie, to zabawne, ona jest prawnikiem. Ma nawet syna, który, kto wie, może zostanie lekarzem. Wasze marzenia niemal się ziściły. Tyle że w formie, powiedzmy, nieco zmodyfikowanej. I moje marzenia też. A co do sztuki... Po tylu miesiącach szarpania się w końcu do mnie dotarło, dlaczego sztuka nie sprzedaje się! A w każdym razie nie w Polsce. U nas jest rynek na Świętego Mikołaja. U nas jest popyt na dyskusje i miejsce na sumienie.

- Słyszałeś - zapytał tata, nim zdążyłem usiąść - podobno recesja się kończy! Martwimy się z mamusią, że teraz może być jeszcze gorzej!

- Spokojnie - uściśkałem go z całej siły - to tylko plotki.

Śmiertelny szlak

Mój romans rozkwitał. Drugiego dnia świąt poznałem matkę Natalii, która była przystojną, wysoką kobietą i potraktowała mnie z góry. Starałem się robić jak najlepsze wrażenie, jednak trudno jest wyrzeć wrażenie na matce, dając córce płytki - zamiast chociażby pierścionka. A przyniosłem jej trzy filmy z Hugh Grantem (Maćkowi tylko jeden, za to bez Hugh Granta). Przyniosłem trzy wyznania miłości, w tym moje ulubione z *Czterech wesel i pogrzebu*: „czy zgodziłabyś się nie wychodzić za mnie i nie być moją żoną do końca życia”. Chociaż nie wykluczałem wcale bardziej tradycyjnych rozwiązań. Dziewczynie można zaproponować małżeństwo już na trzeciej randce, ale o rękę jej syna trzeba się postarać. Myślę, że moje prezenty były okay - rozważne i romantyczne. W przypadku Maćka chyba

nawet przegiąłem - kupiłem mu *Stowarzyszenie umarłych poetów* - żeby zarażał się już za młodu. Spojrzał na mnie z wyrzutem. I szczyptę pogardy, niestety, dojrzałem tam też.

- Poezja, bracie - powiedziałem mu dla zachęty - to niezawodny sposób na gołe baby. Jeszcze lepszy niż fotografia! W *Matriksie* zresztą też wierszami mówią. Podążaj za białym króliczkiem! To z wiersza jest.

Na sylwestra poszliśmy do Mikołaja, przebrani za szczęśliwych nędzarzy, bo takie było hasło imprezy. Uważałem, że jest to taki sobie pomysł - istniała możliwość, że wszyscy przyjdą tak, jak są. Na dzień przed Natalia stwierdziła, że nie ma wyjścia - musimy jechać na zakupy. Moje rajdowe koszule i tureckie dzinsy z końca lat osiemdziesiątych nie trafiły jej do przekonania.

W salonie Tania Odzież dla Każdego nabyliśmy firmowe drelichy niemieckiej firmy sprzątającej i sygnowane przez mole wełniane czapeczki, w których poczuliśmy się sexy. Obsługa sklepu patrzyła nas ze współczuciem.

Mikołaj otworzył nam ustrojony w pomarańczową kamizelę a la roboty drogowe, z młotem zatkniętym za pasek. Jego kumpel Włodek przyniósł ze sobą siekiere. Pomyślałem, że jeszcze przed północą ani chybi pozabijamy się po pijaku, nucąc rewolucyjne pieśni. W kuchni siedziała podupadła inteligencja i petowała do sałatki. Przywitałem się i przedstawiłem Natalię:

- Od pewnego czasu zamiatamy razem!

Magda odebrała od nas wódkę i zaprezentowała poharatane, wyplamione farbą szwedzki demobilu.

- Moje nowe arkadiusy!

- Piękne - powiedziałem. - Ciętaś nożem?

- Nożem. A potem darłam. Chciałam jeszcze dosztukować górę od kalesonów, ale Mikołaj mi nie dał!

- To żyła! - pokręciłem głową. - Bluzkę też sama strzępiłaś?

- Niece - skrzywiła się - to nówka. Oryginalnie była taka. Myślałam nawet, żeby ją obrębić, ale już mi się nie chciało. A skąd macie takie wysmakowane drelichy?

- Fajne, nie? Chyba będę w tym chodził do miasta!

- Szpaner - nalała mi drinka - snob!

A potem, kiedy Natalia tańczyła Tango Menela z facetem w hawajskiej koszuli, którego nie znałem (a sukinsyn tańczył dobrze to tango, musiałem mu przyznać) - Magda powiedziała:

- Coś mi wygląda, Marek, że jeśli chodzi o twój etos wolnego faceta, to to by było na tyle!

- Uważasz?

- Tak. Uważam! I ty lepiej uważaj, bo ta kobieta w porządku jest! Podoba mi się, wiesz?

- Magda! Rannybosskie! - przypomniałem sobie podejrzenia Mikołaja, co do Magdy w związku z koleżanką, i ogarnął mnie lekki niepokój. - Podoba ci się? Przecież ty, dziewczyno, w ciąży jesteś!

Uśmiechnęła się, zatrzepotała rękami, wzruszyła ramionami i protekcyjnie cmoknęła mnie w nos!

Rano Natalia powiedziała, że ci moi znajomi są naprawdę w porządku, a szczególnie Magda, i powinniśmy jak najszybciej zaprosić ją z Mikołajem do nas, na, normalnie, kolację albo coś!

- Magda jest w ciąży - powiedziałem powoli - nie może pić ani palić, ani jeść kolacji.

- Oczywiście. Najlepiej, żeby zamknęła się w łazience i przeczekała! O Boże! - westchnęła, wznosząc oczy w sufit. - Już zapomniałam, jacy faceci są beznadziejni!

Przed samymi feriami Maciek złamał nogę i wyjazd na narty trzeba było przełożyć na lato. Powiedziałem mu, że za to może przez dwa tygodnie oglądać DVD i siedzieć przy komputerze. Zgodził się, że jest to jakiś plan. Wyglądało, że my z Natalią będziemy robić to samo. Nie przeszkadzało mi - z nią mogłem robić cokolwiek, łamane przez nic. Gotowaliśmy razem i razem wkładaliśmy brudne naczynia do zmywarki. Razem wychodziliśmy wieczorem, żeby razem wrócić. Przedstawiłem jej resztę moich znajomych i ona pokazała mi swoim. Co piątek sprawdzaliśmy w „Co jest grane”, jakie koncerty i premiery olejemy razem w następnym tygodniu. Sprawdzaliśmy, czy otwarto nowe kluby, do których nie zechce nam się pójść. Od miejskiego zgiełku cieszył mnie dużo bardziej nasz bezgłośny seks - bo Maciek był tuż za

ścianą. To, że zacząłem regularnie zostawać u nich na noc, było w porządku, ponieważ Wrak sypiał wtedy z Maćkiem. Nie, nie na podłodze. Obawiałem się, że obaj będą już wkrótce nosić obroże przeciw insektom. Co z tego - szczęśliwe dzieciństwo nie boi się pcheł. Szczęśliwa miłość natomiast musi bać się trochę dziewięcioletnich chłopców. Trzeba być fair i zachować czujność.

- Zabierzesz mnie do Disneylandu? - zapytał ni stąd, ni zowąd. - J a k mi zdejmą gips?

- Gdzie?

- Do Paryża. Do Disneylandu - powtórzył spokojnie, tonem niemal protekcyjnym. - Mój tata by mnie zabrał.

- Tak - odetchnąłem głęboko - na pewno. To znaczy tata może by cię zabrał i może ja też bym cię zabrał, to znaczy... w dalszej perspektywie...

- Nie chcę w perspektywie. Chcę do Disneylandu!

- Doobra - kombinowałem - doobra... Może rzeczywiście lepiej żebyśmy wybrali się do Disneylandu... niż...

- Niż co? - zaniepokoił się.

- Nieważne... - grałem dalej.

- Co nieważne? - zirytował się.

- Nooo... myślałem, żeby zabrać cię... ale nie... jesteś jeszcze za młody. Lepiej będzie pojechać do Disneylandu!

- Disneyland jest super! - wrzasnął.

- Jasne - potwierdziłem. - Jest najlepszy.

- A na co jestem za młody? - zapytał niepewnie.

- Myślałem - powiedziałem obojętnie - że moglibyśmy pojechać w skałki, powspinać się trochę, na Śmiertelnym Szlaku, ale mama w życiu by się nie zgodziła!

- Na Śmiertelnym?! - zupełnie go zatkało.

- Nawet jej o tym nie wspominaj - zagroziłem mu. - Zapomnij o tym. Pojedziemy do Disneylandu i na pewno będziesz świetnie się bawił, razem z innymi dziećmi.

- Marek - wyszeptał ze zjeżonym włosem - naprawdę zabrałbyś mnie? Na Śmiertelny? Może mama mogłaby sobie sama pojechać do tego Disneylandu? Co?

- Zabiorę cię. Ale nie tak szybko, stary. Wiosną, wiesz... Na razie potrenujemy sobie trochę na ściance, na sztucznej ścianie,

dobra? Ale możemy udawać, że to Śmiertelny. Zanim naprawdę się wystraszysz, musisz najpierw nauczyć się bać.

- Marek - zapytał cicho, wpatrując się w buty - a ty i moja mama, to już tak... wiesz... czy tylko trenujecie?

Któregoś wieczoru, kiedy śnieg zaczynał już topnieć, Natalia uparła się, żeby ulepić bałwana. W znaczeniu dosłownym! Powiedziała, że to ostatnia szansa. Jej buty przemakały i rękawiczki ociekały wodą, a ja stałem nieruchomo na krawężniku. To wcale nie wyglądało jak zabawa, a ona nie była kimś, kto bawi się w taki sposób. I każdy jej ruch wyrażał desperację.

- Dlaczego nie pomagasz mi zrobić cholernego bałwana?

- Nie chcesz bałwana. Wcale nie chcesz ulepić żadnego bałwana. I nie wzięłaś ze sobą marchewki ani garnka. Ani kija, żeby mnie poganiać. I nie wzięłaś ze sobą Maćka.

- Bo ma złamaną nogę! - wrzasnęła wściekle.

- Nie chcesz bałwana. Chcesz mi tylko pokazać, że wszystko się rozpułynie.

Podeszła blisko. Nasze usta niemal się dotykały. Poprawiłem jej szalik i spróbowałem objąć.

- Nie waż się - odepchnęła mnie - rozkochać go w sobie. I jeśli nie jesteś pewien, że tu będziesz, nie obiecuj mu niczego na wiosnę.

- Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy - zażartowałem, cytując stanowisko rady nadzorczej TVP. Ale ona wcale się nie uśmiechnęła, a ja kolejny raz poczułem się jak głupek. Bo chociaż czytałem gazety, coś chyba mi umknęło. I miałem wrażenie, że mieszają mi się konwencje.

Olo i dyscyplinarka

Trenowałem. Uczyłem się być i być, i uczyłem się robić prawdziwe zakupy. Takie dla trojga. Zakupy do domu. Sprawiało mi to przyjemność i, tak, trochę udawałem. Kogoś, kim do-

piero miałem się stać. Takiego zwykłego faceta, który ma rodzinę, z żoną i dziećmi, z pralką i lodówką. Bawiło mnie, że wybieram mięso i rodzaj jogurtu - jeden dla niej, inny dla Maćka. Z rozkoszą kupowałem babskie gazety. Zamiast złapać zgrzewkę piwa, z namysłem oglądałem wina. Zazwyczaj dopiero potem wpadało mi do głowy, żeby kupić ser i oliwki, i wracałem po nie. Czarne dla mnie, dla niej - zielone. Najlepiej takie w puszcze i z cytryną w środku. Moja gorliwość neofity wzbudzała zachwyt u ekspedientek, a zwłaszcza u tych na stoisku mięsnym. Doradzały mi, co wziąć na gulasz i wyjaśniały, co to takiego szponder. Do wiosny miałem szansę zostać wieprzowo-wołowym guru. Na razie przynosiłem do domu coraz dziwniejsze kawałki i przystawałem na uprzejmą propozycję Natalii, żebym przyrzadził je sobie sam. Kochanie - mówiła, dotykając mnie lubieżnie, tak od szynki - gotowanie to też jest sztuka!

Któregoś dnia wpadłem w delikatesach na Oła. Natknąłem się na niego w kolejce do kasy. Miał rozchełstaną kurtkę i czerwony nos, nie było jasne, czy to z powodu mrozu, czy tylko tak, od przepicia.

- Cześć - powiedziałem. - Co tam, w rewirze czwartym? Bo u mnie jakby wszystko uregulowane.

- Cześć, Marek, cześć - wysapał. - Ja już nie ściagam. Jak o mnie się rozchodzi, możesz nie regulować, twoja rzecz.

- A co - zdumiałem się - przemianę duchową przeszedłeś, czy jak?

- No co ty - skrzywił się z odrazą - jaką tam przemianę! Z roboty normalnie wypierdolili mnie.

- Redukcje? - zapytałem z pewną, na przyszłość, nadzieją.

- Nieee... dyscyplinarnie raczej... wypierdolili mnie. Komuna - splunął - komuna, mówię ci. Ty sobie tam w tej reklamie pracujesz, to nie wiesz, ale u nas, widzisz, to już nawet chlać nie dają, w godzinach pracy.

- Nooo - rozłożyłem ręce - noo...

- No widzisz! A ja nie bez kozery w pracy chlam. Ja jako komornik metodę miałem! Ludzką, kulturalną! Co to, komornik to już nie może być człowiek?

Głupio mi się zrobiło i wyciągnąłem Ola na piwko do obskurnej knajpy na pętli. Nazywała się Paradiso i seledynowy neon jeszcze to podkreślał. Kalkulowałem, jakie jest prawdopodobieństwo, że w knajpie Paradiso znajdzie się jakiś klient, który rozpozna Ola, i mnie, za Ola grzechy komornicze, za jednym zamachem przywali. Na wszelki wypadek poprosiłem go, żeby usiadł pod ścianą i tyłem do wejścia.

- Ja w naszym rewirze same sukcesy miałem - zaczął afirmatywnie. - Nie jak inni. U nas, widzisz, ludzie okropnie opierdalają się. Przychodzi taki i nawet się nie rozejrzy. Kartkę jedną ci da, kartkę drugą wypełni, na odpierdol grzecznie zaproponuje, żebyś się stawił i uiścił, bo odsetki rosną, i tyle go widziałeś! Nawet się nie rozejrzy, tylko patrzy, żeby najszybciej wyjść. Banda zdechłaków! Na obelgi narażać się nie chcą. Głupiego telewizora taki nie zabierze, pewno by nawet nie udźwignął. Morale, widzisz, spada, etyka zawodowa leży!

- Spada? - podtrzymałem rozmowę. - Leży?

- Dawniej - ciągnął na mój koszt - komornik to był, kurde, ktoś. Komornika ludzie się, widzisz, bali. A dzisiaj to komornik się boi. Kartka, naklejka i przepraszam bardzo, do niewidzenia się.

- A ty?

- A ja! Ja metodę miałem. Człowiek na przykład mówi mi po ludzku, nie mam, ale będę miał, nie?

- N o .

- No to ja się pytam, skąd niby?

- No właśnie.

- No. To on mówi mi, coś wymyślę.

- T a k .

- To ja mówię, proszę, niech pan myśli, zaczekam. I czekam! Nic mnie nie ruszy. On myśli, ja czekam. W końcu, żeby przezwyciężyć tę ciszę, on życie swoje zaczyna opowiadać mi od początku.

- A h a .

- No. To ja mówię, panie, ja całe życie pańskie przeżyć mam? Bez wódki?

- N o !

- To on mówi, chwileczkę, i wyciąga wódkę. I tak sobie, jak człowiek z człowiekiem, siedzimy, przy tej wódcie, nawet i do

nocy. Chociaż nadgodzin mi za to nie płacą. Siedzimy i rozmawiamy, jak to człowiek uczciwy z porządnym komornikiem.

- I ?

- I potem przychodzi jego żona, i sama mnie prosi, żebym już zabrał ten telewizor albo komputer dzieciakowi, bo wzrok traci od ciągłego grania.

- Tak - zgodziłem się. - To jest metoda! Rewir czwarty popełnił duży błąd.

- Ano tak - westchnął. - Komuna! Przedsiębiorczość niedoceniana jest. Zresztą oni, widzisz, lekceważą szarego człowieka. Firmy tylko interesują ich. Konta pozajmują i tyle wszystkiego. Cała sprawa.

- Taaa.

- A ja mówię, hola! Tak nie wolno. Długi szarego człowieka także liczą się! Szarego człowieka lekceważyć nie wolno! Trzydziestu ośmiu, czy ilu tam, milionów szarych dłużników lekceważyć nie wolno! Ja - roztkliwił się - zawsze marzyłem o takiej pracy, bardziej, rozumiesz, u podstaw. Ja taki doktor Judym jestem pośród komorników.

- Olo - ścisnąłem mu ramię - napijmy się jeszcze. Stawiam. Na trzeźwo to ja tego słuchać nie mogę.

- Niech będzie - pociągnął nosem. - A nie pożyczylbyś mi, Marek, kilku stów do końca miesiąca?

Mądra kobieta i marzenie

Po powrocie opowiedziałem Natalii historię Oła, ale ona wcale nie była nią ubawiona. Powiedziałbym nawet, że z minuty na minutę bawiła się coraz gorzej.

- Co? - zażartowałem. - Masz taką minę jakby ciebie też... dyscyplinarnie!

- Były redukcje - powiedziała krótko. - Moja firma nie potrzebuje już prawnika na stałe. To znaczy, że będą okazjonalnie korzystać z moich porad i okazjonalnie mi za nie płacić.

- Natalia - próbowałem powiedzieć coś w tonie obiektywnym - ty jesteś prawnikiem. W każdej chwili znajdziesz sobie pracę.

- Naprawdę? A przeglądałeś ostatnio gazetę? Bo ja już przejrzałam. Na oczy. Wszyscy, którzy szukają pracy, są albo po prawie, albo po zarządzaniu. A ja spłacam mieszkanie i mam dziecko w prywatnej szkole.

- Kochanie - zapytałem serio - powiedz, po jaką cholerę my oboje utrzymujemy nasze dwa mieszkania, skoro i tak zamierzamy być razem, w jednym.

- A zamierzamy? - spojrzała na mnie ostro. - Bo ja nie wiem. I myślę, że ty też jeszcze nie wiesz. Jesteś tu, ale jak coś się spieprzy, to po prostu przejdiesz przez ulicę i wrócisz do siebie. I tylko co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Tej nocy przeszedłem przez ulicę. Wróciłem do mieszkania, które było tylko moje. I skopałem jego puste ściany. Bo wszystko się spieprzyło, bo pieprzone baby i pieprzony ich babski feminizm. Pieprzona ich rozwaga i w ogóle myślenie. Jak już facet raz się zakocha i na coś zdecyduje, to nie wolno go jednym ruchem sprowadzać do roli chłopaka na jedną albo więcej nocy. Bo wzięłbym normalny ślub, z nią, jej dzieckiem w prywatnej szkole, i kredytem, z wszystkimi jej obciążeniami. Z całego mojego męskoszowinistycznego serca chciałem już mieć na głowie wszystkie te kłopoty. I co do kurwy nędzy ona teraz powie Maćkowi?!

Poszedłem do Mikołaja i wyciągnąłem go do miasta, chociaż Magda groziła, że może urodzić w każdej chwili. Na moje nieprawne oko miała całkiem płaski brzuch.

- Straszy mnie tak - westchnął - od samego początku. Jakbym i bez tego nie był dość przerażony. Trzecie dziecko! W tych czasach! W inteligenckim w końcu domu!

- *Every sperm is good* - powiedziałem mu za Monty Pythonem - *Every sperm is fine*, a ty sam nie wiesz, jakie szczęście masz. Troje własnych dzieci. A ja nawet jednego cudzego mieć nie mogę.

- Coś nie tak? Pokłóciliście się?

- Straciła robotę - wyjaśniłem - przeszeregowała jej się hierarchia potrzeb. Miłość jest teraz chyba na ostatnim miejscu. Powiedziała, że nie chce się wiązać.

- Mądra kobieta - pokiwał głową. - Niezwykle mądra kobieta. Myśli jak facet!

- A idźże, idźże - zirytowałem się z krakowskim akcentem.

- Pójdę - zgodził się - po wódkę jeszcze. - Wy, single, to nie umiecie rozróżnić, kiedy jest tragedia, a kiedy zwykły dramat. Ona sobie byle co powie, a ty od razu dajesz się, bracie, nabrać. A to, bracie, tylko dialogi. Mówi się swoje i przechodzi do następnej sceny. Miłość to nie Szekspir, tylko raczej Bergman. Miłość, kochany, nie zabija, tylko nuży. Prawdziwa, mam na myśli, miłość trwa i trwa.

- Masz coś do Bergmana?

- A bo ja to pamiętam - wzruszył ramionami - w liceum przerabiałem. A co ja wtedy mogłem wiedzieć o życiu marionetek albo o scenach małżeńskich?

Rano zadzwoniłem do Natalii i powiedziałem, że jest głupią, głupią babą, a syn musi mieć ojca. Natychmiast! A skąd ona weźmie ojca? Natychmiast?! Casting ogłosi w internecie? I kto, jak nie ja, pomoże jej przejść łagodnie, związaną z utratą pracy, normalnie, depresję. Ilu to facetów z wykształceniem psychologa kocha się w niej aktualnie? I kto będzie odrabiał lekcje z Maćkiem, jak ona na bezrobociu zapadnie w alkoholizm? I kto będzie jej do delikatesów nocnych jeździł po wódkę i papierosy?

- Przepraszam - szepnęła. - Masz rację. Przyjdź zaraz po pracy, kochanie, i zrób, proszę, zakupy. Ja dzisiaj...

- Wiem - przerwałem - nie wychodzisz z łóżka.

- T a k .

- A słuchaj, Natalko... Maciek w szkole, prawda? Bo mógłbym może urwać się, tak... na godzinkę...

- Na godzinkę?

- Albo na dwie?

- Ale ja... - powiedziała kokieteryjnie - depresję... miałam mieć?

- Jutro - obiecałem - kochanie, jutro.
- Niech będzie - przytaknęła. Mądra, mądra kobieta!

Firma Natalii zajmowała się wykupem i dzierżawą gruntów pod inwestycje. Gdy inwestycji zabrakło, w zastraszającym tempie zaczęła tracić grunt. Ci, którzy pracowali tam od niedawna, poszli na zieloną praktycznie z dnia na dzień. Kiedy traciysz robotę, tydzień liczy się inaczej - nie czekasz już na piątek, tylko na poniedziałkową „Wyborczą”, z dodatkiem o pracy. Przez pierwsze trzy tygodnie otwieraliśmy ją z entuzjazmem. Natalia miała CV całkiem niezłe i sporo motywacji do zawarcia w liście. Miała niestety również pewne uprzedzenia - jako prawnik nie wyobrażała sobie kariery w charakterze przedstawiciela handlowego. Im dłużej stała na takim stanowisku, tym mniej robiła się plastyczna. W końcu zaczęła stawać się skamieliną. Gdy całowałem ją w policzek, wydawało mi się, że dostrzegam tam odciśniętą paproć, nawet jej ucho kojarzyło mi się z muszelką. Każde spotkanie w sprawie pracy kończyło się jak przygodny seks. Wkrótce przestała martwić się tym, że nie dzwonią. Niepokoiła się raczej, żeby nie wyłączyli nam telefonu. Spaliśmy przytuleni jak dzieci i śniły nam się nasze raty. Nawet Maciek zrobił się jakiś nerwowy. Wkurzał się o byle co, a w nocy zrywał się z wrzaskiem.

- Cesne! - krzyknął kiedyś. - Cesne!
- Co on krzyczał? - przeraziła się Natalia. - Czesne? Słyszysz? Krzyczał: czesne! Boi się, że nie będzie mnie stać na szkołę. Śni mu się publiczna podstawówka.
- Nieee - uspokoilem ją - nie krzyczał: czesne. Krzyczał: cesne! To taki samolot, rozumiesz, cesna. Samoloty śnią mu się zwyczajnie. To chyba normalne, że mały chłopiec chce zostać pilotem?
- Cesna? - upewniła się. - Samolot?
- Tak. Śpij!

Król atmosferycznego drum n' bassu, słynny LTJ Bukem, wraz z MC Conradem występował sobie spokojnie na jakiejś Progression Session, a ja borykałem się z życiem i czułem nega-

tywne wibracje - nieznany mi dotąd niepokój przeradzał się w trudny do opanowania dygot. Tymczasem ich muzyka była spokojna i kontemplacyjna. „Wybijają się w niej (zapewniał Roman na stronie „Nowe Odjazdy”) niesamowite podkłady melodyczne, wspaniałe partie instrumentalne oraz prężne, lecz pełne zwiewności bity(...) Ten wspaniałe zgrany tandem potrafi przez dwie godziny grać precyzyjne podkłady rytmiczne, osnuwać je melodycznymi ornamentami i wokalizami oraz kierować falującym tłumem spontanicznymi rymami Conrada”.

A nasz tandem? Czyżby miał wypierdolić się spontanicznie, gdy tylko przyszło pojechać pod górkę?

Wokalizy Natalii coraz częściej zdobiły takie ornamenty, że MC Conrad mógłby czyścić jej buty.

Nie, w tym czasie nie byliśmy na bieżąco. Staraliśmy się tylko zachować kamienną twarz i wszystko, co nie dotyczyło nas, po prostu po nas spływało.

Gdyby było o czym rozmawiać, pewnie pogadałbym z Bartkiem o podwyżce. Praca dosłownie paliła mi się w rękach.

- Pod dupą - powiedziała mi Mikołaj - szczęśliwie zapaliło ci się w końcu. Serce mi rośnie, kiedy widzę, jak się szarpiesz. Dopadła cię w końcu!

- C o ?

- Odpowiedzialność, bracie! Co prawda ślubu nie brałeś, ale tak jakoś wyszło, że masz jakby rodzinę. Albo ci się zdaje. Ciekaw jestem, czy długo wytrzymasz. Bo właśnie przekonujesz się na własnej skórze, że miłość, bracie, to nie listy są, miłosne, ale...

- Wiem. Rachunki!

- Dobrze - kiwnął głową. - A po ciemku fajnie jest kochać się dopóki...?

- Dopóki?

- Nie wyłączą ci prądu! - dokończył. - A ty żadnym artystą nie będziesz już więcej, tylko swojego losu...?

- Kowalem - dopowiedziałem. - Dobra. Ale istnieje też możliwość taka, że mimo niesprzyjających okoliczności nagle zbiorę się w sobie i do przodu ruszę...

- Z kopyta! - uśmiechnął się szeroko i na znak pokoju wyciągnął do mnie fajki.

Po wielu dniach trudnych negocjacji (z przerwami na seks) Natalia zgodziła się w końcu, żebym zlikwidował swoje mieszkanie i przeniósł się do niej na dobre.

- Widzisz - podałem jej drinka - i po co było tyle czekać? Straciliśmy tylko czas i czynsz, co gorsza. A wszystko przez to, że naczytałaś się głupot i nie ufasz niedojrzałym, samotnym facetom.

- Właśnie - zgodziła się. - Musiałam chyba oszaleć, żeby nie wierzyć, że koleś, z którym się bzyknęłam, zechce spędzić ze mną resztę życia iłożyć na utrzymanie mojego dziecka z poprzedniego związku.

- Właśnie - pocałowałem ją w czubek głowy - po prostu kretyńka! I pewnie jeszcze myślisz, że będę migał się przed słubem? Jak Hugh?

- No myślę - westchnęła - że ja na twoim miejscu mogłabym się migać.

- Nic nie rozumiesz - powiedziałem. - Nie znasz swojej wartości na rynku małżeńskim. Obecnie, jako kobieta niepracująca, obciążona dzieckiem i kredytem, a więc skazana na bycie utrzymywaną i uzależnioną od męskiej przedsiębiorczości, jesteś marzeniem każdego szowinisty!

- Jestem marzeniem?

- Marzeniem! - potwierdziłem. - I mam tylko nadzieję, że spełnisz się właśnie mnie.

- Wiesz co, Marek - rozczochrała mi nażelowanego Hugh Grama - zawsze uważałam, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie.

- H m ?

- Ty jednak jesteś samobójca!

Pomyślałem, że Maciek musiał już zasnąć i przewróciłem ją na łóżko, pośpiesznie zrzucając ubranie.

- Jestem gołym samobójcą i mam wielkiego...

- Świnia!

- Stracha!

Pod wpływem traumy związanej z utratą *pracy* i malejącej nadziei na znalezienie następnej, Natalia realizowała się jako kobieta - prała, sprzątała i klęła przy tym tak dosadnie, że zasugerowałem jej, żeby zapisała się do jakiejś reprezentacji. Najgorsze zakapiory były przy niej niczym gęgające gąski i powstrzymywała się tylko przy Maćku. Kiedy jeszcze zaczęła gotować, wiachy stały się po prostu nie do wytrzymania. Malowała się, dzięki Bogu, i nie przestała depilować nóg - nie zatracala kobiecości tak całkiem, jedynie jej wdzięk poszedł gdzieś się pieprzyć. Nie czepiałem się, bo jak człowiek nie ma roboty, to trudno, żeby był wdzięczny. Mówiłem jej, że wygląda ślicznie, i pokornie jadłem „pierdolonego kurczaka w jebanym sosie”, myśląc o latach pięćdziesiątych w Ameryce. Dopiero kiedy przestała kląć, zacząłem martwić się tak naprawdę. Zrozumiałem, że moja dziewczyna dołączyła do milczącej większości obywateli cierpiących na bezrobocie i zaległe rachunki. Jako, było nie było, psycholog postanowiłem jej wmówić, że to nic takiego.

- Depresja, kochanie - tłumaczyłem - to wymysł producentów prozaku. Ty żadnej depresji nie masz, jesteś tylko odrobinę zdołowana, jak wszyscy. Zaproś przyjaciół na kolację, a zwali ci się do domu profesjonalna grupa wsparcia, postaw im wódkę, a poczujesz się jak na zebraniu AA.

- Ale nie chcę - przerwała mi płaczącym tonem. - Dla mnie moje problemy są zupełnie wyjątkowe.

- Ja rozumiem - zgodziłem się - też wolę cierpieć samotnie. Dzielenie się problemami robi z nich zwykłe kłopoty, a ludzie z kłopotami są towarzysko kłopotliwi, natomiast ludzie z problemami wydają się interesujący.

- To jest prawda!

- To jest prawda, tyle że nie twoja. Ty jesteś prawnikiem, a prawnik nie siedzi w zamknięciu, tylko stoi na środku sali i wygrywa sprawy. W życiu nie widziałem żadnego filmu o cierpiącym prawniku, oni, co najwyżej, mają dylematy. Spektakularnie cierpią jedynie artyści.

- To jaaa - zawyła - też chcę być artystką... jakąś...

- Noo - powiedziałem - nie mówię, że nie możesz... W końcu pijesz, przeklinasz, porzuciłaś męża, wzięłaś sobie kochanka

i nie chodzisz do pracy... pomijając sztukę, rzeczywiście jesteś jakby, coraz bardziej... a nawet... Albo inaczej ci powiem, odrzucając przejrzały paradygmat modernistyczny, bardziej w nawiązaniu do sztuki współczesnej ci powiem. Pierzesz, prasu-jesz, jesteś supermatka - dokładnie to robią dziś artystki.

- Wiidzisz! - załkała, kryjąc uśmiech - wiedziałam, że nie jestem taka beznadziejna, tylko przechodzę... przechodzę...

- Przechodzisz - dokończyłem - ale jakoś przejdiesz!

Wyciągnąłem paczkę chusteczek i pomyślałem, że w obliczu jej rozpadającej się osobowości, moja własna konsoliduje się i staje sprężysta jak powleczonego twardym skajem gumowy materacyk. A moja dziewczyna będzie teraz ćwiczyć sobie na nim do woli - aerobik, sumo, szaleństwo.

Szlachetny cel i Browary

Szedłem sobie do firmy na piechotę, bo skoro i tak byłem już spóźniony, to pomyślałem, że chociaż się dotlenię. Był porażająco piękny dzień - słońce iskrzyło na świeżym śniegu i wiedziałem, że na wiele spraw przyjdzie mi jeszcze przy-
mknąć oczy. Bo przemiana wewnętrzna czasami dokonuje się pod wpływem czynników zewnętrznych. Raz dwa. I nawet utrwalona niedojrzałość może okazać się stanem przejściowym - po prostu przychodzi taki dzień, że Piotruś Pan staje się panem Piotrusiem i cała jego chłopięcość sprowadza się do dobrej komunikacji z dziećmi. Trochę żal! Wydaje ci się, że dokąś zmierzasz, o coś tam walczysz, wywijasz chorągwiemi, ale wystarczy na moment, na ułamek sekundy zamknąć oczy, a kiedy znowu je otwierasz, widzisz siebie stojącego w kolejce na pocztę, żeby zrealizować awizo. Oddychasz ciepłym powietrzem i rozpinasz kurtkę, a flaga, którą niosłeś, powiewa z daleka od ciebie. To albo inne metafory - co za różnica? Kiedy zaczynasz mówić prozą, liczy się struktura. Zrozumiałem, że Natalia potrzebuje faceta silnego jak Petrus i jeżeli chcę z nią

być - muszę zmusić swoje molekuły do ruchu w drugą stronę, jak w tej koncepcji z kotem, co po otwarciu worka materializuje się dowolnie, żywy albo martwy, w zależności od przypadku. Słaby - strzałka - Mocny. Uwzględnia wymogi rzeczywistości, odbiera listy polecane.

Poczucie odpowiedzialności wypełniało mnie po koniuszki palców.

Za siebie, za nią, za jej dziecko. Za cały pokręcony świat.

Mało brakowało, a o psie bym zapomniał!

Stałem na tej poczcie i stałem, i stałem, i strasznie chciało mi się usiąść i na siedząco, umyślowo, popracować. Do biura mi się chciało i z kawką za biurko. Pracować, pracować, pracować... dopóki mam pracę. Chyba mnie pogięło, żeby tak na etacie, przed południem, na pocztę sobie chodzić. Ale kreatywny nawet w tramwaju może doznać iluminacji!

Zadzwoiłem do firmy, że będę już zaraz, za pół godzinki, i mam nowy pomysł, który nie dotyczy mnie.

- Chodzi o to - powiedziałem Bartkowi - że sposób, w jaki patrzymy na zjawisko bezrobocia, jest nienowoczesny i politycznie niepoprawny. Bezrobotny kojarzy się nam z otyłym facetem koło pięćdziesiątki, który ogląda powtórki przegranych meczy, popijając piwo w rozdeptanych pantoflach, i sam jest sobie winien. Upraszcza, oczywiście. Pantofle wcale nie muszą być takie znów rozdeptane. Jednak w odniesieniu do starszych i młodszych członków społeczeństwa, obojga zresztą płci, bezrobocie jest postrzegane jako stan beznadziejny. Zakłada się, że dla jednostek operatywnych to jedynie etap, krótka przerwa, którą przeznaczają na podniesienie kwalifikacji, niemalże kolejny stopień na drodze kariery. Co jednak z tymi, którzy są operatywni, kwalifikacje zawodowe, i owszem, podnoszą, a roboty i tak dla nich nie ma? I tego stopnia kariery kolejnego pokonać nie mogą!

- Noo - westchnął Bartek, to fakt. Ale do czego zmierzasz?

- I gdybyś tak ty, tylko hipotetycznie, miał kogoś zatrudnić, to co?

- N o ?

- To wolałbyś raczej kogoś, kto aktualnie pracuje w innej agencji, albo rzeczywiście absolwenta, niż kogoś, kto od pewnego czasu jest bezrobotny, nie?

- Fakt. Ale do czego...?

- Bo jak bezrobotny, to znaczy coś nie tego?

- No jakby.

- Niby wszystko ma, doświadczenia, wykształcenie, motywację, ale rozważmy to wszystko w drugiej kolejności, tak?

- Ty, Marek! O czym my rozmawiamy? To znaczy, czy my tu rozmawiamy o stereotypach, czy o tym, że ja stereotypowo myślę?

- O kampanii! Rozmawiamy tu o kampanii, która stworzy zupełnie nowy wizerunek bezrobocia i bezrobotnych. Zamiast wstydu i poczucia bezradności - duma i spektrum!

- Jakie znowu spektrum?!

- Możliwości! Spektrum możliwości jest moim ulubionym związkiem frazeologicznym.

- Spektrum? Na zasiłku?

- To złe słowo jest! Nazewnictwo trzeba zmienić. Zamiast zasiłku powinna być dotacja, rozumiesz, jak na projekt. Zasiłek uwłacza, a dotacja jest tak bardziej na rozwój.

- Jasne - powiedział Bartek - a zamiast bezrobotni, będziemy mówić: dyspozycyjni!

- Czy ja wiem - zastanowiłem się - może od razu, na przykład: omnipotentni! Bo o to mi się rozchodzi, że rosnące kadry świetnie wykształconych bezrobotnych są naszym narodowym potencjałem, materiałem eksportowym i w ogóle przyszłością.

- Kumam - kiwnął głową - bezrobotny może się załapać, bo jest gotów chwycić się wszystkiego.

- Albo... - myślałem na głos - zaangażowani inaczej, nie, może po prostu... wolni...

- Chciałbyś - przerwał mój szef w końcu - pójść w reklamę społeczną? Tak? Kampania na telewizję i nośniki zewnętrzne? Cel oczywiście szlachetny, tylko jeden minus widzę. Kto miałbyście miałyby płacić za to wszystko? Z czyjego niby budżetu mielibyśmy wziąć na ten wizerunek?

- Nooo - wyjaśniłem mu wyczerpująco.

- No, no?

- No... zastanówmy się... ktoś na bezrobotnych zarabia przecież... Bo ja wiem, może koncerny tytoniowe złożyć by się mogły?

- A to z wizerunkiem zgodne?

- Nooo - nie poddawałem się - a może prywatne stacje telewizyjne?

- Jasne! Bo bezrobotni ciągiem przed telewizorem siedzą, to wiem!

- Tak - zasmuciłem się - dla wizerunku to raczej fatalne.

- Sam widzisz. Piwo, telewizja, tytonie - wszystko odpada! A przecież to oni na bezrobotnych cheszają kasę. Co innego, gdybyś zrobił kampanię o tym, że bezrobocie fajne jest, bo można siedzieć przed telewizorem, z piwem i czipsami, bez ograniczeń czasu i rozsądku. Tyle że wtedy wizerunku nie zmieniasz! Ugruntowujesz go.

- Prawda - westchnąłem pod ciężarem społecznej odpowiedzialności. - Ale gdyby powiedzieć, że od tej telewizji i piwa, taki bezrobotny nie tyle wyjąłowy jest, co zrestartowany? Gotów na nowe wyzwania? Spragniony dawki adrenaliny? Na przykład tak: „Twoje kadry są przemęczone? Zatrudnij wypożyczonych!”.

- Hm, to jest jakiś kierunek... Tyle że taka reklama adresowana jest do zarządzających, czyli wąsko... za wąsko jak na telewizję. A producentom piwa nie chodzi przecież o to, żeby bezrobotni przestali pić i wzięli się do roboty.

- Nooo, ale jak oni dostaną pracę, to kto inny straci.

- Fakt.

- Ważne, żeby bezrobotni poczuli, że to, co ich spotyka, to nie jest jakaś kara, tylko niemal luksus.

- Że luksus?!

- No tak. Bezrobocie jako czas dojrzewania pomysłów i zbierania sił, bezrobocie jako zasłużony urlop i normalnie higiena.

- Że higiena?

- A tak, higiena pracy, najzwyczajniej. I pomyśl tylko, Bartek, jak to świadczy o naszym rządzie!

- Jak świadczy?

- No bo kraj, który jest w stanie utrzymać, znaczy dotać, tylu bezrobotnych, to jest państwo bogate, jak przysłowio-
wa Szwecja, opiekuńcze.

- Ty, Marek - Bartek wstał i otworzył okno - ty kandydować
powinieneś. Z taką pokrętną logiką ty w polityce karierę robić
powinieneś i wypasione posłanki ciągnąć za warkocz. Reklama,
bracie, tego nie uniesie. Reklama, nawet gdy na emocjach
oparta, to jednak racjonalna jest!

- Bo widzisz - nie dałem się wytrącić ze stanu twórczego
uniesienia - ja bym nasze bezrobocie polskie na EXPO wysta-
wił, jako dobro narodowe. Nawet się zastanawiam, czy taka
kampania to nie powinna być wręcz z państwowego budżetu
fundowana?

- Jasne - kpił sobie mój szef krótkowzroczny z moich wizji
dalekosiężnych. - Od służby zdrowia można by pożyczyć tro-
chę.

Zadzwoił telefon i przerwaliśmy, żeby Bartek mógł spokoj-
nie zdecydować, czy powinien rozmawiać z tym kimś, kto wła-
śnie znalazł się na linii.

- Chwileczkę - zmodulował wirtualną sekretarkę i przyci-
snął na hold. - Jasna cholera, Marek, dzwonią Browary!

- Te Browary?!

Wziął głęboki oddech i swoim już głosem powiedział do słu-
chawki halo, robiąc przy tym dziubek. Odkąd zamieszkał
z Czekoladową Suka, do wszystkich klientów miał stosunek
poniekąd seksualny. Rozumiałem to, bo i mnie telefon z Bro-
warów podniecił momentalnie. Od miesięcy marzyliśmy o tym,
żeby dmuchnąć im w piankę.

- Przetarg - powiedział bezgłośnie w moją stronę, potwier-
dzając nadzieje i obawy równocześnie.

- Przetarg? - zapytałem, gdy skończył. - Na kiedy?

- Na pojutrze. Jedna agencja wycofała się w ostatniej chwili
i możemy wskoczyć na ich miejsce.

- To super! A możemy wskoczyć na ich projekty?

- No, co? - wzruszył ramionami - dwa dni czasu, a koncep-
cję już mamy.

- Niby jaką?

- Zajebista! Powiedziałbym, gdybym nie był tu szefem. Twoi bezrobotni będą jak znalazł.

- Nooo - zastanowiłem się nad aspektem etycznym, ale mój skorumpowany umysł jechał już swoim torem - rzeczywiście, to by się poskładało. I pozycjonując piwo w taki sposób, mówimy ludziom, że jest tanie,

- Oczywiście! Może nie zmieniamy wizerunku bezrobocia, ale kształtujemy styl życia! Pomagamy ludziom czerpać radość z faktu, że nie mają pracy i mogą chlać tanie piwo na okrągło. A ponieważ bezrobocie nie maleje, to sprzedaż będzie rosła! Ty, Mareczku, jesteś jednak paradoksalnie genialny.

- Owszem - przytaknałem - paradoksalnie. - Wypaczasz moją szlachetną ideę, ale przynajmniej będę miał z czego zapłacić za prąd. Oraz sery i oliwki. I za łososia, mam nadzieję, też!

- Ale, Marek - poklepał mnie po ramieniu - nie wypaczam! Dzięki tobie postać bezrobotnego pojawi się w bloku reklamowym, w dobrych godzinach wieczornych. Podobnie jak postać lekarza, biznesmena, czy gospodyni domowej. Kupujesz? Jak pełnowartościowy członek społeczeństwa konsumpcyjnego!

- I pokazujemy zadowolenie?

- Płynące z piwa, oczywiście.

- „Gdzie gorycz, tam słód!” - powiedziałem, co pisało mi się w głowie. - „Wpioniony? Wrzuć browar!”.

- Doskonale - zatarł ręce mój szef. - Ale jeszcze nad tym popracuj. Nie musisz śpieszyć się aż tak.

Kształt koncepcji

Na prezentacji w Browarach mieliśmy zjawić się punktualnie i silną grupą. Grupa załapała grypę, a my z Mikołajem zgubiliśmy się pod Katowicami i dojechaliśmy pół godziny po czasie. Konkurencja była już po i teraz palili sobie na powietrzu i zerkali na nas z pogardą. Sądząc po butach, musieli być z Warszawy. Oceniając grubość podeszwy wnioskowałem o stopie.

- Dobrze, że jesteśmy na końcu - szepnął Mikołaj. - Zarząd jest już znużony fajerwerkami i gotów skupić się na treści.

Przeprosiliśmy za spóźnienie i pośpiesznie rozkładaliśmy sprzęt, a asystent prezesa proponował nam coś do picia w tak wyszukany sposób, jakby zamierzał któregoś z nas przelecieć. Zgodnie wybraliśmy piwo zamiast kawy i członkowie zarządu przyjęli to z aprobatą. Mściwie pomyślałem, że ekipa przed nami ani chybi postawiła na kawę. Nie wyglądali na nawalonych, znaczy zlekceważyli produkt i klienta. My z Mikołajem zaczęliśmy bełkotać już przy charakterystyce rynku. Prezentacja linii kreatywnych poszła nam za to całkiem płynnie, bo wtedy bełkotał już sam prezes. To cudowny pomysł, urządzać prezentację w piątek po południu. A linia z bezrobotnymi po prostu ich powaliła.

- Mój szwagier - powiedział dyrektor finansowy - jest bez pracy już drugi rok.

- Ja sam - dodał prezes - mam za sobą pewne doświadczenie w tej sprawie. Dwa lata próbowałem upchnąć gdzieś zięcia i nie było to łatwe, mimo znajomości.

- Tak - asystent w zamyśleniu głąaskał się po brodzie - ta koncepcja przemówiłaby do ludzi z mojego pokolenia.

- Świetnie - podsumował prezes - dopracowane pod względem marketingowym, a teraz jeszcze chcielibyśmy zobaczyć modelki.

- Modelki? - wytrzeźwiliśmy w sekundzie.

- No chyba w tej reklamie będzie jakaś dziewczyna, to znaczy... koło bezrobotnego? Bo niby kto przynosi nasze piwo? - zirytował się dyrektor handlowy?

Mikołaj spojrział na mnie błagalnie. Bez dwóch zdań, ten wózek bez baby nie mógł daleko zajechać.

- Przygotowaliśmy kilka propozycji - skłamałem, żeby zyskać na czasie. - To jednak dopiero wstępny etap i casting...

- Tak, tak?

- To znaczy... - modliłem się o jakąś drobną katastrofę, wizytę urzędu skarbowego albo małą bombkę.

- T a k ?

- Na razie... nie tyle wybieraliśmy twarze... - ujrzałem promień światła przebijający się przez zachmurzone niebo i, błą-

dząc palcem po myszce, wertowałem zasoby mojego notebooka - nie tyle wybieraliśmy twarze, co...

- Co? - ponaglił finansowy.

- Co... - starłem krople potu z czoła i kliknąłem w ikonkę - ciała! Na etapie wstępnym castingu skoncentrowaliśmy się głównie na kształcie pośladek... potencjalnej modelki. To oczywiście, panowie rozumieją... egzemplifikacja... implikacji... kształtu butelki i poniekąd... eee... sublimacja... a nawet transfer...

W końcu trafiłem na właściwe zdjęcie i pupa Natalii zmateriałizowała się na pełnym ekranie, wprawiając zarząd w osłupienie graniczące z ekstazą. W milczeniu otwierałem kolejne zdjęcia. Na jednym widać było nawet trochę twarzy, ale z profilu.

- No - zadławił się prezes - watorskie podejście, co by nie mówić. Ja, niestety, muszę przeprosić, ale ważny telefon mam. Proszę kontynuować - krzyknął i wypadł, trzaskając drzwiami.

- Założę się - Mikołaj prychnął mi do ucha - że poleciał do łazienki. Pięknie, stary!

Wyjechaliśmy z poczuciem zwycięstwa, żegnani porozumiewawczymi uśmiechami i serdecznymi uściskami spoconych rąk. Dyrektor handlowy odciągnął mnie na bok i musiałem mu obiecać, że przekażę tej pani od kształtu szczere wyrazy szacunku i jego wizytówkę.

- Od copywritera do sutenera - zaśmiał się głupio Mikołaj i nieomal dałem mu w mordę.

- Lepiej pomyśl, jak wpakować ten tyłek do scenariusza.

- Co się martwisz - machnął ręką. - Wiadomo, jak to się skończy. Bezrobotni wylecą, a tyłek zostanie.

- No - watorskie - zacytowałem prezesa. - Nie miałem wątpliwości, że tak właśnie się stanie. O dupę rozbić całą tę reklamę.

- A może twoja Natalia naprawdę powinna wygrać ten casting? Jeden dzień zabawy na planie i całkiem przyjemna sumka.

- Nigdy - powiedziałem z przekonaniem - by się na to nie zgodziła!

- Aha, to przepraszam - uśmiechnął się Mikołaj. - Może jednak dasz jej szansę się nie zgodzić, co? Bo ta pupa jest napraw-

dę wyjątkowa. Jak taki cienias poderwał taką fajną dziewczynę, pojęcia nie mam!

- Zazdrościsz mi.

- Troszeczkę - przyznał. - Nie jest łatwo być monogamistą po czterech piwach i w dodatku w piątek.

- Słowo daję, Mikołaj, na tobie też zdjęcia te zrobiły wrażenie!

- Przypadkiem niezły z ciebie fotograf. W każdym razie lepszy fotograf niż poeta.

- Taaa - skomentowałem. - To umiem. Najpierw trochę popatrzeć, a potem kilka razy pstryknąć.

Do domu wróciłem z tarczą! Odstawiłem ją w korytarzu, żeby nie nanieść żelastwa. Kobieta czekała na mnie i podgrzewała zupę. Opowiedziałem jej, jak było, od początku, do samego końca. Tylko tej wizytówki nie chciałem jej dać.

- No i co? - zapytał Mikołaj nazajutrz.

- I zgodziła się! Wyobrazasz sobie?!

Natalia nie tylko zgodziła się wystąpić w reklamie, ale niemal się na to uparła. Jako prawniczka nie chciała pokazywać twarzy, ale co do reszty, nie dojrzałem w niej, niestety, nawet cienia pruderii. Szkoda, ale trudno. Nie była to w końcu sesja do „Playboya”. Jej doskonałe ciało stanowiło jedynie doskonałe (i anonimowe) tło dla butelki, no i to ja byłem autorem zdjęcia. Gaża dla modelki, gaża (skromna) dla fotografa i gaża dla reżysera filmu, który zresztą na co dzień uprawiał kino artystyczne i zdobywał nagrody na międzynarodowych festiwalach, a reklamy kręcił jedynie po to, żeby zarobić sobie na bilet. Mój szef i klient - wniebowzięci, moja dziewczyna także w siódmym niebie.

- Kto wie - pocałowała mnie, rozpraszając ostatnie wątpliwości - może zrobię karierę fotomodelki?

- Fotomodelki?

- N o !

- Karierę!?

- Albo dostanę rolę w filmie? Jestem przecież bezrobotna, wszystkie castingi stoją przede mną otworem.

- Może i dostaniesz - westchnąłem i pomyślałem, że rozwiedziona kobieta z dzieckiem jest ikoną współczesnej przedsiębiorczości i samotni faceci, jak ja, powinni klękać przed nią na, jak to mówią, kolana.

Banany (albo ładunek treści)

Nasza reklama wchodziła do telewizji, a my biegaliśmy na spotkania z kolejnymi klientami, próbując zdobyć nowe pieniądze. Firma Natalii zwróciła się do niej z propozycją, żeby im wybaczyła i objęła swoje stanowisko jeszcze raz. Mieli na głowie kilka spraw sądowych i zaufani prawnicy byli im niezbędnymi. Przyjęła ofertę i udało jej się wynegocjować warunki lepsze niż poprzednio. Znowu zaczęło się układać, przestaliśmy martwić się o forszę i nie było o czym gadać na imprezach. Ponieważ wszystkim innym układało się źle. Dwie dobre pensje, obsługiwany jej kredyt na mieszkanie i mój samochód spłacany regularnie - poczułem się jak wyrzutek społeczeństwa. Moi kumple mieli wyłączone komórki, a ja mogłem dzwonić, dokąd chciałem. Kupowałem nowe książki i oryginalne płyty. W restauracjach zamawiałem pełne dania i nie oszczędzałem się w knajpach. I codziennie mijałem na ulicy bezrobotnych, którzy wcale nie wyglądali na onnipotentnych. Raz chciałem zrobić coś dobrego w reklamie i skończyło się na tym, że zrobiłem dobrze sobie. Moje życie z dnia na dzień stawało się nijakie. Nie, żeby wcześniej było takie znowu jakieś, ale... Opuściłem pozorowanie działań artystycznych, nie zostałem dobroczyńcą ludzkości, spędzałem popołudnia na spacerach z psem, uprawiałem regularną i bezpieczną miłość. Poddałem się dynamice chwili, ale czas się zatrzymał, chwila stała wiecznością i znowu czułem, że zapadam się w materacu. Wciąż byłem zakochany w Natalii, po prostu sam sobie nie wydawałem się fascynujący i czułem, że tępi mi się dowcip. Na dodatek w firmie też wszystko było w porządku, co najwyżej drobne wpadki, małe

zlewki, ale żadnego odświeżającego potopu. Coś jakby normalność. Nuda i cisza. Ledwie zauważalny szmerek gospodarczego wzrostu - wiaterek w wątych listeczkach budzącej się nadziei i świergotanie gazet o poranku.

Nadeszła niedziela. Za oknem, w słońcu, falowało rozgwieżdżone niebo i wszystkie radia nuciły *Ode do radości*, fałszując niezauważalnie. Jak zapach kawy Jacobs, snułem się po mieszkaniu.

- Cieszysz się synu - zadzwoniła do mnie matka, żeby zapytać jak się czuję.

- No - zabełkotałem - Europejczykiem, prawda, czuję się, nie od wczoraj.

- No właśnie! Tatuś to nawet się ogolił. Ale mnie dzisiaj strasznie nogi bołą.

- To nic - uspokoiłem ją. - Jak mają nie boleć. Całą noc wchodziliśmy do Unii.

Sięgnąłem po papierosy i strąciłem wazon. Pokwiatowa breja błyskawicznie wsączyła się w dywan.

- Co to za łoskot? - zapytała matka.

- Nic - mruknąłem, podnosząc wazon, odrobinę spękany, ale jednak w całości, i odstawiłem go na reprezentacyjne miejsce, w nadziei na nowe bukiety. - Nic. To tylko cena whisky spadła w końcu. A za nią polecą metaxy i johnywalkery - rozmarzyłem się na całego.

- Tak - usłyszałem westchnienie - alkohol potanieje, ale co będzie z mlekiem?

- Ano - zadumałem się - co dawniej mlekiem i miodem, to dzisiaj wódką z lodem... Europo, ojczyzno moja...

- No - przerwała - w każdym razie tatuś ogolony!

Zakwitały jabłonie i grusze, a sprawa kampanii społecznej nadal nie dawała mi spokoju. Stopa bezrobocia najwidoczniej nadepnęła mi na odcisk. Czułem za plecami tłum i czułem, że ten tłum popycha mnie do działania. Po otwarciu granic, co prawda, przerzedził się nieco, ale nadal pchał. Deptał mi po piętach i nawoływał milcząco. Podrzucał mi hasła. „Nędza bo-

gactwa", „niewola wolności", „bezsilność na zasiłku" - same oksymorony! Im bardziej próbowałem być z boku, tym bardziej wysuwałem się na czoło. Co kurczę? Konrad 2004? Za miliony - bez grosza - cierpię i przeżywam katusze? No! A czy ja muszę? Ja? Wyalienowany egoista - angażować się mimo woli? A może to zwyczajnie organizm domagał się jakiej nowej idei do zafiksowania, może zwyczajnie byłem neurotykiem, może czułem, że mój czas się kończy, że omnis moriar, ani chybi... A przecież nie umiera się w reklamie.

Jak dawniej, zacząłem wychodzić sam do miasta, żeby upić się trochę w obcym towarzystwie. Bo znajomi i przyjaciele nasłuchali się już dosyć o moich niezrealizowanych planach i nie brali na poważnie tego, w co ja sam zdążyłem już zwątpić. Za to kiedy troszkę się nawaliłem, wciąż mogłem epatować swoją osobowością obcych. Odkąd zacząłem zabierać do knajp Wraka, stałem się rozpoznawalną osobą i barmanki witały mnie serdecznie. Faceci, którzy przesiadywali tu codziennie, z braku innego pomysłu i zajęcia - zaczęli mówić mi cześć! W odróżnieniu od nich, przynajmniej miałem psa. No i w końcu wygrałem kiedyś slam! No i pracowałem w reklamie. Miałem dwie zdrowe ręce i nos na środku twarzy, więc w gruncie rzeczy prezentowałem się całkiem nieźle. Nie byłem aż tak zblazowany, żeby odstraszać samotne dziewczyny. Nie byłem takim kowbojem, żeby nie gadać z samotnymi facetami. Poczucie pustki sprawiało, że otwierałem się na pustkę innych, ciągle liczyłem na jakąś inspirację. Z rzadka chodziłem nadal na wernisaże albo imprezy literackie, żeby zobaczyć, czy ktoś jeszcze tam jest. Mityczny Ktoś, kogo warto byłoby poznać, ktoś, kto miałby powód, żeby chcieć poznać mnie. Patrzyłem na ludzi jak na trampoliny - oceniałem, czy znajomość z nimi pozwoli mi się odbić i wykonać skok, i wypłynąć. Miałem wrażenie, że cały ociekam tą sztuką, tymi ideami, które nijak nie chciały się ukonstytuować. W ciepłym, nikotynowym oddechu bram, ubranie wysychało na mnie, robiło się sztywne i moje ruchy wyglądały na pewne, zdecydowane, celowe. Dopiero wtedy wchodziłem do środka. Miasto było giełdą, na której

chciałem sprzedać z zyskiem swoje marne akcje, uciekając się do blefu.

- To jest Marek!

Dziewczyna w gorsecie z lakierowanej skóry, niezła brunetka, której imienia nie pamiętałem niestety, przedstawiała mnie właśnie swojemu kumplowi.

- Marek - potwierdziłem, wyciągając rękę.

- Jarek - zrymował na poczekaniu. - Podobno działasz coś interdyscyplinarnie?

- Eee - powiedziałem, klasyfikując go jako kretyna. - Pracuję w reklamie.

- Ale - przerwała dziewczyna - robi też zdjęcia i jest poetą. Wygrał slam! No wiesz... slam! Moja kumpela pracuje z nim w jednej agencji.

- Prosiaczek? - zapytałem.

- Nie, Aga! Nie pamiętasz, poznaliśmy się u niej na imprezie.

- Aga? No jasne - teraz zrozumiałem, skąd taki zasób informacji - jasne, że pamiętam, sorry, jestem trochę, no, rozkojarzony.

- Ja robię filmy - wtrącił Jarek - krótki metraż.

- Tak - przerwała znowu dziewczyna, najwyraźniej dumna z faktu, że siedzi przy barze z dwoma facetami, z których każdy coś robi. - Strasznie popieprzone filmy. Ostatnio nakręcił taki o babce klozetowej i ona przez cały film wpychała banany.

- W co? - zapytałem przerażony.

- W siebie! - zarechotał Jarek na całą knajpę. Pomyślałem, że można polubić kogoś, kto ma taki śmiech.

- W usta - wyjaśniła mi. - Przez cały film tylko siedzi w fartuchu i opycha się bananami.

- Przestańże już, Dorota! - powiedział i tym sposobem dowiedziałem się, jak w końcu jej na imię. - Facet pomyśli, że jestem jakimś pojebem.

- Nie jest pojebem - pokręciła głową. - Dostał nagrodę dla młodych twórców!

- Za te banany? - ucieszyłem się.

- Nie - wyjaśnił, za inny film, taki bardziej... o treściach...

- Jakich treściach - wzmogłem czujność.

- Społecznych... bardziej. Jeden taki żebrak mieszkał przez miesiąc u nas na klatce. To nakręciłem film, jak ludzie przez niego przechodzą. Rano, kiedy idą do pracy, i wieczorem, kiedy wracają.

- Mocne! - powiedziałem z przekonaniem. - To znaczy... to rzeczywiście coś znaczy!

Zamówiliśmy kolejną wódkę i byliśmy kumplami. Jarek palił w napięciu i widziałem, że ma ochotę na twórczą dyskusję.

- Ja lubię kręcić filmy. Lubię kamerę, wiesz. Tylko ze scenariuszami problem mam. I czasami wychodzą mi takie banany. Chciałbym ludziom powiedzieć coś... naprawdę. Tyle, że czasem po prostu nie wiem, co powiedzieć, rozumiesz?

- Jarek - zasunąłem głosem brzuchomówcy - a nie myślałeś, żeby nakręcić taki film, o bezrobotnych... ale z innej strony, żeby pokazać, że nie wszyscy, a raczej, że wielu... albo że są tacy, których stać... na wiele. Chodzi mi tu o taki nowy... wizerunek... - dodałem i utknąłem.

- Dobrze - zamyślił się. - I treściowo naładowane. Ale musiałbyś mi, stary, podrzucić jakiś scenariusz. Musiałbym wiedzieć, rozumiesz, co taki bezrobotny miałby robić, w tym filmie.

- Wiesz, co - wyprostowałem się na barowym stołku, ryzykując upadek - podrzucę ci, z przyjemnością.

- Suuuper - pisnęła dziewczyna, której było na imię Dorota. - To zamawiamy jeszcze coś? Aga nic mi nie mówiła, że jesteś także scenarzystą!

Wzruszyłem ramionami. Właściwie, czemu nie? Czy to mało napisałem się w życiu scenariuszy? Do reklam?

Projekt Paranoja

Nieczęsto się zdarza, że aliance zawarte przy barze wytrzymują próbę dnia. Właściwie nie zdarza się to nigdy. Jednak Jarek był konkretnym gościem i naprawdę kręcił filmy, a ja naprawdę miałem jazdę na tematykę społeczną.

Umówiliśmy się, że nie będziemy zakładać niczego z góry, żadnych zamkniętych scenariuszy, żadnego przesiania na dzień dobry. Mieliśmy tylko stworzyć ramy, w których obraz polskiego bezrobocia ukaże się w autentycznych barwach i odcieniach. Skupiliśmy się na wyborze bohaterów. Chciałem, żeby byli to ludzie z różnych środowisk, mężczyźni i kobiety, o różnym statusie i wykształceniu, jednak w konfiguracji odzwierciedlającej rzeczywiste statystyki urzędu zatrudnienia. Liczyłem na portret zbiorowy, będący, jasna rzecz, czymś więcej niż sumą portretów indywidualnych.

- Babę z bananami damy na końcu, czy na początku? - zapytał Jarek, ale domyśliłem się, że to żart. Mógł być, w każdym razie.

Dziewczyna, która przyjęła nas w urzędzie zatrudnienia, miała długie czarne włosy i grzywkę zasłaniającą oczy. Ubrana była również na czarno, pewnie żeby dodać otuchy petentom. Kiedy okazało się, że nie szukamy pracy, tylko bezrobotnych, jej surowa twarz poróżnowiała i w spojrzeniu pojawił się błękit.

- Do filmu? Dokumentalnego? Ale ja - znowu zszarzała - nie mogę panom nikogo polecić ani udostępnić adresów, w żadnym wypadku, telefonów tym bardziej nie, panowie rozumieją, to jest urząd. Statystyk także nie mogę udostępnić, ale na moje oko statystyki stoją na korytarzu.

- Czyli ludzie? - upewniłem się. - Sugeruje pani, żeby po prostu zagadać?

- A, właśnie - ucieszyła się, że może jednak być jakoś pomocna.

- A, to dziękujemy - ukłoniłem się i wypadliśmy na korytarz, pośpiesznie redefiniując założenia wstępne.

Wmieszałem się w tłum.

- Przepraszam - zagaiłem do pierwszego z brzegu faceta koło czterdziestki. - Pan może szuka pracy? Bo my właśnie...

- Nie, nie - odparł pośpiesznie - ja tylko po pieczętkę.

Stojący najbliżej odsunęli się jak najdalej i spoglądali z narastającą wrogością.

- A przepraszam - zwróciłem się do ufarbowanej na platynowo kobiety z siatami - pani może jest bezrobotna? Bo...

- A gdzie tam, panie - odparła oburzona - ja jestem tylko w sprawie urzędowej!

Tłum zaczął wykazywać oznaki paniki. Mężczyźni przepychali się w kierunku drzwi, tratując się nawzajem, ignorując nawoływania nielicznych żeńskich głosów, które domagały się pierwszeństwa i wprawiając w konsternację skacowanego pracownika ochrony.

- Uważaj pani! - krzyknął ktoś w stronę naszej rozmówczynie - do dokumentu szukają, hieny jedne!

Kobieta splunęła w naszym kierunku i ruszyła do wyjścia.

Spojrzelśmy po sobie, dzieląc absolutną pewność, że w urzędzie do spraw zatrudnienia, to my żadnych bezrobotnych nie znajdziemy. Być może w jakichś innych urzędach, ale na pewno nie tu!

- A może oni wszyscy wyjechali?

- Na Eurotour, myślisz?

- No może tak być.

- Może - przytaknąłem - tak być, że my po urzędach szukamy, a kwiat naszego bezrobocia siedzi gdzieś na times skwerach i krzewi ponadczasowe wartości chrześcijańskie, umacnia wiarę w cudowne rozmnożenie posad i że ostatni, prawda, będą pierwszymi już wkrótce.

Usiedliśmy w najbliższej knajpie, żeby wypić kawę i przedefiniować założenia jeszcze raz. Kelnerka w obcisłym swetrze i ordynarnym makijażu gapiła się nas obojętnie i ani jej przez myśl nie przeszło, żeby podejść.

- Czy, przepraszam - krzyknąłem - poda nam pani dwie kawy? A może zna pani kogoś bezrobotnego?

- Ekspres się nie nagrzał jeszcze - odkrzyknęła. - Znam samych bezrobotnych, a co?

Zerwaliśmy się na równe nogi i stanęliśmy przy obitej sklejką ladzie.

- Do filmu - powiedzieliśmy równocześnie - szukamy!

- Mój stary - westchnęła - i szwagier, i szwagierka, i ta dziewczyna, co pracowała tu do przede mną.

- Cudownie - powiedziałem - fantastycznie oraz bardzo mi przykro, oraz bylibyśmy wdzięczni, gdyby mogła nas pani, na przykład umówić z...

- Starym moim?

- Tak jest, a najlepiej od razu jeszcze ze szwagrem i szwagierka.

- Mogę - powiedziała - telefon panu podać, pan spróbuje zadzwonić, ale jego trudno zastać.

- Starego - dopytał Jarek - znaczy męża?

- I szwagra też. Późno wieczór najlepiej będzie.

Do głowy by mi nie przyszło, że tak trudno jest złapać kogoś, kto jest bezrobotny, a kiedy w końcu to nam się udało, okazało się, że umówić się to już po prostu nie sposób. Stary kelnerki miał zachrypnięty głos i nazywał się Roman Golański.

- Golański - podkreślił, nie Polański. - W filmie takim ja bym wystąpić mógł, nawet nie o to chodzi, że darmo, ale widzisz pan, normalnie czasu nie mam.

- Zaraz - musiałem coś tu wyprostować - ale czy ja dobrze zrozumiałem, że pan aktualnie nie pracuje?

- Ha! - powiedział. - Nie pracuję, owszem, bo, owszem, bezrobotny jestem, ale widzisz pan, nagranie za nagraniem mam.

- Nagranie?

- No *Droga do gwiazd*, *Rozmowy w toku*, inne takie. Na okrągło siedzę w tej telewizji. Na film już mi po prostu czasu nie starczy. Jak pan chcesz, zadzwoń pan do szwagra, ale on też zajęty człowiek. Odkąd jest na bezrobociu, bidak na dwie zmiany robi.

- A szwagra żona? - spróbowałem. - Bo ona podobno też?

- Daj pan spokój! Szwagierka? Jaka ona tam bezrobotna, ciurkiem u fryzjera siedzi albo na solarce. Z nią to byś pan nakręcił film, ale o przemyśle kosmetycznym, co najwyżej!

- Tak. To dziękuję. Dziękuję i przepraszam. Wszystkiego dobrego.

- I panu również. - Wychrypiał i odłożył słuchawkę.

Poczułem się, jakbym zjeżdżał windą w dół. Motywacja spadała, a niechęć brała górę. Tematyka społeczna to coś dla wytrwałych, najwyraźniej. Z castingiem do reklamy nie ma aż tylu kłopotów.

- Trzeba jakoś inaczej. - Jarek zamierzał powiedzieć coś konstruktywnego. - Może przez gazetę jakąś dałoby się takiego bezrobotnego namierzyć. Jak tak bez przerwy o tym piszą, to muszą kogoś znać. Może udostępniliby nam jakąś tą... bazę danych?

- Sam już nie wiem. Może wymyślają.

- Marek! - przywołał mnie do porządku. - Wymiękasz na starcie?

Zadzwoniliśmy do kilku gazet, dwóch codziennych i jeszcze do paru tygodników. Przebiliśmy się przez agresywne sekretarki i naraziliśmy się na agresję redaktorów. Zmowa milczenia. Żadnych personaliów, żadnych adresów, możemy - powiedzieli - zostawić, co najwyżej, numer telefonu, a nuż ktoś się z nami skontaktuje. Odniosłem wrażenie, że dane bohaterów reportaży są pod ścisłą ochroną, i zapewne chodziło tu nie tyle o ochronę ich personalnego dobra, co dobra redakcji. Bezrobotni, podobnie jak zdradzane żony, wielokrotni przestępcy, ofiary molestowania seksualnego i lekarskich błędów, byli po prostu żyłą złota dla wszystkich tych gazet. A tam, gdzie pierwszą zasadą jest rywalizacja, nie ma sensu prosić o pomoc. Każdy poszukiwacz złota musi radzić sobie sam.

Zasugerowałem Jarkowi, żeby spróbować w środkach komunikacji miejskiej.

- Posłuchamy - zaproponowałem - co ludzie mówią i nie ma siły, na pewno na jakiegoś bezrobotnego trafimy.

Trafiliśmy z punktu! Już na drugim przystanku wsiadło czterech dresiarzy, co do których byliśmy pewni, że nigdzie nie pracują.

- Bardzo panów przepraszam - odezwałem się, narażając życie - ale kręcimy z kolegą taki film, dokumentalny o... młodych ludziach... z miast... i... w ogóle... na temat szans... polskiej młodzieży... w warunkach... bezrobocia...

- A - kiwnął łysą pałą pierwszy z prawej - gruba rzecz. Trzeba robić takie filmy, że tego... syf jest... dookoła, nie?!

Tyle że to nie my. Nie z nami. My, pojmujesz koleś, biznesmeni jesteśmy.

- O - zdziwił się Jarek, ryzykując śmierć w mękach lub analny seks na następnym przystanku - biznesmeni? A z branży?

- A świnię - zachichotał najmniejszy - świnki eksportujemy do zachodnich krajów!

Tramwaj stanął i wyskoczyłem, ciągnąc Jarka za sobą, ratując nam obu tyłki albo życie.

- Spanikowałeś - wysapał i chyba miał rację, bo biznesmeni przyjaźnie zamachali nam na pożegnanie.

Piechotą poszliśmy wzdłuż torów, w kierunku pętli. Był tam nieduży i tylko trochę śmierdzący bar, taka bezpretensjonalna osiedlowa kawiarnia, jak dla mnie - bijące serce Bronowie Nowych. Może już wspominałem? Nazywa się Paradiso. Parę razy piłem tam wódkę przy okazji zakupów, bo razem z colą kosztowała pięć złotych i było to o parę złotych miłej niż w mieście.

- Kiedyś - wyznałem Jarkowi - byłem tu z moim starym kumplem, który jest komornikiem, to znaczy był, bo go wypierdolili.

- Zaraz - odreagował błyskawicznie - czyli teraz na bezrobociu jest?!

- O kurde! Chyba tak. Ale nie mam nawet do niego telefonu. A może mam?

No i miałem. Nie pod Olo ani nie Oleski, nie pod komornik, ale zapisałem numer do Ola pod hasłem: Nakaz zapłaty. Na wypadek, gdybym się nie wywiązał. Jak siedziałem, tak zadzwoniłem!

- Olo? No cześć. Tu Marek. Słaby, tak. U mnie nie najgorzej, a ty co? Znalazłeś pracę? Nie? To super! Znaczy, patrz, kurwa! A nie wyskoczyłyś na piwko? Bo właśnie siedzimy tu sobie z kolegą jednym w tym barze, cośmy to ostatnio się spotkali, i tak pomyślałem o tobie?

Olo nie miał nic przeciwko temu, żeby wyskoczyć, zwłaszcza że miał dwa kroki. Trochę zgłupiałem na jego widok, ponieważ Olo wyglądał świetnie. Schudł, przestał się pocić, walnął sobie gustownego języka i powiedział, że tak właściwie to nie pije, no może jedno albo dwa. I miał na sobie nowiutką, jasnobrązową

skórę, i buty, które wyglądały, jakby przed chwilą zdjęto je z wystawy.

- No to koniec - szepnął Jarek i zwiesił głowę.

- Co chłopaki - huknął mój stary kumpel w nowym wystroju - co takie smutne miny macie?

- A, Olo - postanowiłem nie ściemniać, tylko wywlec mu całą beznadziejną prawdę - zadzwoniłem do ciebie, bo byłeś bracie naszą ostatnią nadzieją, ale jak cię zobaczyliśmy, to już żadnej nadziei nie mamy! Chcieliśmy z Jarkiem zrealizować taki projekt, film, krótko mówiąc, nakręcić, o ważkiej tematyce społecznej.

- O komornikach? - zjeżył się wyraźnie.

- Nie, nie! O bezrobotnych, o tym, jak szukają pracy, jak się doszkalają, jak sobie z frustracją radzą, jak żyją, generalnie.

- N o i?

- No i jest tak, że żadnego normalnego bezrobotnego znaleźć nie możemy. Wszyscy, na których trafiliśmy, strasznie są zajęci. I chyba także zadowoleni całkiem, A jak na ciebie patrzę i tę twoją skórzaną kurtkę, to całkiem już nic nie rozumiem. Bo wygląda, że powodzi ci się na tym bezrobociu, jak mało komu na etacie.

- Ej, wy - leniwym gestem przywołał kelnerkę do stolika.

- Podwójna wódka dla tych panów, proszę!

- Ja dzięki - odezwał się Jarek, ale umilkł.

- Ej, wy! - ciągnął Olo. - Jakie wy tam pojęcie o bezrobociu macie. Depresja, przepierdalanie czasu, zaciskanie pasa, kursy... czyste, czyste brednie. No owszem, zdarzają się takie jednostki... ale globalnie...

- Globalnie? - podchwyciłem.

- Albo na moim własnym, chociażby przykładzie, to jest tak, że kiedy człowiek uwolni się od pracy, to dopiero zaczyna zarabiać realne jakieś pieniądze.

- Znaczy - nie wytrzymał Jarek - na czarno, czy w tej... *Dro-dze do gwiazd?*

- Na czarno, to jasne, bo zusów płacić nie trzeba, więc pensja automatycznie wyższa jest, ale mnie nie o to chodziło.

- No, no?

- O horyzonty mi idzie! Bo kiedy za długo tkwisz w jednej pracy, przestajesz rozglądać się dookoła. I dopiero kiedy wszystko stracisz, zdajesz sobie sprawę, że jeszcze wszystko możesz. I potem to już, co kto lubi. Bo praca jest! Nie ma tylko etatów, kapujesz?! A ludzie zawsze potrzebni są do wszystkiego. I ja, widzicie, na ludziach postanowiłem interes zrobić?

- Matko - szepnął Jarek - eksportujesz do zachodnich krajów, czy co?

- I, prawdę mówiąc, chłopaki - kontynuował - sam nie daję już rady. Wspólników, myślałem poszukać. A może wy bylibyście zainteresowani, po starej, mojej z Markiem, znajomości?

- Ale co? - zapytaliśmy. - Ale jak?

Tłum (Z cyklu: Opowieści z Paradiso)

Właściciel nowo otwartej restauracji włoskiej (mieszczącej się w lokalu zwolnionym właśnie przez zrujnowanych właścicieli restauracji francuskiej) tyle miał z Włochami wspólnego, że kasę na start pożyczył mu ojciec chrzestny. Co prawda chrzestny mieszkał, i owszem, pod Warszawą, ale jego kontakty z mafią były jedynie sporadyczne. Miał warsztat samochodowy i raz naprawiał czarne BMW facetowi, który przedstawił się jako Karkówka. Stanowczo były to za słabe powiązania, żeby lokal chrześniaka w Krakowie miał zaraz przynosić jakieś zyski. Owszem, z powodu tych plotek lokalna mafia arabska zostawiła restaurację w spokoju. Nikt nie wybijał szyb ani nie przychodził po haracz. Problem polegał na tym, że w ogóle nie przychodził tam nikt. Może z wystrojem było coś nie tak, może ludzie woleli wydawać swoje ograniczone fundusze na sprawdzone żarcie. Może po prostu okna były za duże i widać było z ulicy, że knajpa świeci pustkami. A ludzie przecież nie pchają się tam, gdzie nie ma tłoku, no chyba że ktoś jest byłym komornikiem. Olo Oleski w każdym razie wolał spożywać swoje spaghetti sam. Różne sprawy przecież się za nim ciągnęły. No i właściciel na wszelki wypadek karcił go za darmo, bo znali się z czasów jego poprzedniej gospodarzej

działalności. Dobrze jest mieć najedzone wtyki w rewirze czwartym, kiedy otwierasz knajpę na progu upadłości.

- Doskonałe jedzenie - zagaił kiedyś Olo.

- Dziękuję - odpowiedział właściciel grobowym głosem.

- Ale nie pociągniemy już długo. Właściwie to już koniec. Ostatnia porcja już tak zwanych truflii.

- Zamykacie? - zmartwił się Olo.

- Niech się pan rozejrzy - zasugerował.

- Zaraz - Olo powiódł najedzonym wzrokiem po dekorowanych ścianach i obrusach z haftem - zaraz, a nie myślał pan, żeby tak... zamarkować...?

- C o ?

- No... ludzi, czyli tłum. Posadzić paru na wabia, niech udają, że jedzą, i w ogóle.

- Ale skąd ja wezmę ludzi, z ulicy mam ściągać, czy jak?

- Może - zastanowił się Olo - mógłbym paru załatwić. Znam osobiście kilku takich, aktualnie bez zatrudnienia. Za parę groszy mogliby tu sobie posiedzieć, zresztą może wystarczy, jak postawi im pan flaszkę. Tylko nie żadne wino białe czy czerwone, ale normalnie, flaszkę. Jak dla ludzi!

- Normalnie to ja chętnie - ucieszył się właściciel. - Byleby garnitury jakieś powkładali, albo co...

- Pan się nie martwi, to kulturalni ludzie są, nie żaden margines. Doktoraty mają, to w knajpie chyba potrafią się zachować?

- Doktoraty? I bez zatrudnienia?

- Takie czasy - rozłożył ręce Olo. - Inteligencja bruku sięgnęła i fortepiany za bezcen wyprzedaje. Ja, dzięki Bogu, maturę tylko mam, to jakoś sobie radzę. Niekonkretnie zorientowany jestem, przy swoim zawodzie się nie upieram. I do szarej strefy pozytywny stosunek posiadam, bez urazy, znając legalnej działalności gospodarczej najciemniejsze strony.

Następnego dnia dwie sale restauracji włoskiej tętniły życiem. Pałacy i niepałacy bez zatrudnienia markowali lunch, a przechodnie spoza szyby zerkali na nich z zazdrością. Powoli zaczęli napływać pierwsi prawdziwi goście. Kuchnia odpaliła, właściciel rozpromieniony, a Olo, troszkę się przy tym krygując, zainkasował prowizję.

- A potem to już zlecenia - powiedział - posypały się jak z rękawa. Na promocje do supermarketów, do teatrów na premiery nowatorskich sztuk, i przede wszystkim na manifestacje różne.

- Jak na manifestacje? - zapytałem. Mój podziw dla Ola rósł z minuty na minutę. - Te pod sejmem?

- A jakże! Pielęgniarki, górnicy, co tam potrzebowali. Bezrobotni dzisiaj robią za wszystko!

- Rany boskie - wypiłem do dna - to by dopiero był film!

- Nie rany, tylko ręka - rzucił się Olo - ręka boska niech was broni. To jest przecież moja tajemnica państwowa, nie?!

- Spoko - powiedziałem! - Trudno. Poszukamy sobie jakiejś innej tematyki społecznej. Tej sprawy z bezrobociem lepiej nie rozgrzebywać, rzeczywiście. Jeszcze byśmy mogli bezrobotnym zaszkodzić.

- No to jak będzie - przeszedł do konkretnego - Marek? Wchodzisz do interesu?

Olo oddalił się na chwilę, wiedziony potrzebą niższego rzędu, a my w milczeniu paliliśmy jego papierosy. Jarek nie miał wątpliwości, że mój stary kumpel to wariat i mitoman. Udawałem, że podzielam jego zdanie.

- To po jednym jeszcze?

- Ja dzięki. Raczej już polecę. Przypomniałem sobie właśnie, że muszę nakręcić etiudę o dozorczy zjadającym ogórki. Na festiwal taki, do Kanady.

- Jasne - powiedziałem z ulgą. - Pewnie, że to wariat. Ale lepiej nie powtarzaj dalej tych bredni, bo chociaż wariat, to zawsze jednak komornik.

- Co mam powtarzać? Że znam faceta, który twierdzi, że pod sejmem stoją górnicy przebrani za pielęgniarki albo odwrotnie? Ja poważny filmowiec jestem!

- No - przytaknąłem - no właśnie! A ja jeszcze sobie z nim pogadam, stary kumpel w końcu, trzeba mu jakoś pomóc. Głupio tak zrywać kontakt z człowiekiem tylko dlatego, że ma paranoję.

- Bezrobotny komornik z paranoją - Jarek pokręcił głową. - Ano tak, nie wybiera się kolegów z podstawówki.

Żarty żartami

Południowe słońce panoszyło się na niebie, przyjmując mimowolne hołdy ściągających czapki przechodniów. Była wiosna, właśnie zaczynał się kwiecień.

Pod kościół Piotra i Pawła podjechał komfortowy turystyczny autobus. Kierowca w szmaragdowym uniformie wyszedł i pomagał wsiąść pierwszej pasażerce. Staruszka poprawiła chustkę i przeliczyła siatki. Młody ksiądz z uśmiechem śpieszył w jej kierunku.

- Witamy, serdecznie witamy wszystkie panie. Zapraszamy do zakrystii, na kawkę i ciasteczko.

- Przepraszam - bąknął kierowca - czy mógłby mi ojciec najpierw pokwitować?

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął gorliwie i zadarł sułtanę. - Pieczątko! Gdzieś ją mam.

Kobiety w chustkach i beretach, dwójkami, zmierzały do głównego wejścia.

- Dwa, cztery, osiem, dwadzieścia cztery - ksiądz przeliczył je w pośpiechu i złożył podpis na dokumentach.

- Dziękujemy serdecznie. W imieniu parafii. I proszę przekazać prezesowi, że w przyszłym miesiącu też zamawiamy. Przynajmniej dwa autobusy, jeden różańcowy, a drugi mieszany, z młodszymi parafianami. Bo ważną wizytę z kurii mamy. Kościół musi tętnić życiem, w imię Boże!

- Przekażę - ukłonił się kierowca - ale mimo to prosimy, jak zwykle, o pisemne zamówienie.

- Oczywiście, oczywiście.

Po chwili autobus odjechał. Zgodnie z grafiką miał teraz jechać pod szpital, żeby odebrać chorych, którzy w ciągu dwóch godzin mieli zostać przerzuceni do multipleksu. Szpitale, których od dawna nie było stać na leki, musiały przecież wykazywać stan pełnego obłożenia. Zdrowi chorzy, chorzy bez żadnych wymagań, pacjenci do wynajęcia - który z ordynatorów nie przyjąłby takiej oferty. Odpowiadając na potrzeby służby zdrowia, Agencja Free Human Resources ugruntowała swoją

pozycję na rynku obrotu ludźmi. Przymierzała się nawet do otwarcia filii w Irlandii. Ponieważ jeden z prezesów miał szczególną predylekcję do sztuki i kultury, firma wspierała wiele instytucji, zasilając swoimi zasobami niezliczone imprezy, wystawy współczesnej rzeźby, koncerty muzyki dawnej. Bezrobotna młodzież, symulująca zdziczałe hordy kibiców, była natomiast prezentem, jaki ufundował narodowej reprezentacji drugi z prezesów, którego zainteresowania kulturalne ograniczały się do sportu. Obaj unikali mediów i nie odbierali nagród, jakie przyznawano im notorycznie za tak zwany wkład. Postacie owych biznesmenów i, co trzeba podkreślić, kreatorów owiane były tajemnicą. Mówiono o nich: Ci dwaj, którzy stworzyli tłum! Pewna znana dziennikarka telewizyjna upierała się, że obaj są ojcem jej dziecka.

- PRIMA APRILIS! - ryknął Olo i ucałował mnie z przysłówiowej dubeltówki, gdy Jarek już sobie poszedł i zostaliśmy we dwóch.

- Ucieszyłem się, stary, kiedy zadzwoniłeś. Ulżyło mi normalnie, że chcesz ze mną gadać. A wyglądałam tak dobrze, bo moja dziewczyna pracuje w sklepie z odzieżą używaną. Bo, jakimś cudem, dziewczynę mam, bracie! Załatwiła mi tę kurtkę i buty. Staram się tam na ochroniarza. Jakbyś, Marek, chciał, to ją poproszę, żeby i dla ciebie jakąś nową skórę odłożyła. Jak się ubierzesz porządnie, to te artystyczne sfery może nareszcie odczepią się od ciebie. Taki jak ten blondas - ruchem głowy wskazał stronę, w którą udał się Jarek - nie miałyby w naszej klasie życia, co? Pieprzone pedały utlenione!

- Olo, chłopie! - powiedziałem z rozrzewnieniem. - Naplułeś sobie na buty! A z prima aprilisem jesteś do tyłu o całe dwa miesiące.

- Ano - westchnął - ogólnie do tyłu jestem. Jak się roboty nie ma i pensji nie bierze pierwszego, to prima aprilis jest, kurwa, co miesiąc.

Zrobiła się jedenasta i wydekoltowana barmanka ostentacyjnie ziewała za kontuarem. W Paradiso nadal było tłoczno. Męż-

czyżni w różnym wieku siedzieli zgarbieni, tropiąc resztki piany w swych pustawych kuflach. Nie wyglądali na takich, co muszą wcześniej wstać. Prawdopodobnie wieczorna przesiadówka w osiedlowej knajpie była jedynym punktem w ich stałym planie dnia. To osiedle nazywało się Widok. Mieszkało tu wielu ludzi bez widoków na zmianę. Poczułem głębokie zażenowanie, formułując tę myśl. Copywriterska skaza - kiedy uda ci się zestawić słowa, olewasz fakty. A prawda była taka, że cholerni bezrobotni siedzieli mi na plecach, a ja siedziałem odwrócony do nich plecami. Faceci bez szans gapili się przez brudną witrinę w okna rachitycznych wieżowców, gdzie jedna po drugiej gasły nieczekające już na nic kobiety. I nic nie można było na to poradzić. I wszystkie anegdoty były podszyte smutkiem, jak jeśienne palto na mrozie. I nawet wiosna nie przynosiła nadziei na odrodzenie. W konfrontacji z prawdziwym życiem poległem. Nie miałem nic do powiedzenia.

- Olo - zaproponowałem nieśmiało - a może napisać ci CV, z elementami fantasy, albo list motywacyjny o wielkiej sile perswazji?

- Poważnie? - ucieszył się szczerze. - Mógłbyś? No tak, czemu nie, w końcu copywriter jesteś!

- Ano jestem - wyszliśmy na powietrze i odetchnąłem z ulgą, czując, że rozjaśniło mi się w głowie. - I jakoś nie widzę przeszkód, żeby z ciebie, komornika, zrobić specjalistę od finansów. Bo papier wszystko zniesie, a ty jako doradca firmy zadłużonej też sobie poradzisz. I pracodawcę swojego uchronisz, na bazie wieloletnich doświadczeń, od innych komorników.

- No kurwa - wyszeptał z przejęciem - jeszcze jak!

A potem to już samo poszło. Natalia popukała mi się w głowę, kiedy jej powiedziałem, jaki mam plan, ale jakoś tak bez przekonania. Nawet z uśmiechem. A po kolacji powiedziała, że jakby coś ze strony prawnej było mi trzeba, to ewentualnie, może, zobaczy się. Następnego ranka, nad srogo przez czas doświadczonego barem w Paradiso, powiesiłem krzykliwe ogłoszenie:

FANTASTYCZNE ŻYCIORYSY I LISTY MOTYWACYJNE
PISZĘ ZA DARMO
ORAZ PROSTYCH PORAD PSYCHOLOGICZNYCH UDZIELAM
PRZY FLASZCE.

W PIĄTKI, W PARADISO, PO 19.

KOSZTY ALKOHOLU PO STRONIE KLIENTA.

I zasygnalizowałem barmance, żeby zarezerwowała mi ten pod lampką, w samym rogu stolik. I żeby, jakby się kto pytał, mówiła, że wykształcenie odpowiednie mam do pisania listów, a i dyplom psychologa także, do wglądu. I obiecałem, że jej siostrzenicy CV napiszę poza kolejnością. Powiedziałem też, że nikomu z niczego wróżyć nie zamierzam i nie leczę żadnych niewydumanych chorób. Nie uzdrawiam dotykiem rąk ani stóp, żeby było jasne. Normalny, czysty biznes bezdochodowy, pomijając czystą wódkę, jak mi ktoś postawi.

W godzinach urzędowania dokonałem kilku korekt. Z malarsza pokojowego zrobiłem regionalnego przedstawiciela hurtowni farb i klejów. Z siostrzenicy barmanki, jako że była po szkole kroju i szycia, bez zastanowienia zrobiłem stylistkę. Samotnego przerobiłem na w pełni dyspozycyjnego, a umęczonego użeraniem się z piątką bachorów na szefa dynamicznego zespołu. Z nieśmiałyłch czyniłem wrażliwych, z upartych zaś konsekwentnych. Znanemu dziennikarzowi telewizyjnemu (zwolnili go bez dyskusji, bo ludziom podobał się za bardzo) doradziłem, żeby kierował się na prezydenta. Wystarczyło, żebym spojrział na człowieka i dostrzegałem sprzyjającą aurę. Wymięknęłem - w zetknięciu z barierą wieku!

Mój kolejny klient miał, owszem, determinację, bogate doświadczenie zawodowe, otwarte spojrzenie na świat, prawo jazdy i znajomość języka. Miał także długi staż.

- Jestem po prostu za stary - powiedział. - Napisałem już tyle listów, podań, tyle skróconych, może mi pan wierzyć, życiorysów... ten wiek, panie Marku, ten wiek! I bynajmniej nie upierałem się przy zawodzie inżyniera, o nie, ja byłem gotów nawet podjąć pracę poniżej moich kwalifikacji, jakkolwiek pracę, ale jest tylu młodych... Nie upierałbym się tak, ja potrafię

zając sobie czas, nadrabiam zaległości kulturalne, czytam sporo... tylko sytuacja finansowa, naprawdę, zmusza mnie... Ale gdziekolwiek próbowałem starać się o pracę, to zespół, co tam zespół, prezes znacznie młodszy jest ode mnie. Na sam mój widok robi się czerwony i zaczyna obgryzać paznokcie. Nie wiem, czy zdoła pan poradzić coś na to, czy w ogóle poradzić coś da się, ale gdyby, na wszelki wypadek, gdyby jakiś pomysł... proszę - wręczył mi wizytówkę - tutaj jest mój mail. I proszę otwarcie powiedzieć, w jaki sposób mógłbym zrewanżować się? W ogłoszeniu wspomina pan coś o alkoholu?

- Nie, dziękuję - odparłem. - Błagam, nie! Nie mogę już patrzeć na alkohol, a szczerze mówiąc, nie ma też żadnej gwarancji, że moje porady odniosą jakikolwiek skutek. I widzi pan, moja działalność tutaj tylko z pozoru jest bezinteresowna. Robię to wszystko, żeby poczuć się lepiej. Zwyczajnie siedzę sobie przy stoliku i rozmawiam z ludźmi, najwyżej tracę trochę czasu, ale czy mniej bym tracił, przesiadując w kinie? Proszę w żaden sposób nie czuć się zobowiązanym. Jeżeli coś wymyślę, natychmiast do pana napiszę. Pewnie trochę to potrwa, bo co tu kryć, dał mi pan do myślenia, a tego to ja, prawda, nie planowałem.

Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że skądś go znam. Tomasz Krener - nazwisko jednak nic mi nie mówiło. Brązowa, a może zielona marynarka z grubej wełny, twarz nieco opuchnięta, krzaczaste brwi, nieco przydługie, przeredzone i siwiejące włosy... Demiurgowate spojrzenie i uśmiech sardoniczny... Taki facet w tym wieku nie powinien siedzieć na bezrobociu, tylko w jakiejś radzie, jakiegoś zarządu, bo ja wiem. Gdyby tylko odzyskał pewność siebie, mógłby z tym swoim uśmiechem rozstawiać ludzi po kątach, popijając wodę mineralną i bębniąc palcami po blacie. Parszywa sprawa - stracić robotę na starość, parszywa, nie ma co! W żaden sposób nie mogłem mu pomóc. Na rynku pracy funkcjonował jak jakiś pomnik zgubnej lojalności, otoczony łańcuchem mentalnych przyzwyczajzeń. Stary, czyli skostniały, szybko zapomina to, czego wolno się uczy. A jeśli nawet miał duszę odkrywcy, to ta dusza w nim drzemie i jeszcze chrapie przez sen. A doświadczenie czy życiowa mądrość? O tak, tak, zapewne. Opowiedz nam o tym, dziadku, drogi

dziadku... Boże, nie daj na starość być zależnym od opinii gówniarzy! Ja także nie byłem wolny od stereotypów. I zdziwiłem się, kiedy podał mi maila! Niby słyszałem o amerykańskich emerytach surfujących po internecie, jednak znałem też emerytów rodzimych, którzy panicznie bali się komórki. I mówię o tym z przekąsem, chociaż sam wolę ten starszy model.

Przypomniałem sobie taką reklamę. Z pięć lat temu widziałem ją na jakimś festiwalu. Do agencji reklamowej przychodzi gość siwy jak gołąbek. Chce zostać grafikiem. Sorry - mówią mu - fajne te rysunki, ale wiek... ten wiek! A wtedy kamerzysta robi najazd na leżące na biurku portfolio i wiemy już, że ten, którego nie chcieli, to był sam Picasso. No ale wiek... ten wiek! Kto, mając łąt trzydzieści, nie bierze tego do siebie, to już jest krótkowzroczny.

Niestety, z faktu, że czułem problem, nie wynikało, że umiem go rozwiązać.

Prosimy na scenę!

Maciek robił właśnie zadanie z matematyki. Było tam coś o kurczakach, ale wychodziły ułamki.

- Może tak ma być - pocieszył mnie - przecież kurczaki dzieli się na ćwiartki.

- Na talerzu. W tym zadaniu kurczaki mają pióra i łążą po podwórku. Żadna ćwiartka nie ma prawa nam wyjść.

- Obrzydliwe zadanie - powiedział. - Nie będę już jeść mięsa.

- Obrzydliwe - przytaknąłem. - Układał je cholerny zabójca kurczaków. Chyba napiszę ci takie usprawiedliwienie, że nie zrobiłeś zadania, bo przeszliśmy na wegetarianizm.

- Z przyrody - ucieszył się - też mam ohydne. O robaku! Napisz mi usprawiedliwienie.

- Nie szalej - zastopowałem go. - O robaku masz się nauczyć. Dostaniesz szóstkę i wyciągniesz się na czwórkę. To ostatnia chwila, żeby powalczyć o średnią.

- E - skrzywił się - już za późno. Zresztą nie będę brał udziału w tym wyścigu szczurów o jakiś głupi pasek na świadectwie.

- Ucz się gówniarzu - ryknąłem - i to już! Świadectwa z pa-kiem biorą udział w losowaniu cennych nagród.

Uporaliliśmy się z lekcjami i Maciek usiadł przy swoim komputerze, a ja przy swoim. Natalia zadzwoniła, żebyśmy nie czekali na nią z kolacją, bo jeszcze jest w firmie i pewnie zostanie tam do jutra. Zamówiliśmy pizzę Cztery Sery i dwa piwa dla mnie, a colę dla Maćka. Od dwóch dni nie odbierałem poczty i znalazłem kilkanaście nieprzydatnych wiadomości, głównie związanych z pracą. Było też zaproszenie na otwarcie jakiejś knajpy i jeszcze jedno, na czytanie sceniczne dramatu młodej pisarki niemieckiej, więc zrobiło mi się przyjemnie. W załączniku znalazłem notkę o pisarce i okazało się, że jest po czterdziestce - zrobiło mi się jeszcze przyjemniej. Pomyślałem, że pójdę i posłucham, jakie dramaty przeżywają młode niemieckie pisarki. Impreza była częścią festiwalu zorganizowanego przez Ritę. Zdecydowana kobieta. Miała głośny śmiech, włosy jak złoto i poważały ją polskie i niemieckie talenty. Rita wybierała sobie w twórcach jak w ulęgałkach i dawała im na bilet. To znaczy Polakom dawała na bilet do Niemiec, a Niemcom stawiała kolację w Polsce. Od festiwalu do festiwalu, Rita miała fajną pracę. Poznałem ją na jakiejś imprezie, kulturalnej oczywiście, i czymś musiałem ująć, bo od tego czasu zapraszała mnie z klucza. Dzięki temu wypięłem parę wódek z paroma nazwiskami, które miały szansę stać się kiedyś znane. Podpalałem Ricie papierosy i dyskutowałem z nią o niemieckiej prozie, jakbym miał o tym pojęcie. Rozmawiałem też z młodymi pisarkami niemieckimi, ściągniętymi przez Ritę. Z nimi rozmawiałem mniej, za to częściej podpalałem im papierosy. Im bardziej byłem szarmancki, tym bardziej uważały mnie za seksistę, a kiedy uważały mnie za seksistę, strasznym czułem się macho. Z zapalniczką przyrośniętą do ręki należałem do kulturalnego środowiska, a i jedzenie, zdarzało się, było niezłe. Wraz z ze mną stołowali się tam milczący mężczyźni bez zapalniczek i bez papierosów, jak domniemywałem - młodzi pisarze polscy. Trzymali się we własnym gronie i stronili od kobiet. Kiedyś za-

brałem Natalię na jedną z tych imprez i powiedziała mi, że młodzi pisarze są nudni jak prawnicy, tylko ubierają się gorzej. Nie nalegałem, żeby poszła ze mną na czytanie sceniczne, i pewnie właśnie dlatego - postanowiła pójść. W końcu było to coś, prawie jak teatr, i całkiem za friko, a sztuka opowiadała o tym, że niemożliwa jest miłość między mężczyzną a kobietą. Że miłość jest niemożliwa, ujmując dokładnie. No to wypadało nam przecież dowiedzieć się, dlaczego.

Salę Teatru O Lekkim Repertuarze i Małych Kłopotach Finansowych wypełniali głównie studenci. Dwa pierwsze rzędy zwyczajowo zarezerwowano dla organizatorów ze strony polskiej i ich niemieckich gości, z autorką sztuki na czele. Na scenie stały trzy krzesła w oczekiwaniu na trójkę aktorów. Rita powitała publiczność, przedstawiła kogo trzeba i zapowiedziała, że po czytaniu odbędzie się dyskusja z udziałem autorki, krytyka i reżysera - ponieważ sztuka miała być wystawiona jeszcze w tym sezonie. Napisana na trzech aktorów stanowiła doskonałą propozycję dla Teatru O Lekkim Repertuarze i Małych Kłopotach. Nie dość, że aktualna, to niskobudżetowa. Słuchało się tego przyjemnie, aż do zakończenia. Z zakończeniem było coś nie tak. A może raczej z miłością. W sztuce występowali: kobieta, mężczyzna i komentator sportowy. Przez półtorej godziny kobieta usiłowała dojść, a mężczyzna próbował przeskoczyć. Komentator wydzierał się w przerwach pomiędzy kwestiami. Było o samotności i o tym, że wcale nie lepiej jest we dwoje. Generalnie przegrana sprawa. Najpierw nie mogli się zdecydować, czy być razem, czy nie, a jak się zdecydowali, było już po zawodach. Współczesny dramat niemiecki miał wymowę uniwersalną i z powodzeniem dawał się przełożyć na wszystkie sceny zunifikowanej Europy. Nie chciało mi się zostawać na dyskusji, ale nie bardzo dało się wyjść.

- Czy to prawda - zwróciła się do autorki prowadząca dyskusję - że pracowała pani jako striptizerka? Oraz że była pani trenerką judo, zawodowym nurkiem, spawaczem i treserką małą? Czy zamierza pani wykorzystać te doświadczenia w swoich kolejnych sztukach?

Autorka wzniosła oczy do nieba i odpowiedziała niewyraźnie, słowami, których tłumacz nie chciał przetłumaczyć, w związku z czym prowadząca dyskusję zwróciła się do dwudziestoletniego na oko krytyka, który kręcił się w pobliżu, ponieważ nie miał krzesła.

- Czy podobała się panu sztuka?

- Cóż - kaszlnął krytyk - konstrukcja... oraz... problemy z określeniem... a także kłopoty...

- Czyli - przerwała prowadząca, ostrzegawczo unosząc jedną brew - nie podobała się panu, tak?

- Ależ skąd! - krytyk zamachał rękami i, zahaczywszy zegarkiem o swą długą brodę, wyrwał z niej kłęb włosów. Skrzywiony z bólu usiłował dyskretnie upchnąć go w rękawie, równocześnie formułując myśl. - Ależ skąd, to znaczy... jak najbardziej... Chciałem tylko powiedzieć - znów machnął ręką i włosie z rękawa wypadło mu na buty - że pozorne niedostatki tekstu oraz złudne poczucie braku sensu stawiają autorkę w jednym rzędzie z takimi tuzami teatru, jak Samuel Beckett, czy też... inni.

Ryknęliśmy śmiechem i rozejrzałem się po sali, jednak zebrana młodzież słuchała spokojnie. Spojrzałem na prowadzącą i z błógiego wyrazu jej twarzy wywnioskowałem, że zamierza adoptować krytyka, bez względu na to, jak bardzo by się lenił. Promieniała wewnętrznym ciepłem i falowała jej pierś. Jednak, nie zapominając o swoich obowiązkach, otrząsnęła się i skierowała pytanie do reżysera:

- Co pan powie?

Reżyser uniósł się na krzesło, żeby zaprezentować publiczności swój nowy dresik. Słusznie zakładał, że z ostatnich rzędów widać tylko czapeczkę. A dopiero połączenie czapeczki z dresikiem tworzy kult reżysera.

- Sztuka ta - podciągnął suwak - dramat, jest współczesny. Dlatego trzeba zrobić tak, żeby był aktualny. I my tutaj - wskazał na siebie - pomyśleliśmy, że chociaż opowiada o problemach czterdziestolatków, powinni zagrać w nim aktorzy trzydziestoletni albo nawet młodsi. Bo - napiął się i obciągnął dresik - poszukiwanie miłości i tak dalej, to są problemy naszego

pokolenia! I o naszym pokoleniu powinna mówić sztuka. Ta i wszystkie inne. A nie o jakichś czterdziestolatkach! Starych pannach! I starych kawalerach! Co nie mają już żadnych szans i muszą już tylko jakoś dotrzeć. Do końca!

Wynikający z konsternacji śmiech rozległ się w pierwszych rzędach, gdzie siedzieli: organizatorka imprezy po stronie polskiej (tak, po czterdziestce, nie, niezamężna), organizatorka ze strony niemieckiej (jeszcze bardziej po czterdziestce i jeszcze mniej zamężna), jej dobiegający pięćdziesiątki dyrektor i jeszcze parę innych osób, które zajmowały poważne stanowiska w poważnych instytucjach i bynajmniej nie szykowały się na śmierć. Być może nawet byli wśród nich tacy, którzy aktywnie poszukiwali miłości, dopóki reżyser Susma nie wybił im tego z głowy. Autorka sztuki też była po czterdziestce, ale najwyraźniej tego nie doczytała. A przecież przyszła tu o własnych siłach, jako niezła laska, no to skąd miał wiedzieć?

Natalię po prostu trafił szlag! Wbiegła na scenę, wyrwała mikrofon i, stojąc nad kurczącym się reżyserem, na pełny regulator wydyszała mu w twarz:

- Bo ty to niby taki młody jesteś!? Epatujesz tym swoim dresikiem panny z pierwszego roku, a ze swoją trzydziestką na karku sam jesteś dla nich starcem! I nawet ci do głowy nie przyjdzie, że swoim głupawym gadaniem obrażasz autorkę, tłumacza i spore grono tych, co dają ci zarobić. Ale co taka autorka wie o miłości, przecież ona tylko sztukę o tym napisała! Dopiero trzeba było młodego polskiego reżysera, żeby jej wytłumaczył, że problemy czterdziestolatków już ich nie dotyczą! Młody polski reżyser już wie, że seksistą być jest brzydko, i rasistą też nieładnie. Ale ageism to dla młodego, zaśśściankowego - zasyczała - reżysera Siuśśśmy jest pojęcie obce! Na miejscu dyrektora teatru wypierdoliłabym cię z roboty i to już! - szepnęła, odchylając mikrofon. - Pomimo że nie mam jeszcze tej czterdziestki, ale to właśnie nie ma znaczenia, dupku!

- A pani to właściwie kim jest? - zapytał pobladły, ale ostro.

- Kim? - uśmiechnęła się słodko. - A przedstawicielką sponsora twojego teatru, co jak nie zacnie uważać na reżyserów, to coraz większe będzie miał kłopoty!

Pod wpływem tej wypowiedzi klatka reżysera zapadła się, a dresik sflaczał. Okropnie dumny byłem z Natalii. Bo parszywa sprawa z tym wiekiem i w życiu, i w teatrze, okazuje się. A po dyskusji, co akurat się skończyła, skonfundowany dyrektor teatru podbiegł do nas, tarasując drzwi.

- Sama pani, widzi - otarł pot - sami państwo widzicie, z czym ja w ramach tak zwanej sztuki użeram się. Ale wy... tego, to ja go nie mogę. Sam sześćdziesiątki dobiegam, to dla niepoznaki młodymi muszę otaczać się. Okropna teraz na tę młodość presja jest. Ja państwa w imieniu reżysera Susmy, swoim i teatru przepraszam. Sam nie wiem, co bym jeszcze zrobić mógł? Cholera jasna, chyba rzeczywiście powinienem tego Susmę wy... ten!

- Ano nie wiem - westchnąłem - co pan zrobić powinien, ale widziałem tu przed chwilą z „Gazety Wyborczej” jedną moją znajomą, dziennikarkę, tak... I nie da się ukryć, że mocno po czterdziestce jest, tak... Głupio będzie, jak się jutro w gazecie artykuł ukaże, Ageism w teatrze, jakoś tak... W niemieckiej prasie też pewnie jakieś reperkusje będą.

- Matko jedyna! - dyrektor schwycił mnie za ręce. - Znajoma dziennikarka, mówi pan...?

- Już wyszła - pokiwałem głową. - Obrażona!

- O matko jedyna - wychrypiał - panie kochany. Nie dałoby się tego zatuszować? Ten Susma to nawet nie jest taki zły, ot durnowate to, samo nie wie, co gada. Żeby cały teatr miał przez to cierpieć? No, pomyśl pan, panie, nie dałoby się... zatuszować?

- Zobaczymy - powiedziała Natalia, bo chyba jej żal było dyrektora. - Może uda nam się jeszcze złapać ją przez telefon.

- O - ucieszył się - złota moja! Złoci oboje! A jaka to pani firma szanowna, jeśli można wiedzieć? Bo ja wszystkich sponsorów naszych znam osobiście, ale jakoś... albo nie, nie wypada nawet pytać, w tej sytuacji...

- Przepraszam - pociągnąłem Natalię za rękaw - ale musimy już iść. Zadzwoń do pana do teatru jutro koło południa i powiem, co udało mi się załatwić.

- Złoty mój - złożył ręce - do końca mojego dyrektorstwa bileciki na premierki dla państwa! Zaproszonka!

Pospiesznie ukłoniłem się i wytargałem Natalię na zewnątrz, zanim dopadło ją grono samotnych, czterdziestoletnich fanek. Z autorką sztuki na prawym skrzydle sunęły już w jej kierunku.

- No co?! - rozłościła się Natalia. - Wyciągasz mnie w najfajniejszym momencie! Ale mu powiedziałam, nie?! Te dyskusje literackie nawet zaczynają mi się podobać. Niepotrzebnie tylko dałam ponieść się emocjom. Następnym razem, jak usłyszę coś takiego, odezwie się prawnik!

- To super - powiedziałem. - Przywaliłaś mu pięknie, i słusznie, i załatwiłaś nam te bileciki! Miodowo. Wielka jesteś i ogromnie kocham cię! Ale w związku z reżyserem Siuśmą jeszcze jeden podstępny pomysł mam. Zaczekaj sekundkę, bo właśnie na niego wpadam!

- Właśnie teraz?

- No - zamknąłem oczy, bo staliśmy już na przystanku i mogłem sobie zamknąć. I zanim podjechał tramwaj, oczyma duszy ujrzałem całkiem z bliska opuchniętą twarz Tomasza Krenera, jego krzaczaste brwi, te jego włosy i niepodrabialny grymas.

- Jack Nicholson! - krzyknąłem. - Wiedziałem, że kogoś mi przypomina!

- J a c k Nicholson? - Natalia spojrzała na mnie uważnie. - Nicholson przypomina ci Nicholsona?!

Następnego dnia zadzwoniłem do Teatru O Lekkim Repertuarze i wspaniałomyślnie przyjąłem zaproszenie na kawę. U dyrektora. Z bitą śmietanką. Powiedziałem mu, że moja znajoma dziennikarka... nie... lepiej bez nazwiska, zgodziłaby się odstąpić od publikacji artykułu rujnującego imię teatru i nazwisko reżysera, ale pod jednym warunkiem. Musiałaby mianowicie posiadać gwarancję, że reżyser Siuśma zostanie reedukowany. A ageism wypleniony!

- No jak - tłumaczyłem dyrektorowi znad śmietanki - my, jako kraj, mamy zafunkcjonować w starzejącej się (!) Europie z reżyserem Siuśmą, który prześladuje ludzi starszych?!

- Cholera! - zirytował się. - To znaczy, że trzeba go wy... ten?!

- Niekoniecznie - przystopowałem. - Razem z... bez nazwisk, pomyśleliśmy, że reżyser Siuśma mógłby pozostać w teatrze, gdyby narzucono mu supervisora.

- Kogo?

- No takiego gościa, który patrzyłby mu na ręce, a raczej na usta. Konsultanta, generalnie, do spraw!

- Do spraw?

- No... wieku i, ogólnie, ludzi... w wieku. Powinien być to ktoś, kto ma już swoje lata. Obcując z nim dzień po dniu reżyser Siuśma raz dwa zwalczy swoje stereotypy i otworzy się bardziej!

Dyrektor wpatrywał się w dno filiżanki.

- Ale skąd ja jemu tego super... konsultanta wezmę? Tacy to pewnie kosztują fortunę. Teatru na konsultanta nie stać.

- Prawda - przytaknąłem, robiąc smutną minę. - Też to znamojej mojej powiedziałem. Fortunę. Ale wie pan co, panie dyrektorze, ja chyba mógłbym panu pomóc!

- Tak? - oderwał się od dna i wbił we mnie wyczekujące spojrzenie.

- Jest - mówiłem powoli - pewna osoba... Oczywiście musiałbym z nim pomówić, ale kto wie, kto wie... On w każdym razie reedukowałby reżysera Siuśmę skutecznie. To taki, jakby to określić... inżynier umysłów. Ostatnio, co prawda, nie przyjmował już nowych zleceń, ale dla dobra sztuki, kto wie, może zgodziłby się za jakąś umiarkowaną stawkę. Gdyby zaaranżować mu tu w teatrze przytulny gabinecik, świeżą prasę... bo przecież to konsultant!

- To - rozpromienił się dyrektor - nie ma problemu. - Gazetki to ja mu nawet własne oddam, byle tylko ta stawka... dla dobra sztuki...

- Porozmawiam z nim - obiecałem - spróbuję, zrobię co się da. Nie możemy przecież pozwolić, żeby w tych trudnych czasach sponsorzy nam się wycofali.

- Otóż to! - dyrektor niemal mnie uściskał.

- Teatr - postanowiłem pójść na całość - musi mieć przecież fundusze na nowe sztuki! Młodych, zdolnych autorów koło czterdziestki.

- Otóż to - walnął w stół. - Bogu dzięki, pan to rozumie. Pan to wie!

- Wiem - odpowiedziałem z wystudiowaną nonszalancją.
- Sam piszę! Może kiedyś podrzucę jakiś dramacik reżyserowi Siuśmie, jak już się zreedukuje.

A potem wysłałem maila do Krenera vel Nicholsona, że co prawda trochę to trwało, ale za to pomysł mam, dla niego i na niego, a nawet więcej niż pomysł, bo całą posadę. I nawet CV ani żaden list motywacyjny potrzebny nie będzie.

Umówiliśmy się wieczorem w Paradiso i przedstawiłem mu całą sytuację, i rozmowę moją z dyrektorem zacytowałem co do słowa, żeby się nie dziwił, jak w teatrze będą mu się kłaniać. I że nie musi tam robić nic, tylko po prostu być - w swoim wieku!

- A niech mnie! - huknął. - Pan jest fenomenalny! Fenomenalny, no! A żeby było zabawniej, to jeszcze panu powiem, że w tym teatrze to może się okazać, że ja tak całkiem nieprzydatny nie będę. No! Bo ja teatrologię, wie pan, jako drugi fakultet studiowałem. Dyplom zrobiłem cztery lata temu. Na placówce zagranicznej, w Norwegii, siedziałem bardzo długo, bez żony, i nudziłem się. Tylko w podaniach o pracę ani w CV nie pisałem o tym, bo to rzeczy miękkie są dla inżyniera. I do głowy nawet mi nie przyszło, że na starość w teatrze wyląduję.

- No! Nie! Teraz to już pan robi jaja!

- No dobrze - puścił do mnie oko - przyznaję, rozważałem taką możliwość.

Nie miałem wątpliwości, że inżynier Krener rozłoży jeszcze skrzydła i pokaże pazury. Gdy tylko nowa przestrzeń rozwinie się przed nim, gdy odezwie się instynkt. Miał swoje lata, prawda, ale była to starość orła, który gdy dziób mu się w kabłąk skrzywi - wypija krew swych ofiar. Na niejednym orderze miał jeszcze odcisnąć swój firmowy znak.

- I powiem panu, panie Marku - spojrział na mnie jak Nicholson na czarownice z Eastwick - pan te dramaty pisz! Tylko szybko. Bo bardzo chciałbym się panu zrewanżować, przed emeryturą, za pomocą Teatru O Repertuarze.

Tramwaj numer 8 podjechał właśnie na pętlę i zawinął się. A ja pomyślałem, że nie można z pomysłami na życie wozić się w nieskończoność. I czemu dramatu nie miałbym spróbować, teraz, kiedy mam wtykę w teatrze. Od razu poczułem, jak przeniika mnie prąd. Wtyka to najlepsza rzecz, na jaką możesz trafić, kiedy stoisz pod ścianą.

Wróciłem do domu i jakoś tak, bez ceregieli, z herbatką, siadłem sobie do komputera i zacząłem pisać. Natalia spała już i Wrak bezkarnie rozwalił się na kanapie. Jego ogromne łapy podrygiwały - biegł teraz pewnie przez zielone parki bez parkanów, dzięki ścieżki zapachów, lasy uchwytnych wiewiórek. Pogłaskałem wielki łeb. Otworzył jedno oko i zaraz je zamknął. Nie było niczego, co mogłoby mi przeszkodzić. Ośmielony ciszą wystukałem:

Człowiek to jest obietnica. Nie zawsze prawdziwy i nie zawsze spełniony. Ale nigdy nie przestaje się składać.

To był początek i nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia, jaki będzie koniec. Jednak pierwszy raz w życiu poczułem, że, może i na skróty, ale do niego dobrnę. Zaniżę poziom i doczołgam się. Musiałem tylko stworzyć tego jakiegoś człowieka, a idąc na łatwiznę postanowiłem stworzyć go na swoje podobieństwo (i podobieństwo Hugh Granta, oczywiście). Musiałem tylko dać mu imię i nazwisko i pilnować, żeby lenistwo nie zgubiło nas obu. Bo byłem copywriterem i dopisek senior już zasadał się na moją wizytówkę. I nie za bardzo chciało mi się ruszyć tyłek, żeby zająć dokądkolwiek. I tylko moje myśli były wciąż rozbiegane.

Wybrałem krzesło, żeby nie upaść, wybrałem klawiaturę, bo nie umiałem grać. I w głębi serca wierzyłem, że dziura to jest brama.

Co? Niemoc twórcza? To tylko twórcza niemoc.

To właśnie na tym zasadza się mój dramat. ©

Natalia oddychała spokojnie. Nie musiała na mnie czekać, bo wiedziała, że wróć. Zasnęła spokojnie, czytając kolorowy

tygodnik. Jej świat to była stała ramówka i miałem szczęście, że znalazło się tam miejsce dla mnie. I że nie było to miejsce na stronie z dowcipami. Podniosłem koc, który zsunął się na podłogę, i okryłem ją. Zajrzałem do pokoju Maćka i zgasłem nocną lampkę. Gdyby przyśniło mu się coś złego, byłem tuż obok - facet, który zakochał się w jego matce, koleś, który się zaczepił, który nie nadawał się na ojca, nieustraszony pogromca snów.

Nie wybiera się kumpli z podstawówki i nie wybiera się swoich wad. Lista życzeń nie koresponduje z wykazem talentów. A tak, mam słomiany zapał i sporo siana w głowie, a jakiś mały podpalacz wciąż podkłada ogień. Przyzwyczaiałem się do niego. Mam nadzieję, że nigdy nie przestanie. Chodzi w końcu o to, żeby kiedyś znaleźć to coś, czym warto podjarać się na prawdę. O jakiś własny gorejący krzaczek, pieprzoną paprotkę - jeśli tylko do ciebie przemówi.

Serdecznie pozdrawiam Hugh Granta.

I jego polską przyjaciółkę też.

„Gazeta o Kulturze” 30 listopada 2006

BILETY NA SPEKTAKL KASUJE SIĘ W TRAMWAJU

Reżyser teatralny Paweł Susma ukończył przygotowania do spektaklu *La Chasse Spirituelle*. Tytuł sztuki (*Duchowe łowy*) nawiązuje do jednej z najsłynniejszych mistyfikacji literackich XX wieku. W maju 1949 roku, w „Mercure de France”, ukazał się długi poemat prozą - odnalezione dzieło Rimbauda, które przed zaginięciem miał podobno widzieć Verlaine. W dzień po ukazaniu się książki zgłosili się prawdziwi autorzy - Akakia Viala i Nicolas Bataille, członkowie eksperymentalnej grupy teatralnej, którzy oświadczyli, że chcieli dowieść krytyce, iż na prawdę rozumieją Rimbauda. Manuskrypt przekazali pewnemu antykwariuszowi - po pewnym czasie, jako dzieło autentyczne, trafił do wydawnictwa.

„Mistyfikacja jest często jedynym sposobem na odkrycie tego, co w nas najprawdziwsze. Człowiek jest tym, kim mógłby

się stać. Jeśli chcesz czegoś od życia - udawaj, że już to masz". Takie jest przesłanie *La Chasse Spirituelle*. To sztuka o tym, że kręcąc się w kółko, zakreślamy pole działania, a wszelka odwaga bierze się ze strachu.

„Wyruszyłem na łowy, by stwierdzić, że jestem zwierzyną. Płochliwy jak sarna, ciężki jak niedźwiedź, z głową dzika przy ziemi, całkiem zbity z tropu" - mówi bohater na początku pierwszego aktu. Drugi akt sztuki natomiast rozgrywa się w tramwaju, rozumianym jako metafora współczesnego świata i rządzących nim zasad. A pierwsza zasada brzmi: NIGDY NIE USTĘPUJ MIEJSCA SILNIEJSZYM OD CIEBIE!

Reżyser Paweł Susma został zauważony, gdy dwa lata temu zrealizował spektakl *Termin ważności na wiedzę*, w którym we wszystkich rolach obsadził emerytowanych pracowników oświaty. Tworzony przez niego teatr zbliża się do dokumentu, reportażu, poruszającego aktualne problemy społeczne i niestroniącego od polityki.

„Interesują mnie - mówi Susma - poszukiwania współczesnych twórców francuskich, na przykład Bruno Lajara, który pracował z kobietami zwolnionymi z fabryki w Lille. W sztuce *La Chasse Spirituelle* wystąpią bezrobotni mężczyźni i kobiety z krakowskiego osiedla Widok, których okna wychodzą na pętlę tramwaju numer 8. Tu właśnie, na pętli tramwajowej rozegra się trzeci akt dramatu. Tutaj wszystko się kończy i wszystko zaczyna. Trasą ósemki widzowie wraz aktorami pokonają dystans dzielący sztuczną przestrzeń teatralną od autentycznej sceny życia".

W najbliższych miesiącach spektakl zostanie pokazany w ramach festiwalu New Theatre Performance, w londyńskim mieście. Mówi się, że w roli Pasażera Który Nie Ustępuje Miejsca wystąpi gościnnie jeden z najbardziej kasowych angielskich aktorów filmowych. Casting lokalnych bezrobotnych zostanie przeprowadzony wśród imigrantów z Bangladeszu.

W spektaklu wykorzystano fragmenty utworów Mikołaja Dedy - poety pracującego w **reklamie**.

Wciąż nieznana jest tożsamość autora sztuki, ukrywającego się pod pseudonimem Re:Mark. Uporczywe unikanie rozgłosu nie pozostaje bez echa!